



PIOTR SCHMANDT
SPRAWY INSPEKTORA BRAUNA

FOTOGRAFIA



Piotr Schmandt

Sprawy inspektora Brauna:

Fotografia

Sopot 2010

FUNKY

BOOKS

Copyright by Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Sopot 2010.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Gdańskiego Wydawnictwa Psychologicznego.

Wydanie pierwsze Redakcja: Patrycja Pacyniak Korekta: zespół Skład: Piotr Machola Projekt okładki: Monika Pollak Książka wydana w koedycji z Wydawnictwem FunkyBooks.

Wydawca dziękuje Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie za udostępnienie pocztówek dawnego Wejherowa.

www.muzeum.wejherowo.pl

ISBN: 978-83-7489-293-3 Druk: Drukarnia Read Me w Łodzi ul.

Olechowska 83 92-403 Łódź

Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne Sp.z o.o.

ul. Bema 4/1a, 81-753 Sopot, tel.

/faks (58) 551-61-04

e-mail: gwp@wp.pl

www.gwp.pl

www.funkybooks.pl

PRZEBUDZENIE

Przez lekko uchyloną kotarę do pokoju wpadał nikły blask łagodnego światła.

Na zewnątrz panowała cisza.

Niewdzierał się z dołu turkotwozu, nie było słychać rozmawiających głośno kobiet, nie docierały też wielorakie dźwięki, których niemożna określić, ale które sprawiają, że ulica tętni życiem.

Inspektor Ignaz Braun wpatrywał się w szparę oddzielającą go od niezmaconego gwarem świata.

Przez chwilę zdawał mu się, że o niczym nie myśli, ale nie była to prawda.

"Nigdy nie jest tak, że nie myślę" pomyślał.

"Mamy dzisiaj niedzielę" jego umysł zaraz odpowiedział na pytanie, dlaczego ulica śpi.

Właściwie nie lubił niedziel.

Jako pruski urzędnik państwowy, w dodatku coś znaczący w stołecznym Wydziale Zabójstw, zdawał sobie sprawę, że niedziela jest potrzebna.

Że bez niej porządek rzeczy, niezmacony żadną odmianą, stałby się nie do zniesienia.

Że nawet policjant ma święte prawo do odpoczynku.

Ma prawo, aby pójść z żoną i dziećmi do Tiergarten albo przyrzuć się bez pośpiechu wystawom na Ku'dam.

Wszystko to wiedział, zdawał sobie sprawę ze wszystkich społecznych (a nawet państwowych) konsekwencji świętowania niedziel.

A jednak.

zawsze niepokoił go stan zawieszenia, jaki nieodmiennie panował w święty dzień.

Nie potrafił spać do południa, jak inspektor Boehmerz pokoju 82 na drugim piętrze Wydziału.

Tak, tamten spał do 10.

18 nawet tego dnia, kiedy późnym popołudniem razem przeprowadzali zasadzkę na pękatego domokrążcę, który okazał się mordercą trzech burmistrzów z Nadrenii.

Braun był inny.

Nastrój poranka, bez względu na porę roku i aurę, zawsze wprowadzał go w dobry humor.

Mógł wstać bardzo szybko, pił wtedy gorącą kawę, czarną jak smoła, wyglądał przez okno na miasto tętniące życiem, jak pies myśliwski węszył ofiarę.

Patrząc na przechodniów, zestawiał fakty dotyczące zupełnie innych ludzi.

Skojarzenia wirowały wtedy jak szalone, a świadomość bliskiego wyjścia do pracy sprawiała, że serce biło jak przypierwszym w życiu pocałunku.

Z okien starej, poczciwej garsoniery przy Diirenergasse widział znacznie więcej.

Od kiedy jednak rozpoczął nowe życie i zamieszkał w spokojniejszej dzielnicy, nie mógł już tak intensywnie chłonąć atmosfery budzącego się miasta.

Trudno, coś za coś.

Niedziela.

Ledwie dostrzegalny grymas utrzymywała się na jego twarzy.

Bezruch, martwota, dookoła żadnego przestępstwa.

W dodatku koszula nocna nie jest dostatecznie sztywna.

Koszule krochmalone w domu są znacznie sztywniejsze.

Kiedy budził się w niedzielne poranki, wiedział od razu, że będzie miał melancholijny nastrój, wzbożony nutą niecierpliwości.

Że czegoś będzie mu brakowało.

Wiedział, czego.

Ten rano różnił się jednak od wielu innych, jakie przeżył w przeszłości.

Ignaz miał poczucie niespełnienia.

Nie było to zwyczajne niedzielne niespełnienie.

Z wolna ogarniały go bezsilność i irytacja.

Chciałby, aby jasność umysłu, tak czywista na codzień, wróciła do niego radosna i świeża.

Czuł, że będzie mu potrzebna, ale nie wiedział, dlaczego.

"Policyjna intuicja.

Profesor Liedtke uczył nas, że należy dziękować Bogu, ilekroć ta muza się pojawia.

Więc dlaczego pojawiła się teraz?

"Rozległo się delikatne, lecz miarowe pukanie do drzwi.

Braun szybkim spojrzeniem ogarnął zegar Adlera wiszący nad sekretarzykiem.

Proszę!

Dzień dobry szanownemu panu.

Ładny poranek mamy dzisiaj.

Szanowny pan zczył sobie mocną kawę o godzinie 7.

00. Dziękuję, Wilhelmie.

Za odzianym w granatowy uniform chłopcem hotelowym zamknęły się drzwi.

Inspektor abawiło, że ktoś o tak skromnym statusie społecznym nosi cesarskie imię.

"Co się ze mną dzieje?"

Niemam jasności myśli, nie czuję też zniechęcenia".

Ostrożnie wyszedł z łóżka i podszedł do stolika, na którym dymił porcelanowy dzbanek.

Przyłożył do delikatnej ścianki miśnieńskiej porcelany.

Szybko cofnął rękę i cichutko syknął.

Dobrze, ból jest prawidłowym objawem powiedział na głos.

Kawa niepodziałała na Ignaza orzeźwiająco.

Zostawiała w ustach posmak goryczy.

Nie, nie kawa była potrzebna inspektorowi.

Przypomniał sobie, że zwykle w takich okolicznościach należało po prostu odczekać chwilę lub dwie, aż wszystko jakoś samo poukłada się w mózgu.

Nie lubił jednak czekać, choć czekać potrafił, gdy zaszła taka konieczność.

Poranna gimnastyka, oto czego było mu trzeba!

Nawszelki wypadek, gdyby wstawanie i przybieranie postawy zasadniczej miało okazać się trudne, zastosował metodę wypróbowaną we wszystkich pruskich koszarach.

Raz, dwa, trzy!

i wstał.

Kręgosłup naprężył się jak struna harfy.

Rytmiczne ruchy rąk i nóg, przyspieszone bicie serca, kark przekręcający się w różne strony, puszysty dywan poruszony przez człowieka, w którego na nowo wpływało życie.

Krew napływała do mózgu.

Jeszcze parę skłonów, kilkadziesiąt przysiadów, pięścibijące z rytmiczną wściekłością w powietrze.

Czuł, jak pierzcha gdzieś paraliż ciała i ducha, który tak obezwładniał go po przebudzeniu.

Ignaz wiedział, że wysiłek przywraca zdrowie nie tylko ciało.

Coraz dokładniej przypominał sobie to, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

Nie, poczucie bezsilności i zły nastrój nie były efektem niedzieli ani wypitego alkoholu.

Niedziela działała oczywiście obezwładniająco, ale nie aż do tego stopnia.

A alkohol?

Nigdy nie miał z nim problemów.

Zbyt lubił smak rozmaitych win, piw i sznapsów, aby pozwolić sobie na ich profanację.

Nienawidziłby też szczerze poczucia utraty kontroli nad samym sobą.

Owszem, wypił dwakieliszkibardzo gęstego portu, ale nic poza tym.

Cygara?

Było ich ze trzy, może cztery.

Tyleco zazwyczaj.

Analiza poprzedniego wieczoru wcale nie dotyczyła używek.

Ogniskowała się wokół kilku postaci.

Charakterystycznych postaci, po części nieznanymi Braunowi do tej pory.

Ćwiczenia gimnastyczne stawały się coraz bardziej rytmiczne i uporczywe.

Każdy ruch wtłaczał do umysłu słowa usłyszone kilka godzin wcześniej, odtwarzał gesty, spojrzenia, uśmiechy.

Wreszcie inspektor poczuł się tak, jakby wchodził do gmachu na Alexanderplatz, gdzie mieściła się siedziba stołecznej policji kryminalnej.

Nie, nie było przednim Arnolda von Marburga, ani też legendarnego już von Hillessema, szefa służby

Śledczej, przed którym ugięły się kolana wszystkich policjantów cesarstwa.

Nie był przed Ignazem Braunem nikogo, kto mógłby zmarszczyć brwi lub nawet przekrzywić monokla.

Przed nim stał ktoś znacznie bardziej wymagający on sam.

Co takiego wydarzyło się poprzedniego wieczoru, że po kilku godzinach Ignaz znalazł się na moment (lub nawet kilka) w stanie rozbicia osobliwie pomieszanego z rozdrażnieniem?

"Gimnastyka czyni cuda" pomyślał.

Poukładane już wspomnienia, tworzące precyzyjną mozaikę, napełniały wyobraźnię policjanta widokami jak z sennego marzenia.

Co takiego się wydarzyło?

To samo pytanie zadał sobie kolejny raz.

Przecież nic ważnego.

Zniknęła wywołana właśnie fotografia.

Nic ważnego.

Dla funkcjonariusza Wydziału Śledczego nie takie sprawy stanowią temat do rozmyślań.

Dla Ignaza tematem odpowiednim byłby przypadek Elwiry Motter z Augsburga, która zamordowała swoją ciotkę z uwagi na nieodpowiedni kształt noszonych uparczywie przez przyszłą denatkę bluzek.

Tak, albo na przykład Świstak z Oberheim.

Ignaz Braun przebywał w Wejherowie na jakże zasłużonym, choć przymusowym, urlopie i naprawdę powinien zwracać sobie głowy przeczuciami.

Po drugiej stronie drzwi stał Wilhelm.

Braun wiedział, że to znów chłopiec hotelowy, ponieważ zapukał identycznie jak poprzednio.

Ośmielony zaproszeniem, Wilhelm stanął w odległości półtora metra od policjanta i przypatrywał mu się troskliwie.

Czy coś się stało, mój chłopcze?

zapytał zdziwiony Ignaz.

Nie, nie, przepraszam szanownego pana, ale.

O co chodzi?

głos policjanta był onutę cieplejszy.

Bo widzi szanowny pan.

Nic nie widzę.

Przysłał cię pan Alsleben?

Nie. Właśnie o tosię rozchodzi, że nie.

Bo szanowny pan.

Japrzepszam, ale od najmłodszych lat powiedział takim tonem, jakbyznajdował się u schyłku długiegożywota interesując się medycyną.

Moja rodzina jest nieza bogata, dopierozbieram nagimnazjum.

Ale ja tak się tąmedycyną interesuję, że zmartwiłem się.

Paninspektor cośnie za bardzo wyglądał, jak wcześniej wszedłem.

Pomyślałem, że możeto być skutkiem jakiejś nerwicy albo załamania.

Ta myśl niedawała mi spokoju.

Dlategoprzyszedłemzapytać, czy z panem inspektoremwszystko w porządku.

Braun uśmiechnął się.

Kiwnął przyjacielsko ręką naWilhelma.

Sięgnął do pugilaresu leżącego na stoliku i dałchłopcu napiwek w postaci marki.

Jestem w dobrej dyspozycji.

Ale jeśli wszyscy członkowie personelu hotelowego są tacy jak ty, pan Alslebenjestw jeszcze lepszej dyspozycji niż ja.

Dziękujęszanownemu panu.

Pan inspektor nie mówio tymmojemu pryncypałowi, dobrze?

Skoro tak sobie życzysz.

Pan Alsleben zawsze powtarza, że nie należy zbytmczyć gości swoją natarczywością Wilhelm skłonił

sięprzepraszająco i bezszelestnie zamknął zasobą drzwi.

Braun zaraz porzucił maskę uśmiechu.

Jednym krokiem znalazł się przy owalnym dębowym lustrze.

Nie dopatrył się w swojej twarzy niczego szczególnie niepokojącego, ale wiedział też, że przed godziną znajdował się w stanie, który przerastał jego wiedzę dotyczącą stanów ducha.

Ten młódzieniec może być kiedyś psychoanalitykiem, tak jak ten wiedeński dziwak, pan Freud.

Zauważył we mnie coś, czego sobie nie uświadamiałem: moje wewnętrzne "ja" widziało coś, przeczuwało coś, odnalazł fałszywy ton powiedział na głos do lustra.

Nie chciał zajmować się przez tych parę dni żadną sprawą, która wymagałaby myślenia kanonami policyjnymi.

Przyjechał do Wejherowa mniej niż tydzień.

Chciał pozłatwiać sprawy spadkowe dotyczące cioci Bernadety.

Tym przykrym obowiązkiem miał oddać się wspólnie z Brunonem Sychowskim, swoim teściem, który, jako człowiek zdecydowany i energiczny, powinien być dla Ignaza wielką pomocą przy sprzedaży domku nieboszczki, paru prętów pruskich gruntu nieopodal centrum miasta i ruchomości w postaci mebli.

Tym należało się zająć, a nie fałszywą intuicją.

Młody człowieku powiedział doniego Sychowskina peronie kolei żelaznej straciliśmy cudowną kobietę, ale przynajmniej miałeś sposobność spotkać się ze starym kolejarzem.

Słowo tym towarzyszył żelazny uścisk dłoni, którego Ignaz zawsze się lękał.

Nie lubił bólu.

I miał to być czas święty, czas rodzinny.

Ze "starym kolejarzem" spędził jedynie kilka godzin, później naczelnik 10 stacji w Lęborku musiał na cały dzień oddać się swoim obowiązkom pruskiego urzędnika państwowego, Ignaz natomiast wpadł

wsidła towarzyskie, jakie zastawił na niego siostrzeniec profesora Puppego, przebywający czasowo w Wejherowie Sigmund von Mach.

Ignaz poznał Sigmunda jeszcze w Berlinie.

Tamten, dowiedziawszy się, że inspektor gości w tym samym miasteczku, postanowił, że przedstawi go swoim znajomym.

Dla Brauna nie była to zbyt przyjemna perspektywa.

Był mało towarzyski i w godzinach wolnych od pracy cenił sobie święty spokój.

Zwłaszcza że był tak często przerywany.

Sigmund natomiast pragnął zaimponować towarzystwu towarzyskimi znajomościami.

W przestronnym salonie domu przy alei Wilhelma, wynajmowanym wraz z kilkoma innymi pomieszczeniami przez panią Wilfridę Neiss, w sobotni wieczór odbyło się miłe spotkanie.

Zebrało się na nim towarzystwo stosunkowo eleganckie.

Przed oczyma Ignaza stanęli wszyscy, którzybyli gośćmi pani Wilfridy.

Jej bratanica, Elza.

Wesoła, może zanadto wesoła szatynka, lubiąca być w centrum zainteresowania.

Schlebiało jej, kiedy młodzi ludzie adorowali ją, choć Ignaz miał nieodparte wrażenie, że traktuje ich zainteresowanie jako znakomitą zabawę.

Kiedy miał sposobność rozmowy z Elzą sam na sam, w ciągu paru minut przekonał się, że młoda osoba jest wcale inteligentna, w dodatku sprytne, a jej powierzchowna bez troska jest jedynie pozą ułatwiającą i uprzyjemniającą codzienność.

Pani Wilfrida, pomijając wiek, zdawała się przeciwieństwem Elzy.

Wysoka, zanadto szczupła, koścista, nie miała w sobie nic z matrony, za jaką chciała uchodzić w oczach towarzystwa.

Przypominała raczej klucznicę ze średniowiecznego zamku, która pilnuje powierzonego jej dobytku.

Dobytkiem była bratanica.

Pozorna swoboda, jaką pani Wilfrida zostawiała Elzie, była złudna.

Czujne oko ciotki nieustannie śledziło pannę, a zwłaszcza jej adoratorów.

11.

Otto Meinhard niewątpliwie należał do adoratorów Elzy.

Mógł się nawet podobać.

Młody, przystojny brunet, ubran starannie i bez wyzywającej, zbyt modnej elegancji.

Może zanadto dawał odczuć otoczeniu swoje dobre wykształcenie.

Ależ nie każdy kończył prawo na uniwersytecie w Heidelbergu, w dodatku tak imponującym stylu, czego Otto nie omieszkał parę razy zaznaczyć.

Nie narzucał się jednak swoją osobą ponad miarę, a kiedy upatrzył sobie rozmówcę, zaraz po zaznaczeniu swojej pozycji starał się też słuchać, co tamten ma do powiedzenia.

Stryj Ottona, Gottlieb Meinhard, był z kolei przeciwieństwem swojego młodszego krewnego.

Jego tusza osobliwie kontrastowała z zażywnością.

Kiedy wstawał z krzesła, kiedy obracał się do rozmówcy, nagle tracił całą zwałistość, a fałdy tłuszczu nabierały lekkości.

Czerwona, niecoplebejska twarz była ruchliwa, bystre oczy łapały na wszystki stronę.

Gottlieb starał się dostrzec wszystko, co mogło stać się godnym uwagi.

Miał wielką łatwość w nawiązywaniu znajomości.

Jego interlokutor od pierwszej chwili miał wrażenie, że zna Meinharda od lat.

Ambicją pani Wilfridy było, aby w spotkaniu uczestniczył miejscowy pastor.

Franz Class, jowialny duchowny, był do pewnego stopnia podobny zewnętrze do Gottlieba Meinharda.

Tak samo obdarzony godną masą ciała, wykorzystywał ją do godnego siadania w fotelu.

Z powolną starannością sięgał widelcem po kolejny kawałek jabłeczniaka i jeszcze staranniej podnosił w górę mały palec prawej ręki, gdy do dużych mięsistych przysuwał filiżankę z parującą kawą.

Podczas rozmowy patrzył łagodnymi, błękitnymi oczami na wierną duszyczkę, gotowy z wyrozumiałością traktować każdego, kogo Najwyższy postawił na jego drodze.

Siw włosy, w niewielkiej ilości pokrywające łysiejącą głowę, kontrastowały z czerwoną twarzą.

Cóż to tam jednak za kontrast.

Prawdziwym kontrastem dla całej postaci wielebnego Franza był jego syn.

On również był pastorem, ale tylko to, oprócz najbliższego pokrewieństwa, łączyło obu mężczyzn.

Skupiony, mało mówiący Georg Class więcej czasu, niżby nakazywała przyzwoitość, poświęcał Elzie.

Panna jednak niewiele robiła sobie tego zainteresowania.

Podjęmowane przez niego próby nawiązania kontaktu zbywała pobłażliwym uśmiechem, niekiedy tylko odpowiadając na pytania Georga, jeśli już nie miała innego wyjścia.

A on, wysoki, chudy, w drucianych okularach i nienajnowszym ubraniu, za każdym razem odsuwał się zraniony, by już po chwili powracać w jej okolice.

Jedynym małżeństwem w towarzystwie byli Ernest i Antoinette Schrederowie.

On był wziętym adwokatem, który prowadził praktykę w Kolonii, a do Wejherowa przybył przy okazji sprawy majątkowej, wcale dla niego intratnej.

Przez cały wieczór rozprawiał, kim popadło o polityce i sprawach społecznych, wyrażając się przy tym z wielką pewnością i, Braun przyznawał to w duchu, z nawiązką.

Najdłużej dyskutował ze starszym pastorem.

Zaprzysięgły liberał, z niejakim lekceważeniem wypowiadał się o cesarzu, co w zebranych wywołało z początku wielką konsternację.

Z chwili na chwilę zaczęli się wprowadzać przyzwyczajając do poglądów Schredera, nie na tyle jednak, by uznać je za coś zwyczajnego.

Elegancki, obyty adwokat wzbudzał zaciekawienie, a aura lekkiego zgorznięcia dodawała muzyki, choć nie sympatii.

Jego żona, Antoinette, zdawała się nieobecna.

Francuzka z Alzacji, o oliwkowej cerze i kruczoczarnych włosach, wzbudzała zainteresowanie mężczyzn, chociaż nie zdawała się przejmować ani jednym, ani drugim.

Była zapatrzona gdzieś ponad całe towarzystwo, a jej odpowiedzi, krótkie i uprzejme, świadczyły o tym, że wprowadzenie zamierza uchodzić za niegrzeczną, natomiast niewiele ponad gotowa jest z siebie wykrzesać.

Sigmund von Mach był duszą towarzystwa.

Właściwie to on był inicjatorem całego spotkania.

Wesoły, choć w granicach zachowania wszystkich koniecznych konwenansów, rozmawiał z

wszystkimi po koleigości pani Wilfridy, najlepiej jednak porozumiewał się z Meinhardami, których już wcześniej znał i z którymi zamieszkał po sąsiedzku w hotelu.

Jego kremowy garnitur i wzorzysty krawat poruszały się.

od jednej osoby do następnej, a jasna czupryna z opadającą niesfornie grzywą co chwila była podrzucana, odsłaniając wypukłe, cokolwiek za wysokie czoło.

Sigmund bawił się doskonale, mimo że próbował coraz przybierać pozę zblazowanego dandysa.

Widział w swym krótkim życiu wiele, bywał we wszystkich praktycznie stolicach europejskich, odbył podróż do niemieckich kolonii w Afryce; mówił często, że wszystko, co w życiu interesujące, ma już zasobą.

Równocześnie jednak spoglądał z ukrycia na Eleonorę Gephard, a spojrzenia te zdawały się świadczyć, że jego filozofia życiowa jest w jawnej sprzeczności z praktyką.

Właśnie, Eleonora Gephard.

Najlepsza przyjaciółka Elzy.

Wszędzie było jej pełno, zagadywała każdego, kto stanął na jej drodze.

Dołki w policzkach były pysznym elementem wyróżniającym młodą pannę; sprawiały one, wraz z żywym i wesołym usposobieniem, że była atrakcyjną osobą.

Nie miała w sobie tej skłonności do kokieterii, jaką epatowała otoczenie Elza.

Może to sprawiało, że Sigmund von Mach zainteresował się nią.

Zbyt często miał do czynienia z panienkami, które ze wszystkich sił pragnęły zwrócić na siebie uwagę przystojnego i zamożnego berlińczyka.

Jeszcze jedna osoba nie zwracała uwagi na stołecznego dandysa.

Była to Gertruda Dangel.

Zdawała sobie aż nadto sprawę, jak należy zachowywać się w towarzystwie, i właściwie tylko tyle Ignaz mógłby powiedzieć o niej nad inspektorowi von Marburgowi, gdyby stanął przed jej biurkiem i został

przez przełożonego zasypany gradem pytań.

Co do wyglądu bowiem panna Dangel zdawała się przezroczysta.

Braun dziwił się tym, odkryciem nie pamiętał, jak wyglądała osoba obecna na spotkaniu.

Pamiętał tylko, że tam była, a nazwisko zapamiętał, ponieważ zawsze zapamiętywał nazwiska.

W ciągu ponad pięciu lat, jakie dzieliły inspektora od pierwszego pobytu w Wejherowie, nie zapomniał

także nazwiska Maximiliana Paschinskiego.

Doktor, małomówny jak wtedy, stał się jeszcze bardziej melancholijny i cichy, jeszcze bardziej dyskretny i starający się nie rzucać w oczy nikomu.

Zdawał się zainteresowany głównie jabłecznikiem, którego zjadł o wiele więcej niż pastor Class, obdarzony wyśmienitym apetytem.

Pastor mówił ciągle i pielęgnował każdy gest, Paschinskiemu tych cech był pozbawiony.

Niemożna było ocenić, czy w towarzystwie czuje się dobrze, czy też nie, jego pochyloną głowę, ozdobioną kruczo czarną brodą, wyposażoną była w twarz niemal kamienną.

Ostatni gość pani Wilfridy był nie lada oryginałem.

Już sam fakt, że pochodził z dalekiej Norwegii, wzbudził wielkie zainteresowanie zebranych.

Nazywał się Lars Hamaren.

Do Wejherowa przybył z oboma Meinhardami, choć przyjaźniony był z Ottonem, nie tylko z racji wieku.

Ukończył w Heidelbergu te same studia co Meinhard.

Hamaren żył jako rentier, bardzo bowiem nie lubił ani swojego wykształcenia, ani zawodów, jakie dzięki niemu można było uprawiać.

Całymi godzinami mógł rozmawiać o malarstwie i literaturze, co osobliwie łączył z chwilowymi stanami apatii i nieobecności duchowej.

Poprzedniego wieczoru Ignaz do pewnego momentu obserwował gości, starał się zamienić z każdym parę grzecznościowych słów i nawet pomyślał, że kilka osób należy dogatunku interesujących.

W końcu poczuł się nieco znużony.

Trzeci raz w ciągu poranka rozległo się pukanie do drzwi.

Proszę głosu inspektora był cichy i nieobecny.

W drzwiach stanął Alsleben.

Panie inspektorze.

Przepraszam najmocniej.

Proszę bardzo.

Czym mogę panu służyć?

Hotelarz delikatnie odchylił się nabok.

Zza jego pleców wyrosła zwalista postać komisarza Rudigera Renscha, szefa wejherowskiej policji.

Pan komisarz!

zawołał Ignaz.

Najmocniej przepraszam, zamierzałem pana odwiedzić, od niedawna jestem w mieście.

Wczorajszy dzień spędziłem niezupełnie tak, jak zamierzałem z początku.

Tak. Wczorajszy dzień.

Witam pana, witam, drogi inspektorze.

Cieszę się, że w dobrym zdrowiu.

Tak. To wi 15.

dać na pierwszy rzut oka.

Mam w końcu wieloletnią praktykę.

Niech uścisknę pańską dłoń!

Komisarz Rensch potrząsał prawicą Ignaza z wielkim zaangażowaniem, potem otarł pot z czoła, a po wyjściu Alslebenarozejrzał się za fotelem, lub przynajmniej krzesłem.

Kiedy Braun wskazał mu wygodny mebel, Rensch machnął ręką i wyrzucił z siebie jednym tchem: Tak.

Znowu kryminalna sprawa jak się patrzy.

W spojrzeniu Brauna malowała się niedowierzenie.

Czyżby komisarz wypił o jeden koniaczek za dużo?

Może żartuje sobie w dość niekonwencjonalny sposób?

Szef wejherowskiej policji zauważył wahanie rozmówcy.

Popatrzył mu w oczy spokojnie, bez zbytniego nacisku, bardzo trzeźwo.

Zapytam panajako przyjaciel, ale pytanie bedzieskierowane przez oficera cesarskiej policji.

Tak.Niestety.

Czy wczorajszego wieczoru widzial pan w mieszkaniu pani Wilfridy Neiss Theodora Pratza, fotografa, zamieszkalego w Wejherowiei tu posiadajacego atelier?

Owszem.

Pan Pratz jest bardzo milym czlowiekiem.

Chcialem z nim porozmawiac na temat widokowek, ale czasujest zawsze tak malo.

Rensch znowu otarl pot z czola.

PratzBYL bardzo milym czlowiekiem.

Tak.I obawiam sie, ze juz nigdy nie porozmawia z nim panowidokowkach.

FOTOGRAFTheodor Pratz nalezal dogatunkuludzi, ktorychwszyscy szanuja.

Jego atelier przy ulicy Lęborskiej, calkiem blisko hotelu Königlicher Hof, nalezalo do starszychw mieście.

Zupelnie tak jak pan Pratz, czlowiek starszy od wiekszości wejherowian.

Nie byl w okolicy nikogo, ktone znalby sędziwego fotografa.

Przygarbiony, zawsze jednak elegancko ubrany, dzwigajacy statyw i aparat fotograficzny, stal siez biegiem lat nieodlaczny elementem rodzimego krajobrazu.

Zyli jeszcze tacy, ktorzy pamietali, gdy byl mlodym czlowiekiem, ale dla ogolu Theodor Pratz, przytloczony cięzarem narzedzi pracy, chodzil ulicami miasta od zawsze.

Przykra sprawa.

Tak.Wszystkiego bym sie spodziewal, ale nietego, ze ktos zabije starego Theodora komisarz Rensch zdawal sie szczerze niepoczony.

Czy pan wie, zemoja Katarzyna i ja robilismy sobie u niego zdjecia jeszcze za czasow narzeczeńskich?

Kawal czasu.

Stali we czterech na zapleczu dośc ladnego domu przy ulicy Pętkowickiej, gdzie w dwóch pokojach mieszkal fotograf.

Dookola zielenily sie drzewa, wyrastaly bujne krzewy, pachnialy kwiaty.

Jedno tylko zakłócało sielankowy pejzaż.

Na trawie leżały zwłoki fotografa.

Nad nimipochylali się inspektor Braun i komisarz Rensch.

Posterunkowi Bochentin i Kandzorra skończyli właśnie przeszukiwać kieszenie

i torbę nieboszczyka.

Czekano jeszcze na doktora Paschinskiego, który miałstwierdzić oficjalnie przyczynę zgonu.

Oficjalnie, bo na pierwszorzut oka widać było, jak zginąłPratz.

Leżał na plecach,a spod sercawystawał sprężynowynóż.

Pan Paschinski niepowienic, czego my byśmywcześniej nie zauważyli, panie komisarzu pokiwał głowąBochentin.

Fachowa robota.

Takie zwłoki widywałemw Gdańsku wczasie praktyk.

Robotnicy portowi załatwiali porachunkimiędzy sobą cicho i sprawnie, bezdwóchzdań.

Jeden taki, rudawy, z wystającą szczęką i złymioczami, miałna koncie kilkanaście identycznych zabójstw.

Nieboszczykzdawał sięzaskoczonytym, co go spotkało.

Na jego twarzy niemalowało się cierpienie.

Nie zdążyło.

Tak.Tyle i ja zauważyłem.

Jeden cios, nóż tkwi posamą rękojeść odparł Rensch.

O, idzie już doktor!

Paschinskiukłonił się zebrany w milczeniu i od razuprzystąpiłdo oględzin.

Nie zajęły mu wiele czasu.

Uważniepomacał nóż,dotknął otwartą dłońiączołazmarłego, zajrzałwjego otwarte oczy, przyłożyłlusterko do ust.

Zgon powiedział cichym głosem nastąpił około 22.

00. Jedno pchnięcie.

Zadane fachowo.

I to wszystko?

włączył się Braun.

Tak. Niczego więcej nam pan nie powie?

Rensch niedawał zawygraną.

Doktor Paschinski, wbrew swoim obyczajom, zdziwił się.

Równocześnie bezradnie rozłożył ręce i zaczął zdejmować czarne, obcisłe rękawiczki.

Przykro mi.

Jako lekarz zrobiłem wszystko, co domnie należało.

Sekcja zwłok jest zbyteczna.

Przecież nieumarła zawał serca, to widać.

No tak, rzeczywiście odpowiedział komisarz.

Cóż, po oficjalny akt zgonu zgłosim się do pana jutro, dobrze?

Paschinski skinął głową.

18 W takim razie podziękujemy już panu i kontynuował Rensch.

Reszta należy do cesarskiej policji i wyprężył się.

Tak. Bez wątpienia.

Kiedy Paschinski oddalił się bezszelestnie, Rensch machnął ręką i wyraził żal, że doktor Gessler wyjechał ponownie do Kamerunu.

Z pewnością znalazłby coś, co mogłoby powiedzieć policjantom parę rzeczy o sprawcy.

Pamięta pan doktora Gesslera, inspektorze?

zakończył ze smutkiem.

Takiego człowieka się nie zapomina lekko uśmiechnął się Braun.

Ale, drogi komisarzu, już wczoraj spotkałem pana Paschinskiego.

I był jedną z kilku osób, które jako ostatnie widziały przy życiu Theodora Pratzę.

Rensch zrobił wielkie oczy; nie wiedział, że doktor był wczorze.

Braun w paru słowach powiedział o spotkaniu z lekarzem, jakie miało miejsce w domu pani Wilfridy.

Niech pan opowiada dalej!

Ale nie rozmyślił się nagle.

Zachwilę, przepraszam.

Posterunkowi!

Proszę o dokładne zewidencjonowanie w brulionie wszystkich przedmiotów, jakie miał przy sobie stary Theodor, to znaczy nieboszczyk.

Na głos.

Na głos zapisujcie.

Kandzorra wyjął z policyjnej torbyszary brulion, a Bochentini zaczął przekładać z kupki kupkę drobne przedmioty, wyliczając je uroczystym tonem, zupełnie tak, jakby był doświadczonym pracownikiem przedsiębiorstwa pogrzebowego z samego Berlina.

Chusteczka do nosa, używana.

Scyzoryk firmy Dessau, zniszczony, bardzo stary.

Zegarek Longines, drogi, raczej nowy, srebrny lub posrebrzany.

Trzy marki i osiem fenigów, luzem, niew pugilaresie.

W pugilaresie jakieś notatki z samymi cyframi, mogą to być kalkulacje drobnych sprawunków, nie poważnego.

Kartka z napisem "Sobota 20.

30 p.

Neiss".

To wszystko.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie równocześnie.

Żadnej torby, żadnego sprzętu fotograficznego?

Ignaz zadał pytanie, które brzmiało jak stwierdzenie.

19.

Przecież on zawsze miał z sobą duży torbę potwierdził Rensch.

Miał i wczoraj potwierdził Braun.

Posterunkowy Bochentin czuł, że tego dnia jego umysł pracuje na najwyższych obrotach.

Często miewał takie dni.

Nie mógł przecież zostawić swojego aparatu, statywu i innych takich rzeczy w domu, a potem jeszcze wyjść, bo wcześniej stróż musiałby go zobaczyć.

Nieboszczyk notorycznie gubił klucze, wreszcie zmartwił i dawał swój komplet stróżowi.

Przychodził po nie zawsze, kiedy wracał do domu.

Zresztą zeznanie stróża wyjaśnia wszystko i wywraca naszą teorię do góry nogami.

O czym mówicie, posterunkowy?

zdziwił się Braun.

Komisarz Rensch klasnął w dłoń.

Bo teraz będzie najciekawsze!

Tak! Stróż zeznał, że wyszedł za potrzebą, zobaczył jakiegoś i upadającego Pracza.

Fotograf umierał, zdążył jeszcze wyszeptać: "

tak się starałem.

pewnie nie spodobałoby się zdjęcie.

jakiś błąd.

ale poco nożem.

taki gość.

". Twarz Brauna nabrała charakterystycznej barwy zgniłej zieleni.

Morderca.

Wczoraj, wśród gości?

Czyli przeszukiwanie mieszkania nie ma specjalnego sensu?

Ale może jednak?

Już przeszukane wyprężył się Renschalet jest tylko jedno łóżko, trzy krzesła, dwa oleodruki, krzyżna ściana.

Widać, że życie Pracza ogniskowało się wokół atelier.

Portier ma też klucze do zakładu.

W takim razie chodźmy tam!

Tak! Posterunkowy Kandzorra, zostaniecie tuż nieboszczykiem do czasu przybycia tych ludzi z kostnicy.

Inspektorze komisarz wskazał Ignazowi furtkę, za którą kończyło się podwórko.

Dziękuję powiedział Braun metalicznym głosem.

Atelier Theodora Pracza mieściło się dosłownie naprzeciwko okna pokoju hotelowego, w którym zamieszkał Braun.

Po upływie kwadransa odopuszczenia miejsca zbrodni oczom policjantów ukazało się królestwo człowieka, który fotografowanie darzył wielką i wierną miłością.

W środku panował zaduch.

Krótki, lecz szeroki korytarz, ozdobiony ciężką haftowaną kotarą, prowadził do pomieszczenia, w którym Theodor Pratz przyjmował klientów.

Niewiele było tam mebli: trzy krzesła, biurko, szafka.

Gdyby nie wystrój ścian, można by powiedzieć, że pokój jest pustawy.

Przez szerokie okno wystawowe sączyły się południowe, wesołe promienie słoneczne.

Ale ściany.

Ściany były całkowicie wypełnione fotografiami.

Ambrotypów było stosunkowo niewiele.

Jeden z nich przedstawiał kobietę w czarnej sukni z białym kołnierzem.

Trzymała w ręku bukiet kwiatów.

Liczne dagerotypy obrazowały przeróżne egzotyczne widoki arabskie, dalekowschodnie, trochę europejskich, chociaż najsympatyczniejszy przedstawiał dwie dziewczynki siedzące nad

wielkąsięgą.

Osobniejsce zajmowały medaliony małe, a ledzi killiczbie zajmujące w pomieszczeniu poczesniejsce.

Na przybyszów patrzyły twarze ludzi żyjących niegdyś, całkiem niedawno idzisiaj.

Ignaz bacznie przyglądał się twarzom sfotografowanych, choć czynił tak dla własnej ciekawości, a nie dla potrzeb śledztwa.

Komisarz Rensch zainteresował się portretami sylwetkowymi, ponieważ kiedyś znalazł u rodziców na strychu kilka takich dziełek.

Tutaj czarne profile wydawały się obojętne na wszystko, codziąło się wokół nich, i nie zwracały najmniejszej uwagi natrzec policjantów.

Uwagę Brauna, który obejrzał już medaliony, wzbudziła półka z kalotypami³ zakłętymi w porcelanowej spodki.

Wi' Ambrotyp rodzaj fotografii, obraz negatywowo-pozytywowy uzyskany powylaniu emulsji kolodionowej na czarne szkło (przyp.

red.).

2 Dagerotyp rodzaj obrazu fotograficznego uzyskiwany po nałożeniu warstwy jodu srebrana polerowaną i posrebrzoną płytkę metalową, naświetlany i wywoływany w parach rtęci (przyp.

red.).

3 Kalotyp technika fotograficzna, w której materiałem światłoczułym jest papier nasycony azotanem srebra, po wysuszeniu moczony w roztworze chlorku lub bromku sodu.

Obraz uzyskuje się na płytce, którą można wielokrotnie reprodukować (przyp.

red.).

21.

doki przyrody, scenki rodzajowe i portrety bawiłyoko policjanta tak samo jak porcelana.

"Popowrocie do Berlina koniecznie powinienem zaprowadzić Bernadetę dojakiegośdobrego atelier i zamówić parę cacuszek z jej podobizną"rozmarzył się.

Inne kalotypy pyszniłysięna muszlach z mórz południowych, szklanych przyciskachdo papieru, wachlarzachi Bógwie, na czym jeszcze.

Modneostatnimilaty fotografie przedstawiałyscenyz udziałem osób w sklepie.

Krawcowe nad belapłótna, aptekarz przy słojach, rzeźnik natle wiszących pęt kiełbasy.

W pomieszczeniu nie brakowało światłodruków, zdjęćstereoskopowych, albuminów4.

Nigdy dokładniej nie przyglądałem się królestwu nieboszczyka Pratzta.

Tak.To prawdziwemuzeum dziwił sięRensch,pogwizdując co raz którąś z arietek pana Lehara.

Tymczasem inspektor zauważył na biurku dwie koperty.

Jedna zawierała list od niejakiego Hóffertaz Hamburga,w którym oprócz paru branżowych informacji nie byłoniczego.

W drugiej kopercie znajdowało sięzdjęcie wizytoweZakładu Fotograficznego Walerego Rzewuskiego zKrakowa, ul.

Podwale 27 B.

Posterunkowy Bochentin zwrócił się Rensch dopolicjanta,który szybko dołączył do oficerów zabierzcieobiekoperty zsobą.

Widać, że to ostatnia korespondencjanieboszczyka, trzeba będzie napisać do obu fotografów,choćnie podejrzewam, żeby coś mądrego miało z tego wyniknąć.

Tak jest,panie komisarzu!

Niech pan spojrzy na to zaproszenie ślubne ze zdjęciem w kształcie wachlarza!

ucieszyłsię tymczasemBraun.

Muszę powiedzieć o tym podinspektorowi Katschmarkowi, niedługo żeni się z pewną brunetką.

Pracowałem z nimprzy sprawie Grety z Getyngi.

4 Albumin papier powlekany białkiem i chlorkiem sodowym,uczulany azotanemsrebra; negatyw

kopiowano przez stykw światlesłonecznym.

Wskutek tonowania w solach złota lub platyny uzyskiwano zabarwienie brązowe sepiowe lub czamobrunatne (przyp.

red.).

22 Ale proszę nigdy nie mówić w towarzystwie mojej żony, jeśli kiedykolwiek Bóg dopuści, że pan ją pozna, o tych cacuszkach!

Niemaż pan pojęcia, kochany inspektorze, ile ta kobieta potrafi gromadzić kosztownych przedmiotów Rensch wskazał na półkę, gdzie klientów wabiły urodą etui wykładane masą perłową, jak również te z papierową okleiną imitującą skórę.

Posterunkowy Bochentin uznał, że wobec chwilowego rozluźnienia i on może dołożyć swoje trzy fenigi.

A ta ramka z metalu?

O, ta, z metalu i płótna, w kształcie parawanu?

O nie, też musimy zamilknąć w obecności żony pana komisarza?

Kosztuje siedem marek.

Posterunkowy!

Nie do was skierowana była uwaga.

Na sprawy dotyczące Katarzyny Rensch macie być głusi!

Zrozumieliście?

Słusznie, lepiej trzymać się od niej z daleka mruknął Bochentin, a na głos powiedział

regulaminowe "tak jest".

Wytrawnego policjanta, jakim był Ignaz Braun, cechowała dyskrekcja i powściągliwość, o której tyle mówiono na letnim obozie szkoły policyjnej w Recklinghausen, udał więc, że nie słyszy wymian zdań między dwoma funkcjonariuszami.

Zainteresował się zato metalową ramką podtrzymywaną, niby kolumnami, dwiema łuskami karabinowymi.

Z kolorowanej fotografii patrzył na Ignaza młody porucznik z podkręconym wąsem, w czarnym mundurze ozdobionym czerwonymi epoletami.

"Niewzyciężona pruska armia.

" pomyślał inspektor i oczami wyobraźni zobaczył plac, na którym rekruci pod komendą takich poruczników wykuwali w swoich sercach poczucie obowiązku i dyscyplinę.

Kiedy trzech policjanci stanęli przed gablotą, w której na gości Theodora Pracza czekały albumy, jeszcze raz pozwolili sobie na chwilę radości dla oka.

Większość albumów oprawiona była w miękką skórę lub aksamit, w niektórych artysta przygotował miejsce na zdjęcie, wystarczyło tylko sunąć je w ramkę postaci gwiazdy lub kwiatu.

Naraz Bochentin poczuł, że przycisnął butem coś ostrego i kanciastego.

Przedmiot wydał suchy dźwięk.

23.

Posterunkowy!

wykrzyknął komisarz.

W dłoniach Bochentina znalazła się pęknięta klamra do paska z połączonym medalionem, w jej wnętrzu tkwiło zdjęcie wyzywająco ubranej damy.

Oto kobieta w pełni upadła zauważył Ignaz.

A to się panu powiedziało!

Tak! Porado laboratorium zatarł ręce komisarz i śmiało ruszył na zaplecze, do którego znał drogę.

Najważniejsza część atelier podzielona była na dwie części, oddzielone od siebie dużym gładkim parawanem.

Kontrast między nimi był uderzający.

Pierwsza była miejscem, gdzie Pratz fotografował swoich klientów.

Aparat na statywie, przykryty czarną płachtą, wydawał się w kontekście śmierci właściciela samotny.

Już nigdy troskliwe ręce fotografa nie miały dotykać cudownej maszyny, dzięki której wielu ludzi zyskiwało pamiątkę na całe życie.

Pod jedną ze ścian stało kilka plansz kartonowych, stanowiących dla fotografowanych klientów tło.

Górski widok z wodospadem i lasem świerkowym, tożnowa łagodne pagórki z wiejskim kościołkiem, dla wielbicieli terenów zurbanizowanych wielkomięjska ulica.

Za parawanem było znacznie ciekawiej.

Policjanci stanęli przed tajemniczym laboratorium, w którym zdjęcia nabierały realnego, namacalnego kształtu.

Na prostym stoliku leżały rzędy płyt szklanych i kolorowanych odbitek solnych.

Obok nich czekała, gotowa do użycia, skrzynka do uczulania płyt dagerotypowych.

Starość, ale jakże romantyczna szepnął Ignaz.

Starość, tak zgodził się komisarz.

Nieboszczyk Pratz na życzenie klientów wykonywał też dagerotypy.

Niewszyscy mieszkańcy Wejherowa byli przekonani nowoczesnych technik.

Tak. A on lubił takie zabawy w pionierów fotografii sprzed kilkudziesięciu lat.

Sam mam w domu kilkanaście dagerotypów.

Są na nich moidziadkowie.

Bardzo lubię te starocie.

Braun zdziwił się.

Jest pan sentymentalny?

24A ja wolę nowe, ładne zdjęcia.

Wszystko na nich widać i są dokładniejsze stwierdził Bochentin, waząc w dłoniach jedną z płytek.

Komisarz posłał w jego stronę spojrzenie pełne dezaprobaty, wyjął z rąk posterunkowego szklany negatyw i obejrzał go pod światło.

Tymczasem Braun przekładał już papier solne, albuminowe, kolodionowe i żelatynowe, przypominając sobie zajęcia ze współczesnych technik fotograficznych na berlińskiej uniwersytecie, kiedy to profesor Marquardt tajemniczo młodych funkcjonariuszy Wydziału IV w arkana szlachetnej sztuki utrwalania rzeczywistości.

Baczynym okiem taksował opakowania papierów fotograficznych Aristo-Papier z Drezna i Sidi, te ostatnie niezmiennie od lat zdobione wizerunkiem słonia z podniesioną trąbą.

Obaj oficerowie usłyszeli głos posterunkowego: "Planotypią nazywamy zdolność redukcji soli platyny dopłaty metalicznej przez sole żelazowe powstające pod wpływem światła".

Przez musiał mieć tęgi łeb, żeby zrozumieć takie rzeczy.

Albo tutaj, o!

Zestaw chemikaliów do pinotypii.

Wyprodukowany przez firmę Meister Lucius Bruning w Lipsku.

Nigdy nie byłem w Lipsku.

To jeszcze powinieneś poczytać o konserwacji bromkiem potasu, siarczanem miedzi, wodą destylowaną, jak również o odbielaniu zdjęć wkłapieli Rensch z mściwą satysfakcją pokazał

Bochentinowi zeszyt z odręcznymi notatkami zamordowanego fotografa.

Albo o ferrotypii.

A pankomisarz o kliszach bromo-żelatynowych odciął się posterunkowy, uważnie wczytując się w równe, kaligrafowane pismo właściciela zeszytu.

Akiedy ostatni raz oglądaliście panowie przeźrocza pomocą urządzenia pod nazwą latema magica? ucieszyłeś Ignaz, wskazując na drewnianą lakierowaną skrzynię, z której wyrastał obiektyw.

Latarnia magiczna, urządzenie stare jak świat, o pozornie skomplikowanym mechanizmie.

Wejherowianie popatrzyli na siebie niepewnie.

Ignaz chciał wytłumaczyć ci zasadę działania urządzenia, ale

w tym momencie dostrzegł półkę, na którą Theodor Pratz odkładał kryształowe, ręcznie kolorowane fotografie.

Musiał mieć niemałe zdolności plastyczne, zdjęcia wyglądały bowiem tak, jakby powstawały barwne, co jak wiadomo, jest niemożliwe.

Dłużej przypatrywałeś kolorowej fotografii generała von Voigtsa na zegarku kieszonkowym, ponieważ kilka lat wcześniej spotkał generała przy okazji badania sprawy Kapitana XYZ z Frankfurtu.

Panowie, zachowujemy się jak dzieci, które zamknięto na plecach cukierki.

Czego właściwie tutaj szukamy?

zauważył wreszcie.

A... Tego właściwie niewiem zmieszał się posterunkowy, tracąc dotychczasowy rezon.

Tak! Widzicie, Bochentin?

Prawdę mówiąc, ja też od trzech kwadransów stoję wobec tego pytania.

Jako doświadczony policjant, zauważyłem tu wiele interesujących rzeczy.

I nie powiedziały nam one nic.

Absolutnie nic.

Właśnie zgodził się Braun.

Szukamy igły w stogu siana.

Musielimy to zrobić, przy okazji naszego doświadczenia życiowego wzrosło, ale należy chyba wrócić do słów umierającego.

Komisarz pokiwał głową, posterunkowy na wszelki wypadek zrobiło samo.

Obaj z napięciem spojrzeli na Ignaza.

Skorozaczył podsumowanie, powinien mieć jakieś spostrzeżenia.

Spodziewaliśmy się tutaj irracjonalnie podpowiedzi odparł Braun.

Spodziewaliśmy się, że Theodor Pratz zagrobu udzieli nam jakiejś informacji.

Ale w końcu przekonaliśmy się, że tej informacji nie znajdziemy pokiwał głową komisarz, uspokojony nieco, że nie tylko on nie zauważył niczego nadzwyczajnego.

Braun kontynuował.

Zajęcie mieliśmy doprawdy ciekawe.

Przypomnieliśmy sobie zdarzenia i przedmioty, które darzymy sentymentem, mogliśmy się nawet nieco poprzekomarzać.

Niemniej trzech policjantów, z górą trzy godziny przeszukujących atelier, nie znalazło niczego.

Dziewięć godzin, sumując, wypatrywania czegokolwiek zostało zaprzepaszczonych.

I niema w tym naszej winy, żeby nie było nieporozumienia.

Jak to?

Bochentin, przyzwyczajony, że komisarz Rensch wszelkie niepowodzenia zwykł zrzucać na podwładnych, był szczerze zdumiony.

Pan komisarz stwierdził, że Pratz nie miał żadnych krewnych, swoje zbiory dawno temu zapisał miastu, przyczym były one, wyłączając bieżące sprawy warsztatowe, dokładnie skatalogowane.

Motyw rabunkowy nie wydaje mi się prawdopodobny.

Wczoraj, kiedy widziałem go po raz pierwszy, a zarazem ostatni, był spokojny i pogodny.

Widać było, że żadna troska nie zaprzętała jego siwej głowy.

Panowie, czyżby jednak ktoś z gości przyjęcia?

Na moment zawiesił głos, nie bez odrobiny aktorstwa.

Wiedział, że aby zyskać oddanych współpracowników, należy zainteresować ich sekretem, informacją, zupełnie tak, jak robią dzieci w stosunku do innych dzieci.

Nie tylko praca, lecz pasja.

Braun szukał po omacku, ale ranek i wspomnieniakazały mu przypuszczać, że mgła, w której stawia ostrożne kroki, musi się w końcu rozstać.

Wejherowscy policjanci słuchali głośno, aż wreszcie obaj zatarli ręce.

Tak, ja teraz zapraszam do siebie na koniaczek, może dwa, a potem zjemy jakiś obiad, panie inspektorze.

Natomiast wy, posterunkowy Bochentin, możecie udać się do domu.

Tak, przekąście coś i zaraz o siedemnastej oczekuję was w domu pani Neiss.

Nie macie wprawdzie zbyt wiele do zauważenia czegośkolwiek, ale przesłuchiwanie sądzę, że im więcej policjantów, tym gorzej dla nich.

Tak jest!

Pana natomiast, drogi inspektorze, zapraszam na obiad do moich skromnych progów.

Prawdę mówiąc, moja Katarzyna nie jest zła, a nie wybaczyłaby mi, gdybym nie zaprosił takiego gościa.

Już wtedy, przy sprawie młodego Wendersa, okropnie suszyła mi głowę.

Tak, pan nie wie, jak ona potrafi.

fi.

No dobrze, przyjmie pan zaproszenie, mam nadzieję?

Bardzo proszę!

W tym momencie, wychodząc, policjanci przy samych drzwiach zauważyli oparty o ścianę stół i leżący obok aparat fotograficzny.

Te same, które Theodor Pratz miał przy sobie poprzedniego dnia.

A więc odniósł swój sprzęt tutaj zbyt mocno zdziwił się komisarz, chcąc w ten sposób ukryć kłopotanie wynikające z faktu, że żaden ze śledczych nie zauważył przedmiotów tuż po wejściu do atelier.

Nie było innego wyjścia.

Ignaz powędrował z komisarzem do siedziby wejherowskiej policji, gdzie zapoznał się z aktami zgonu i oględzinami zwłok, przyniesionymi przez słownego i dokładnego doktora Paschinskiego, a potem stanął razem z gospodarzem przed drzwiami domku przy alei Wilhelma, gdzie wraz z żoną mieszkał komisarz Riidiger Rensch.

DWIE KOBIETY:

Pani Katarzyna niewyglądała na zaskoczoną przybyciem gościa.

Gość zaś mógłby przysiąc, że nigdy niebywała zaskoczona, była w końcu żoną policjanta i niejednokrotnie widziała.

Wydała służącej, bezbarwnej ale prawdopodobnie kompetentnej, kilka ostatnich krótkich poleceń dotyczących obiadu, sama zakrzętała się przy stole w jadalni, a po dwudziestu minutach zasiadła w towarzystwie gościa i męża przy ołbrzymim okrągłym stole.

Kiedy służąca postawiła przed gospodarzami i Braunem dymiącą wazę z rosółem i napełniła talerze, po czym wyszła, pani Katarzyna przemówiła.

Panu, inspektorze, sążone jest widzieć ściganie sprawców w Wejherowie.

Pierwszy przypadek był niejako wymuszony przez stołeczną policję, ale teraz?

Przecież przyjechała tutaj prywatnie.

Przeznaczenie jest wielką siłą!

W istocie, łaskawo pani Ignaz skłonił się z wystudiowaną bezradnością.

Taki już los policjanta, że przyciąga zbrodnię.

Tak, tak, mi też zdarzało się niejednokrotnie.

zaczął komisarz, ale żona nie pozwoliła mu dokończyć.

Stary Theodor był ostatnią osobą, którą ktoś powinien zamordować.

To był spokojny, szanowany człowiek, bardzo sympatyczny.

Sama znam parę osób będących wyjątkiem.

marzonym celem dla jakiegoś wariata.

Igrających z losem, chciwych, nieuprzejmych i aroganckich.

Katarzyno, nie można tak myśleć w komisarzu odezwał się etyk.

Pani Rensch zaniemówiła.

Ale tylko na chwilę.

Spojrzała prosto w oczy męża i odpowiedziała powoli, bardzo wyraźnie.

Pozwól, że w moim domu będę mówiła, co chcę.

Na komisariacie albo w obecności pastora Classa możesz sobie wygłaszać rozmaite kazania, ale tutaj obowiązuje myślenie.

Nie powiedziałam zresztą nic niewłaściwego.

Doprawdy?

nieśmiało szepnął skarcony mąż.

Oczywiście pani Katarzyna nalała sobie drugą porcję rosółu gęstego od apetycznych kluseczek.

Panie inspektorze teraz koleinapełniła pusty już talerz gościaczy prawdą jest, że co roku popełnianych jest mniej więcej tyle samo przestępstw, w tym morderstw?

Na twarzy inspektora pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, zaraz jednak znikł.

Braun czuł, że komisarz czeka na jego opinię jak na wybawienie.

No cóż, łaskawa pani, istnieje teoria o przestępczej, ale.

Ale? gospodyni nie dawała za wygraną.

Ale traktuje ona statystyki w sposób dość dowolny służy zazwyczaj politykom opozycyjnym, aby wypuklić domniemaną nieudolność prewencyjną organów policyjnych, które powinny w końcu przerwać ten zaklęty krąg.

Przyczym dzisiejsi opozycjoniści niesą przesadnie przywiązani do swej teorii, gdy już zasiadają ławach rządowych.

A świeżo upieczeni opozycjoniści nagle zaczynają test statystyki widzieć, inspektorze zauważyła pani Rensch.

Użył pan boskiego argumentu.

Obu policjantów uratowała służąca, która wniosła półmisek z pachnącymi kurczętami.

Wydawało się, że rozmowa, pod wpływem nowych atrakcji kulinarnych, zejdzie na nowe tory.

30

Tym razem tencały Richter postarał się, żeby drób sprzedawany w jego sklepie rzeczywiście przypominał drób zauważyła pani domu.

Jednak nie zawsze tak było.

Czasami jego wyroby są takie, jakby był początkującym rzeźnikiem.

Mnie zawsze wszystkosmakujepojednawczo zauważył komisarz.

Bo nie maszsmaku, Alsleben zupełnie zniszczył twoje podniebienie.

Zaczęsto u niego jadasz.

Kto to wogóle widział, jadać w hotelu!

Rozumiem, że masz nienormowanyczas pracy, alegodzina na domowy posiłek tonie jest zbyt wiele.

A wracając do rzeźników, szkoda, że ktoś, kto już musiałzamordować człowieka, nie zrobił tego z Lessingiem.

Arnold Lessingzwróciła się do Ignazajest hochsztaplerem podającymsię za rzeźnika i stosującymzaniżoneceny, aby wykończyć konkurencję.

Słyszałam, że myje w szarym mydle kurczęta, które nie są zbyt świeże.

Czy to nie okropne?

Jego ja sama mogłabym potraktowaćnożem.

Katarzyno komisarz wstał i patrzył na żonęzdesperowanymwzrokiem, a Braun udawałniezwykłe zajętego swoim talerzem, służąca bowiem nakładała właśnie ziemniaki i podawała miseczki z mizerią.

Katarzynęzaś cała sytuacjawydawała siębawić.

Nie złość się, oficerowi policji nie przystoi złość.

Albo przynajmniej zachowaj ją dla prawdziwychprzestępców.

Zaraz to wyjaśniępanu inspektorowi, który nie miałjeszcze okazjipoznać wszystkich moich poglądów.

Otóżktoś, kto w taki sposób podchodzi do sprzedawanego towaru, naraża kupujących na zatrucia, choroby, anawet śmierć.

Czyż nie?

Z pewnością Braun wyszeptalte słowamożliwiejak najciszej.

Właśnie.

Oni zaś zaufali mu, oddając w jego ręceswoje żołądki.

Mamrację?

Tak.Jest więc właściwietrucicielem i zabójcą.

O ile wiem, w naszym kraju prawo surowo traktuje takich ludzi, a pro-31.

cesy, jeśli nie są poszlakowe, przebiegają sprawnie i wyrok jest zazwyczaj surowy.

Niemniej.

spuścił głowę komisarz.

Nie ma "niemniej".

Zamordowano człowieka, któremu tak samo ludzie zaufali!

Obaj policjanci, zauważywszy, że pani Katarzyna zawiesiła głos, poprosili niemal równocześnie o doprecyzowanie analogii.

Nie zrobili tego szczerze.

Wydawało mi się, że oficer policji, osobom inteligentnym, nie muszę tłumaczyć sprawy tak prostej zdziwiła się gospodyni.

Rzeźnikowi ludzie powierzają swoje ciało, swoje zdrowie.

Fotografowi powierzają swoje dusze i wspomnienia.

A nawet więcej powierzają mu to, kim będą dla swoich dzieci i wnuków.

Wnuki to jeszcze nic, dla potomności!

Ktoś po dziesiątkach lat będzie mnie oglądał i nie mogę tej sprawy złożyć w ręce fuszera.

Z pewnością sarkastycznie wtrącił Rensch.

Powierzam więc siebie.

I nie można rozdzielić duszy od ciała, rzeźnika od fotografa, dokonać podziału na ważniejszego i mniej ważnego.

Bo to, czy będę zdrowi i ile czasu będę żyła, może wpłynąć na zbawienie mojej duszy.

I skoro statystyka jest taka.

A zbawienie jest ważniejsze od wspomnień.

Ignaz ze zrozumieniem pokiwał głową.

I dlatego uważa pani, że skoro ktoś musiał umrzeć, skoro miał umrzeć ktoś, kto, że się tak wyrażę, spełniał pokrewną rolę w społeczeństwie jak Theodor Pratz, powinno paść na przykład na rzeźnika przestępcę.

Jest pan jednak człowiekiem myślącymucieszyła siępani domu.

Potwierdziło się choć raz,co mówił mój mąż.

Zrezygnowanemilczeniemięza towarzyszyło ostatnim słowom żony.

Riidiger Rensch nie był jednak bezbronny.

Jego orężem byłczas, cenny czas policjanta.

Jednego pani Katarzyna nauczyła się przez lata małżeństwa czas policjanta należałobezwzględnie szanować, nawet wbrew sobie.

Nieustępowała wprawdzie w imię miłości do komisarza, raczejz przywiązania do praworządności.

32Codzienny rytuał dla postronnego obserwatora nie zawsze był z początku czytelny, ale Ignaz znałgo, bywającw wielu domach, gdzie mieszkali policjanci.

Komisarz chrząknąłznaczaco, wstał,poprawiłkrawati otworzył kopertę zegarka.

To samzrobił Ignaz, patrząc z przyjemnością w tarczę swojego tissota.

Odkąd dostał tenwłaśnie chronometr od burmistrza Le Locie w dowód wdzięcznościza wykrycie sprawcy trzech morderstw, kryjącego siępod pseudonimem

WesołegoZegarmistrza,przywiązywałdużąwagę do hermetycznego, jakże fascynującego świataczasomierzy.

Dla pani Katarzyny był to nieubłaganysygnal.

Niemogłamieć już nic do powiedzenia.

33.

Kiedy policjanci, skąpani w późnopołudniowym słońcu, weszli w aleję Wilhelma, w Ignazu odżyły wspomnienia.

Po raz pierwszy szedł tędyz Anną Richter, kruchą, wrażliwą na wszelkie choroby, a jednak władczą i nad podziw silną.

Potem spacerował pod drzewami alei z Bernadetą, spacer te wywoływały szybsze bicie jego serca.

Teraz nowu był tutaj znowu w tle majaczył cień zbrodni.

Aleja Wilhelma nie robiła sobie nic z ponurych okoliczności.

Bezwstydnie wdzięczyła się do obumęczyzn wyszukaną elegancją domów z bogatymi elewacjami, kokietowała, niczym dokazująca pannica, wieżyczkami o pomarańczowych dachówkach i błękitnymi szybami okien.

Budynek przyglądał się również posterunkowy Bochentin, który już czekał na oficerów przed domem gospodyni wczorajszego wieczoru.

Pokojówka zatrudniona u pani Wilfridy wyglądała na zatroskaną wizytą przedstawicieli policji.

Jej ciekawe wszystkie, nieco wylupiające oczy badawczo strzelały w stronę komisarza i inspektora, dominowało w nich jednak pełne oczekiwanie.

Pani jest uprzedzona o panów wizycie i czeka w salonie powiedziała.

Z prostego, ale eleganckiego krzesła podniosła się Wilfrida Neiss.

Jej wyniosła postać górowała nad policjantami, nie tylko wzrostem, ale i dystansem.

Włosy, koloru nieokreślonego, upięte były skromnie, bez nowomodnych ekstrawagancji, a prostej suknie nie zdobiła żadna biżuteria.

Skłoniła się lekko, bez unżoności.

Jest mimiło, panowie.

Nie wiem tylko, czemu zawdzięczam tę wizytę?

Tak, nam też jest miło, chociaż wolelibyśmy ujrzenie panią w nieco przyjemniejszych okolicznościach zaczął komisarz.

Nie rozumiem, o czym pan mówi odparła kobieta.

Czy Heinz z posterunku nie uprzedził pani?

Poleciłem mu przecie zdziwił się Rensch.

34 Chodzi o Theodora Pratza?

Przykre wydarzenie, ale, daruje pan, nie widzę związku między swoją osobą a morderstwem.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy, wreszcie jednak pani Wilfrida zaprosiła gości do zajęcia miejsc nakrzesłach, takich samych jak to, z którego wstała na ich widok.

Otóż.

zaczął komisarz, ale pod wpływem badawczego wzroku kobiety zawahał się.

Otóż pan komisarz chciałby powiedzieć, że organa policyjne powzięły pewne podejrzenia, zbieżne zresztą z rutynowymi działaniami przewidzianymi w okoliczności morderstwa wyrzucił siebie Ignaz, czym wzbudził w rozmówcy cię zainteresowania.

Wiedział, że musi emanować pewnością siebie, inaczej cała rozmowa przebiegać będzie tak jak dotychczas.

Inspektorowi było miło, nawet bardziej niż miło, że zaszczycony był możliwością wczorajszej obecności w jakże uroczym domu.

Goście byli nadzwyczaj interesujący, rozmowy fascynujące, a bogactwo doznań towarzyskich przeogromne.

Gospodyni słuchała tego wszystkiego z pozornie kamienną twarzą, ale liczba powtarzanych komplementów (wiedziała, że przesadnych) robiła na niej coraz większe wrażenie.

Nikt nie chciałby, aby spotkanie, którego jest gospodarzem, oceniono jako nieudane, gość natomiast, przybyły z samego Berlina, mimo pewnej dozy zwyczajowych pochlebstw nie mógł być aż tak obłudny i nieszczerzy.

Tym bardziej boleję, że ostatnimi osobami, które widział świętej pamięci Theodor Pratz, byli goście pani przyjęcia zakończył Ignaz niedbale.

Co.. Co pan ma namyśli?

obojętność zupełnie znikła z twarzy pani Wilfridy.

Pan inspektor.

Rensch odzyskiwał rezon i pragnął zatrzeć sam przed sobą przykre uczucie niepewności, jakiego doznał

przedchwilą.

Pani Wilfrida nie dała mu jednak dokończyć.

Panowie wyobrażają sobie, że na skutek pobytu w moim domu ten nieszczęśnik został zamordowany?

Na jakiej

podstawie?

Panie inspektorze, czy pan wie, że posiadamy pewne stosunki w siedzibie rejencji?

Obiecuję panu, że niezawaham się ich wykorzystać, jeżeli będzie stawiał pan moich gości i mnie w dwuznacznej sytuacji.

Zapadło, nie pierwszy raz podczas wizyty, kłopotliwe milczenie.

Braun postanowił ratować sytuację.

Nie bał się interwencji gospodyni, ale nie chciał utracić jej jako cennego współpracownika.

Droga pani zaczęła tonem, z którego zaniepokojona pani Wilfrida nie potrafiła niczego odczytać. Przyszliśmy tu, aby nie kać panią bezpodstawnymi podejrzeniami.

Gdybyśmy mieli bezpośrednie dowody, rozmawialibyśmy najpierw nie z panią, ale z podejrzanym.

Jest pani osobą mądrą i przenikliwą, dlatego też pragniemy, aby udzieliła nam pani pomocy.

Czy chciałaby pani, aby plotkowano w mieście o gości wczorajszego przyjęcia?

Oczywiście, że nie chciałabym.

Otóż to ucieszył się inspektor.

A ja zapewniam panią, że zaczną plotkować, gdy tylko minie pierwsza fala burzenia morderstwem.

Lepiej, żeby plotkowały krócej.

Tak wiele od pani zależy, proszę nam pomóc.

Kobieta wyprostowała się na krześle, o ile w ogóle było to jeszcze możliwe, ponieważ cały czas siedziała tak, jakby połknęła kij.

Jestem do panów dyspozycji odparła cicho.

Ostatnim słowem towarzyszyło imiech komisarza, żłeskrywany, ale całkowicie zrozumiały.

Braun natomiast zapragnął wykorzystać zwycięstwo, wstał i zaczął spokojnie, metodycznie chodzić po

pokoju w tę i we w tę, jakby to on był gospodarzem.

Wiedział, że takie "spacery" łamią świadka bardziej niż najperfidniejsze metody przesłuchań stosowane na Alexanderplatz.

Widzi pani, Theodor Pratz, choć musimy to jeszcze dokładniej potwierdzić, nie miał żadnych wrogów.

Do wczoraj, a byłem tego świadkiem, zdawał się uosobieniem spokoju i pogody ducha.

Jego ruchy, gesty, czynności, które wykonywał, wskazywały na jedno: nic mu nie groziło.

Takiego kogoś nie nękają pogrozkami szantażyści.

Nie był zadłużony, nie nosił przy sobie żadnej gotówki.

Dlatego, żeby jej nie zgubić.

I dlatego, żeby nikt go nie napadł.

Był z tego znany.

Wczorajszego wieczoru przyniósł ze sobą aparat fotograficzny, statyw i szklanę negatywy.

Aparatu nie odnaleziono przy zwłokach, ale tylko dlatego, że cały sprzęt był już w atelier.

Kradzież nie wchodzi więc w grę.

Wykluczają panowie motyw rabunkowy.

szeptnęła poruszoną pani Wilfrida.

Tak. To znacznie.

Nie dokońca.

Na tym etapie śledztwa, sama pani rozumie.

Może miał przy sobie coś jeszcze?

Niemniej są motywy prawdopodobne i mniej prawdopodobne.

Tak. Motyw rabunkowy ucieka gdzieś.

Rensch wykonał nieokreślony gest szeroką dłonią.

Nagle przez twarz gospodyni przeszedł cień.

Badawczo spojrzana jednego policjanta, potem na drugiego.

Skąd taka szczerść?

Przecież to są tajemnice śledztwa, panowie zaśmówią mi o nich tak, jakby tłumaczyli się przełożonemu.

Ponieważ dobrze mieć zaufanie osoby, która może okazać się pomocną jak nikt inny anielski wyraz twarzy Ignaza rozbroił panią Wilfridę w jednym momencie.

Byłoby dobrze, gdyby łaskawa pani pokrótce opowiedziała nam o każdym z gości.

Wszystko może się przydać, zwłaszcza że nieznamy motywu, jakim mógł kierować potencjalnym sprawcą.

Przepraszam jeszcze raz, że mówię tak pani gościach, ale.

W porządku, pojęłam już panów i swoją rolę gospodyni pokiwała głową z rezygnacją.

Tylko że ja.

Niewieleo nich wiem.

Nie zna pani dobrze gości, których sama pani zaprosiła?

Rensz próbował myśleć aż za bardzo logicznie.

Teraz z kolei pani Wilfrida była zdziwiona.

Ależ to byli goście Elzy!

Pan inspektor nie zauważa różnicy?

Nie jestem osobą wiekową, ale chyba rzuciło się oczy, że to Elza czuła się jak ryba w wodzie, a ja spełniałam raczej rolę opiekunki.

37.

I nie widziała panitychośób wcześniej?

z kolei Rensch był zdziwiony.

Moja bratanica układała listę gości razem z tym roztrzepanym młodym człowiekiem, Sigmundem.

Ale oczywiście kilkoro z nich już widywałam.

Małemiasto, wszyscy się znają.

Niemniej sprawa nieprzedstawiała się tak prosto, jakby życzyli tego sobie dwaj policjanci, i nawet posterunkowy Bochentin, który do tej pory milczał, parę razy westchnął głęboko, gdy pani Wilfrida przecząco odpowiadała na kolejne pytania dotyczące jej gości.

Do Wejherowa przyjeżdżało wielu rentierów, niemało też było osób, które bawiły w mieście przejazdem.

Odczasu, kiedy szczęśliwie przebiegała tutaj ważna dla krajuliniakolei żelaznej, tymczasowość pobytu wielu osób w Wejherowie stała się tak oczywista, jak to, że codziennie rano wschodzi słońce.

Pani Neiss, owszem, znała kilka osób z widzenia, kilkanaście było u niej w domu raz czy drugi, w szczególności Sigmund von Mach i dwaj panowie Meinhardowie z tym dziwnym Norwegiem, który pisze jakąś partyturę (nie może jej z czystym sumieniem ukończyć jest z tego powodu bardzo nieszczęśliwy, dlatego wziął się ostatnio za rysowanie i poezję), ale poza tym?

Nie, nie wie o pozostałych niczego konkretnego.

Wyłączając oczywiście obu pastorów Classów, ojca i syna, i w szczególności Eleonorę.

Tak, aletamci są duchownymi, więc może za nich ręczyć, a Eleonora, przesiadująca w domu pań Neiss całymi dniami, jest jak członek rodziny, więc za nią ręczy tym bardziej.

Nie zauważyła pani żadnej okoliczności.

próbował zapytać Ignaz, ale gospodyni weszła mu w słowo.

Nie, oczywiście, że nie, inaczej powiedziałabym od razu, skoro zostałam elementem maszyny śledczej policjanci nie do końca pojęli, czy ostatnie słowa wypowiedziane były z dumą, czy z ironią.

Sigmund von Mach?

zapytał Braun, choć było mu smutno, że młodziwiec otarł się o tak przykrą sprawę.

Zgorszony wzrok pani Wilfridy był nie do zniesienia.

38 Przecież on jest siostrzeńcem doktora Puppeggo.

Panie inspektorze, pan przyjaźni się z doktorem?

Sigmund jest młodzińcem cokolwiek płochym, ale chyba nie podejrzewam.

Droga pani, nie podejrzewając nikogo, muszę podejrzewać wszystkich ze smutkiem pokiwał głową Ignaz, który wistocie cieszył się przyjaźnią profesora Puppeggo, także słuzzonego dla niemieckiej kryminalistyki.

Pamiętał, jak sekundował staraniom starszego przyjaciela, gdy ten zakładał Niemieckie Towarzystwo Medycyny Sądowej, i jak zachłannie czytał artykuły Puppeggo "Deutsche Medizinische Wochenschrift".

Tak, kawał czasu.

W gruncie rzeczy niewiele wiedziało Sigmundzie.

Był to sympatyczny młody człowiek, którego wszędzie było pełno.

Nieco zbyt bezpośredni, niekiedy prowokujący podczas dyskusji politycznych, ale lubiany przez wszystkich.

Ignaz wyobraził sobie teraz, jak Sigmund von Mach podchodzi do starego fotografa z nożem sprężynowym i pewnym ruchem wbija ostrze pod serce nieszczęsnika.

Ogarnęło go obrzydzenie do własnych myśli.

Z walki sentymentu z przyzwyczajeniami rasowego śledczego wyrwały Ignaza odgłosy, jakie posłyszał z sąsiedztwa.

Droga pani, jakże nam przykro!

głęboki głos zagrział tuż po mocnym stukocie klamki.

Panowie Meinhard, proszę pani.

zaczęła cicho służyć, ale formuła przez nią wypowiedziana rozplynęła się w powietrzu.

Pani Wilfrido, doprawdy tonie słychać, chciał kontynuować Gottlieb Meinhard, ale na widok policjantów zamilkł.

Panowie pozwolą ozwał się gospodyni komisarz Rensch i inspektor Braun właśnie mówią ze mną o Theodorze Pratzu.

Tak miło rozmawiało się wczoraj z panem inspektorem niskim głosem ozwał się Otto.

A teraz takichokolicznościach.

39.

Braun bezradnie rozłożył ręce.

Koledzy z Berlina ciągle mi powtarzają, że mam darprzyciągania zbrodni.

Panie inspektorze z teatralnym niedowierzaniem, jakby nie pojął osobliwego żartu, zaczął starszy Meinhard niech pan nie bierze sobie takich opinii do serca!

Dobrze, że pan tu jest.

Policja na pewno szybko poradzi sobie z wykryciem sprawy}'.

Co za nieszczęście, że ten człowiek nie żyje!

Byliśmy świadkami jego ostatnich chwil!

Pani Wilfrido, jesteśmy do pani usług.

Niewymownie nam przykro, że byli pan tak blisko tragedii, ale przecież tonie powinno zaciążyć na pani bezcennym samopoczuciu!

Przyszliśmy, aby złożyć pani uszanowanie dopowiedział Otto po ojcowsku i synowsku zarazem.

Obaj jak na komendę usiedli na wolnych krzesłach, a posterunkowy Bochentin zauważył, że nie zostali do tego zachęcani przez gospodynię.

"Gdybym ja tak usiadł, zwykły posterunkowy, byłaby niezła afera" pomyślał.

Panowie ozwałeś tymczasem Braun, który nieznacznie wyprzedził komisarza skoro już teraz mógł skorzystać z waszej obecności, zrobię to z największą przyjemnością.

I tak czekała nas rozmowa.

Meinhardowie spojrzeli na Ignaza, potem na siebie.

Tak, pan inspektor i ja skorzystamy dopowiedział Rensch, zacierając ręce.

W oczach gospodyni zaiskrzyła się ciekawość, ale szybko zgasła po następnych słowach inspektora: Łaskawo pan, czy moglibyśmy, z przyczyn proceduralnych, ale i praktycznych, przenieść się z panami Meinhard do osobnego pomieszczenia?

Rozumie pani chyba.

Oczywiście z udawaną obojętnością powiedziała pani Neiss i zadzwoniła na pokojówkę.

Po kilku chwilach przyciężkim stołem jadalni siedzieli naprzeciwko siebie trzech policjancioraz stryj i

bratanek.

STRYJ I BRATANEK
Odkąd Ignaz został policjantem, a może i wcześniej, osobliwie interesowały go kontrasty.

Wysnuwał z nich ogólne bądź szczególne wnioski, czasami też nie wysnuwał żadnych wniosków, bawiąc tylko wzrok i umysł przypatrywaniem się, jak zróżnicowane twory lub sytuacje świat przynosi tym, którzy posiadli dar obserwacji.

Pokrewieństwo między Meinhardami było bliskie, ojciec Ottona był bratem bliźniakiem Gottlieba, o czym poprzedniego wieczoru wspomniał von Mach, przedstawiając Braunowi obu mężczyzn.

Nikt jednak, kto o tym nie wiedział, nie potrafiłby zorientować się, że Meinhardowie są choćby dalekimi krewnymi.

Ignaz, który już rankiem przypomniał sobie ów kontrast, teraz ponownie oceniał wzrokiem gesty, sposób zachowanie obu mężczyzn.

Mocny głos Gottlieba i niski, uważny Ottona.

Szerokie, lecz kanciaste ruchy tego pierwszego i dokładne, mierzone drugiego.

Zbyt wiele słów stryja i precyzja w wypowiedaniu myśli przez bratanka.

"Doktor Rilke z sąsiedztwa z pewnością kazałby zmierzyć ci puls" pomyślał Ignaz, patrząc wpierw na czerwoną twarz Gottlieba i przekrwione białka jego oczu, potem zaś na niemal ospałe gesty Ottona.

41.

Bardzo lubię atmosferę jadalni zaczął Ignaz.

Odpowiedział mu milczenie Meinhardów, którzy byli tak zdziwieni słyszonym stwierdzeniem, że nawet na siebie spojrzeli.

Tak Pan inspektor bardzo lubi atmosferę jadalni dodał Rensch, choć on także nie wiedział, co Braun ma na myśli.

Nastąpi cisza.

Stryj i bratanek, aby uniknąć wzroku inspektora i komisarza, a nawet posterunkowego Bochentina, z wielką uwagą przypatrywali się wystrojowi pomieszczenia.

Jadalniaumeblowana była skromnie, lecz ze smakiem, co bardzo pasowało do charakteru gospodyni.

Kremowa tapeta bez wzoru dodawała ciepła meblom i nie przytłaczała łałości, co zdarza się często, kiedy właściciel jadalni pragnie urządzać bogato.

Duży orzechowy kredens stał naprzeciwko serwantki z lustrem, mieszczącej kilka serwisów do kawy i kryształ.

Krzesła, lekko zaokrąglone, odrobinę niemodne, miały tę upragnioną cechę wojskości, dzięki której każdy, kto przekroczy progi "Królestwa Posiłków", pragnie rozsiaść się i oczekiwać na napełnienie talerza.

Trzy sielskie obrazy średniej wielkości i wartości, przedstawiające łagodne nizinnokrajobrazy, dopełniały wrażenia, że przy stolew tym domu nie można liczyć na jakieś nowomodne ekstrawagancje, za to zjeść można smacznie i obficie.

Tak więc, drodzy panowie, spotkaliśmy się wczoraj poraz pierwszy, a los chciał, że i nie ostatni zaczął Braun.

W istocie potwierdził Gottlieb.

Cóż stąd jednak dla nas wynika?

Niebardzo wiem, jak moglibyśmy panu inspektorowi dopomóc.

Tego biedaka znaleźliśmy pobieżnie dodał Otto.

Braun spojrzała na niego w zamyśleniu.

Ale słyszeli oni panowie coś niecoś?

Oczywiście!

odparł Gottlieb.

Oczywiście.

Jasam z oddali widywałem go kilka razy w mieście, jak chodził tym swoim szybkim truchtem.

Dźwigał zawsze całą maszynę i wydawał się taki szczęśliwy!

Byłem w ateliu raz lub dwa.

Mój Boże.

Przebywając jakiś czas w Wejherowie, nie sposób nie słyszeć o Theodorze Pratzu. Dołał Otto.

Moje kontakty z fotografem były tego rodzaju, jak w przypadku kustyjki.

"Ale tak naprawdę po śmierci staruszek jest jeszcze bardziej znany niż za życia.

To jest sztuka!

" pomyślał posterunkowy Bochentin i ucieszył się w duchu, że ludzienie potrafią czytać w myślach.

Chociaż, ten dziwak z Berlina.

Dziwak z Berlina milczał jeszcze chwilę, sądząc, że Meinhardowie coś dopowiedzą.

Daremnie.

Widzą panowie, mamy tutaj z komisarzem Renschem niemały problem.

Nie wątpię Otto niekiedy bywał sarkastyczny, o czym Ignaz przekonał się już poprzedniego wieczoru.

Niemniej kontynuował inspektor jak już zaznaczyłem w rozmowie z czcigodną panią Neiss, jest to właściwie problem nienasz, a gościobecnych na przyjęciu.

A to dlaczego?

Gottlieb zerwał się z krzesła.

Co my wszyscy możemy mieć z tym wspólnego?

Pan raczy żartować.

Panna wcale nie zna!

Co my.

Inspektor wstał również i schował się za plecy starszego z przesłuchiwanym.

Jesteśmy tu, aby odpowiedzieć na pana pytanie. Głos śledczego stał się metaliczny, a komisarz wiedział, że od tego momentu Braun przestaje bawić się z przesłuchiwanym w kotka i myszkę.

Od kiedy panowie przebywają w Wejherowie?

Muszę sobie przypomnieć. Otto podniósł oczy w górę.

Nie mamy zbyt wiele czasu, zabójca wykryty szybciej to mniejsze zagrożenie dla społeczeństwa i mniejsza szkoda dla państwa jakotakiego.

Proszę, aby od teraz odpowiedzi były udzielane szybko i konkretnie.

Panom także się to opłaci, ponieważ rozmowa będzie trwała krócej, a domyślę się, że nie jest przyjemna ze względu na okoliczności i pewien brak głady towarzyskiej, zazwyczaj cechujący funkcjonariuszy Wydziału Zabójstw podczas tego typu spotkań.

Kiedy panowie przyjechali do Wejherowa?

43.

Dwa tygodnie temu odpowiedział Otto cicho, lecz zdecydowanie.

Komisarzskinął na posterunkowego Bochentina, tamten zaś wyjął z torby kajet i ołówek, po czym szybko zapisał pierwszą odpowiedź.

W jakim celu?

Jak to w jakim?

zdziwił się Gottlieb, ale bratanek dotknął jego ramienia i przejął inicjatywę.

Pan von Mach był tak przejmny, że jeszcze w Berlinie wspomniał namo pewnym miasteczku w Prusach Zachodnich, do którego się wybiera.

A panowie cierpią na nadmiar czasu, komisarz zapragnął dostosować się do stylu przesłuchania właściwego swojemu koledze.

Nie rozumiem Otto był zdezorientowany.

Z czego się panowie utrzymują?

Tak, panowie mają wiele czasu wolnego, jak widzimy.

Pozazdrościć!

Gottlieb zaczerpnął olbrzymią haust powietrza, ale bratanek po raz drugi był szybszy.

Panie komisarzu, mój stryj jest rzeczoznawcą majątkowym.

To wolny zawód, jak doskonale panowie wiedzą.

Nie normowany czas pracy, możliwość doboru klientów według własnego widzimisię.

Ten sposób życia daje wiele możliwości.

Jeśli trafi się dobry, poważny i bogaty klient, potem następny i kolejny, przez dobrych parę dni można później nie robić dosłownie nic.

Ma się rozumieć: nie w znaczeniu zawodowym.

Stryju?

młodszy z Meinhardów skinął nastarszego.

W rzeczysamej potwierdził Gottlieb, ochłonawszy już nieco po pierwszej dawce nieuprzejmości, jaką

zaaplikowali im policjanci.

Jako dziecko bardzo interesowałem się geografią.

Do licha, jak ja chłonałem atlasy i mapy!

Marzyłem, że będę wkrótce jeździł po całym świecie i zwiedzałem wszystko, co warte niewarte odwiedzenia.

Ale, rozumieją panowie, proza życia.

Pieniądze, rachunki, czynsze, nauka, dorabianie, gdzie się da, żeby się kształcić.

Na to, co najprzyjemniejsze, nigdy nie starczało wtedy czasu.

44 Ignaz skinął głową.

On także miał podobne marzenia i podobne kłopoty związane ze wspomnianą prozą życia.

Podobnie też jak Meihard mógł teraz wreszcie w pewnym zakresie realizować swoją pasję.

Nie na darmo uchodził przy Alexanderplatz za specjalistę od wykrywania zbrodni w wielkich miastach.

Zwiedził przy tym całe cesarstwo.

Nie mógłby przesiadywać całymi dniami w kostnicy, jak berliński król anatomopatologów Yirchow.

Braunowi potrzebna była zmiana otoczenia i świeże powietrze.

Ostatnio, kiedy przebywał w Geretsried, tropiąc Alpejskiego Owczarza, właśnie świeżego powietrza mógł się nawdychać, ile dusza zapagnie.

Ale minęło parę lat.

Teraz rzeczywiście, panie inspektorze, mam ten luksus.

Czy pan da wiarę, że nigdy jeszcze nie byłem w Prusach Zachodnich?

Nawet Memmel zwiedziłem w zeszłym roku, chociaż tam niemiecki diabeł mówi "dobranoc".

Byłem w Tanganice, mój kolega ma tam praktykę adwokacką, planuję jeszcze w tym roku zwiedzić nasze wyspy na Pacyfiku, jeśli tylko zdrowie dopisze.

Ale Prusy?

To także patriotyczny obowiązek!

Nie mogłem przepuścić okazji!

Pana bratanek, zdaje się, idzie za pana przykładem.

Jestem z tego bardzo zadowolony.

Ani słowa!

Bardzo zadowolony!

Panie Meinhard?

Stryj zaraził mnie, odkąd miałem jaką taką świadomość, bakcylem poznawania krajów i ludzi.

Jest pan niespokojnym duchem?

zdziwił się Braun.

Otto podniósł oczy w górę, aby przemyśleć pytanie, ale zaraz przypomniał sobie, że należy odpowiadać szybko i konkretnie.

Nie nazwałby tego.

Właściwie wszystko, co stryj powiedział o sobie, znajduje potwierdzenie w moim przypadku.

Tak jak i on, zostałem rzeczoznawcą majątkowym.

Moim rodzice opuścili mnie szybko, oczywiście w znaczeniu ostatecznym; stryj wzięła na swoje barki ciężar wychowania⁴⁵.

mnie i kształcenia, przy tym, siłą rzeczy, wyrosłem w atmosferze, jaka panowała w jego domu.

Zaraził mnie pasją geograficzną.

Bardzo lubię poznawać ludzi, ale nade wszystko ludzi wychowanych w nieco innej niż moja tradycji.

Góry, lasy, miasta, wszystko to znakomicie uzupełnia tę pierwszą pasję, humanocentryczną.

Tak. Godziny spędzone ze stryjem nad mapami ukształtowały moje zainteresowania.

Zawdzięczam jednak stryjowi praktycznie wszystko, ponieważ onłożył na moje wykształcenie, i to niemało.

Daj spokój, Otto Gottlieb zdawał się zażenowany, było mi to stać.

A jakie to ma znaczenie?

Im kto bogatszy, tym bardziej liczy pieniądze uśmiechnął się młodszy z Meinhardów.

Dolicha, ma pan rację!

wtrącił komisarz Rensch, zacierając ręce.

Właśnie ucieszył się Otto.

Na jakim uniwersytecie pan studiował?

Zdaje się, Heidelberg?

zainteresował się Ignaz.

Heidelberg były student dumnie podniósł głowę.

Miałem zaszczyt znaleźć się na seminarium profesora Wittego.

Tego Wittego?

Owszem szybko potwierdził starszy Meinhard.

Studia ukończone z wyróżnieniem.

Zatrudniłem bratanka w mojej kancelarii.

Szybko się wdrożył, klienci są z niego bardzo zadowoleni.

Możemy, jak już wspomnieliśmy, wybierać w nich wedle uznania.

Ignaz przez moment zazdrościł rzeczoznawcom oniespokojnych duszach ich trybu życia, ale zaraz przywołał się do porządku.

A jak znajdują panowie Wejherowo?

Tak, właśnie!

No jak?

dorzucił Rensch, co posterunkowy Bochentinsk witał ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

Nie powala z nóg, z pewnością beznamiętnie powiedział Otto.

46

Ale ładne i czyste.

Dobrze tu karmią!

stryjnie zgodził się z bratankiem.

Stryju, pan inspektor chyba nie pytał o restauracje czy jadalnie w dobrych domach, chociaż głodni rzeczywiście nie byliśmy, a w hotelu niejakiego Alslebena, gdzie się zatrzymaliśmy, można przez chwilę pomyśleć, że jest się w Kolonii.

Ten człowiek, zdaje się, pochodzi z Nadrenii.

Do rzeczy szepnął Braun.

A tak, Wejherowo jako takie.

No cóż, mimo wielustarań ze strony rozmaitych władz widać tu koloryt małomiasteczkowy.

Mnie się to nawet niekiedy podoba, lubię przebywać w takich miejscach, ale nie potrafię powiedzieć, dlaczego.

Pochwalić mogę Rynek, kamieniczki, kościoły, nawet tę katolicką kalwarię, ale ludzi.

Są mało egzotyczni.

Tonie Buszmeni, Malgasze lub ktoś w tym guście.

Onisąza zwyczajni jak namnie.

Normalni obywatele, którym dosłowni czego nie można zarzucić.

Czy to nie irytujące?

Żadnych cech osobliwych, w dodatku nie dostrzegam niezwykłych wad.

Dla komisarza nie byłoby końca oczywiste, czy ma się, jako gospodarz miejsca, obrazić, czy też nie.

Chyba nie ma pan zbyt wielu okazji do rozmów z miejscowymi woźnicami ani kowalami?

A może jednak?

Rzeczywiście uśmiechnął się Otto.

Dokonawszy po przyjeździe pospiesznej charakterystyki tutejszych typów ludzkich, rzuciłem się w towarzyskie objęcia osoby poza Wejherowa.

Czy znał pan przedtem kogoś z gości pani Wilfridy?

Poza Sigraudem, który jest naszym wspólnym znajomym?

I rzecz jasna, panem Hamarenem?

Meinhard spojrzał rozbawiony na stryja, który, chwilowo pozbawiony możliwości autoekspresji, zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić.

Panie inspektorze, proszę wskazać mi osobę, która zna naszego Sigmunda.

To swój chłop, jak mawia onimstryj Gottlieb.

Ale. Wiedzą panowie, Sigmund jest typem człowieka, którego wszyscy znają, a w rzeczywistości każdy

może powiedzieć onim same ogólniki.

Że ubiera się świetnie, z pozorną nonszalancją, że szaleją za nim wszystkie kobiety stanu dowolnego od Renu do Niemna, że ma liberalne poglądy tylko na pokaz, że potrafi dobrze tańczyć i lubi drogie koniaki.

A poza tą fasadą jest ktoś, kto nie daje zbliżyć się do siebie nikomu.

Sigmund zaproponował panom ten przyjazd, to już wiemy, w porządku powiedział Ignaz jakby do siebie.

A inni?

Ten norweski dziwak, Ottonie!

wykrzyknął Gottlieb.

Lars Hamaren jest moim przyjacielem z czasów studiów.

Ten człowiek ukończył prawo.

Nie podejrzewałbym, gdybym nie wiedział pokiwał głową Ignaz.

Właśnie.

Nienawidzi serdecznie paragrafów, przepisów, aktów ustawowych ani sądów.

Kończy już parę lat swoją drugą symfonię, maluje, pisze wiersze, ale nie cierpi środowiska Christianii; mówi, że kradną mu pomysły i filozofię życiową.

Nie jest do końca spełniony w żadnym miejscu ani okolicznościach.

Lubię go, taki oryginał.

Nie sądzę, żeby zabił nieszczęsnego fotografa.

Chyba że.

Chyba że?

wyrwało się posterunkowemu Bochentinowi Chyba że bardzo nie spodobałby się sobie na fotografii

pana Pratz całkiem poważnie odparł Otto.

Braun nie okazał zdziwienia.

Niejednowidziałw swoim życiu.

Potrafiliby?

Gdyby miał napadszału, co mu się zdarza, to owszem.

Ale przecież tam nie było żadnego zdjęcia.

To znaczy pan Pratz fotografował, ale szklane klisze zabrał ze sobą i Lars musiałby być jasnowidzem.

Kiedyś wytargał za połysurduta malarza, który oddał jego postać tak, jakby chciał przedstawić wiejskiego pastora, ale wtedy Lars obraz widział.

Skoro miałem opowiedzieć o osobach, które znam, wspomniałem o tym epizodzie.

A pozostali?

48 Takie tam rozmowy, o wszystkim i o niczym!

machnął ręką Gottlieb.

I nie zauważyli panowie niczego podejrzanego?

Rensch zadał najbanalniejsze pytanie pod słońcem.

Meinhardowie, nie po raz pierwszy, równocześnie spojrzeli na siebie.

Niestety odparł Gottlieb.

Wszyscy zachowywali się obrzydliwie zwyczajnie, to znaczy odgrywali dokładnie takie role, jakie odgrywa się na przyjęciu.

Rozmowy o polityce, trochę narzekania na Kościół, ale w granicach przyzwoitości, żeby obu pastorom nie zrobić przykrości.

W końcu oni również byli gośćmi pani Neiss dodał Otto.

Oczywiście.

Czy panowie są świadomi, jakierelacje panują między uczestnikami spotkania?

Chodzi mi o sympatie, antypatie.

Otto spojrział na Ignaza nieco zdziwiony.

Przecież pan inspektor też tam był.

Owszem, i mogę nawet panuzaręczyć, że zauważyłbym, jako policjant, więcej niż pan, ale niestety, nie mamoczu jak sowa i nie uczestniczyłem we wszystkich rozmowach równocześnie.

Szkoda, ale tego nie uczą w żadnej akademii policyjnej, nawet w Recklinghausen.

To taki policyjny Heidelberg.

Rzeczywiście, ma pan rację Otto przeprasza jącoskiną głową.

Wydaje mi się, że pani Schredernie była zainteresowana żadnymzgości.

Co do Sigmunda.

Tonie podobne do tego starego dandysa, ale chyba podobam się Eleonora, panna Gephard.

Jest zupełnie nie w jego typie, opalona, z zaokrągloną talią, wszędzie jej pełno.

On wołałzawsze zwiewne istoty.

Nocóż.

Ale ona nie jest nim zainteresowana, bez dwóch zdań.

No i ten śmieszny pastor.

Pan Franz?

Nie, oczywiście że nie, mówię o Georgu.

Młody Classwpatrzony jest w pannę Elzę jak w obraz.

Nie ma zupełniedoświadczenia z kobietami inakilometr widać, co czuje.

A jąchyba drażni takie nachalnezainteresowanie.

Całkiem49.

słusznie.

Bardzo zabawna postać, ale chyba dobry człowiek.

Czy stryj ma coś do dodania?

Starszy zMeinhardówwyjątkowo niemiał nic do dodania.

Pyta paninspektor o antypatie, jakieś animozje.

Wiepan, rozmawiałem tym z bratankiem, gdy wyszliśmy już z przyjęcia.

Rzadko spotyka się człowiek z sytuacją, że mimo dyskusji później wszyscy odnoszą się do siebie zszacunkiem.

A właśnie tak byłou pani Wilfridy.

Starszy pastoredłna noże z Sigmundem i zwłaszcza z panem Schrederem, który mawyjatkowo ostry język.

Ale pastorowi gniewszybko przechodzi, a ten adwokat ma za dużą klasę, żebypotem okazywaćjakieśwstręty rozmówcy.

Otto?

Mam podobne odczucia.

Możliwe, żeo czymś niewiemy, praktycznie nie znamy większości osób, część z nichpochodzi z Wejherowa i znają się dobrze.

My wtargnęliśmy, że tak powiem, na ich teren gościnnie i dziwnebyłoby, abyodczuwali potrzebęwtajemniczenia nas w swoje stosunki.

Kajet posterunkowego Bochentina przezcały czas zapełniał się notatkami.

Drobne, staranne pismo (Bochentinjuż w szkolepowszechnejlubił zajęcia z kaligrafii) wyróżniało się zawsze natle innych w obrębie wejherowskiegokomisariatu i Rensch, choć z ciężkimsercem, stawiałw tej kwestii Bochentina zaprzykład innym posterunkowym.

A Theodor Pratz?

Czy zauważyli panowie, w jakichbył stosunkach z pozostałymi?

Musiał znać panią Wilfridę i pannę Elzę, obupastorów, pannę Eleonorę oraz pannę Gertrudę, ale nie powiedziałbym, że ichrelacje wykraczały poza zdawkowe słowa, dotycząceprawie wyłącznie spraw ogólnych odparłOtto.

Główniepytali go o zdrowie, ale nie w takim znaczeniu, jakby coś mudolegało.

Kiedy Pratz opuścił salon?

Na pewno około 22.

00ożywiłsię Gottlieb.

Spojrzałemwtedy na zegarek, boktórysz gości spytał mnie o godzinę.

Między 22.00 a 22.10.

50

Późno.

zamyślił się komisarz.

W istocie, ale jest to, a raczej była, osoba tyle poważana wśród miejscowych, że pani Neiss nie wypadało wypuścić go od razu po wykonaniu fotografii.

Usiadł na kanapie, wypił filiżankę kawy, zjadł parę ciasteczek.

A więc jednak rozmawiał z kimś dłużej Rensch zatarł ręce.

Nie huknął Gottlieb.

Właśnie, że nie!

Siedział sobie cicho i przysłuchiwał się dyskusji pastora z tym adwokatem.

Robił różne dziwne, nieco starcze miny, ale najczęściej uśmiechał się grzecznościowo dowszystkich.

Noi w dwóch słowach odpowiadał na pytania o zdrowie.

Tak, stryjma rację.

Nie był typem gaduły.

Chciał też, widać, ze wszystkimi żyć dobrze.

Braun pokiwał głową.

Nie zdało się to na wiele, jak widać.

A kiedy panowie opuścili przyjęcie?

Co to ma za znaczenie!

obruszył się Gottlieb.

Takie samo, jak w przypadku innych gości.

Proszę o wyczerpującą odpowiedź.

Stryju, nie denerwuj się, przecież nie mamy nic do ukrycia.

Wyszliśmy o 22.

30, może nieco później.

Poszli panowie prosto do hotelu?

Oczywiście!

Gottlieb jednak się nie uspokoił.

A co mielibyśmy porabiać w małym mieście o tak późnej porze?

Tu nie ma bulwarów ani kabaretów.

Bywają panowie w kabaretach?

zainteresowałeś się komisarz.

Otto zaśmiał się.

Ja byłem może ze dwa razy pod koniec studiów, a do stryja to całkowicie niepodobne.

Nie, oczywiście żenie, stryj podał przykład.

Rozumiem.

Spotkali panowie kogoś po drodze?

A w hotelu?

Recepcjonista z pewnością zauważył panów po wrócie?

Nie pamiętam, czy kogoś spotkaliśmy.

Stryju?

51.

Gottlieb wzruszył ramionami, jakby został dotknięty pytaniem.

Recepcjonista?

Tak, niski, szczupły, w drucianych okularach.

Uklonił się nam i to wszystko.

Braun wstał, w jego ślady poszli komisarz i posterunkowy Bochentin.

Podnieśli się również Meinhardowie.

Dziękuję za rozmowę.

Do zobaczenia.

PANIENSKI SALONIK ELZY NEISS:

Według Hansa Grossa, którego "Podręcznikiem dla sędziów śledczych" Ignaz zaczytywał się w bezsenne noce podczas górskich wakacji w Tyrolu, przesłuchiwanie młodych panienek było niezwykle trudne.

Miały one tendencje do konfabulacji, innego niż w rzeczywistości liczenia czasu, często wyrażały skrajne, krzywdzące i mylne opinie na temat bliźnich i zbyt starały się eksponować własną osobę.

Ignaz w duchu nie raz przyznawał staremu profesorowi Grossowi rację, i choć nigdy niewyszedł z roli chłodnego policjanta (szukając głęboków pamięci, znalazłby zedwa lub trzy odstępstwa od reguły), odczuwał typowo męski niepokój przed kontaktami ze znacznie młodszymi pannami, o których nie wiadomo, na ile są jeszcze dziećmi i na ile są niewinne, a na ile perfidne w swej skomplikowanej kobiecości.

Poprosił jednak komisarza, aby zezwolił mu na samodzielne przesłuchanie panny Neiss.

Rensch nie był tak czuły na kontakty z płcią przeciwną i nie miałby żadnych problemów z powłóczytymi spojrzeniami, głębokimi westchnieniami oznaczającymi (być może) zakłopotanie i z innymi sztuczkami.

Mógł jednak spłoszyć pannicę nierozważną ob53.

cesowością.

Skądinąd miał w komisariacie parę zaległych spraw, a był umówiony z Braunem na wieczorną naradę, więc bez zbędnych ceregieli przekazał mu ostatecznie tego dnia czynności związane z sprawą zabójstwa Theodora Pratzta.

Pokój Elzy niewyróżniał się niczym szczególnym natle podobnych świątyn panieństwa, jak mawiał pan Wolf z pisma "Jungfrau" wydawanego dla dziewcząt dobrych i bardzo dobrych domów.

Taki sam pokój ujrzał Ignaz, kiedy parę lat wcześniej trafił do gościnnego domu Sychowskich w Lęborku.

Różnicą była jedna: tutaj nie było na ścianach oleodruków o tematyce religijnej, a tylko prosty, duży krzyż naprzeciw drzwi.

Pastelowe tapety z delikatnym wzorkiem, lekkie mebelki kupowane z przeznaczeniem do takich właśnie miejsc.

Na stoliku kilka egzemplarzy powszechnie prenumerowanego przez damy "Die Modenwelt", na komódce koszyk z robótkami ręcznymi i futerał doskrzypiec, pod oknem wesoło śpiewały dwa kanarki.

Kanapa niewielka, nowa, wyłożona nieskazitelnym zielonym pluszem, jakby dopiero opuściła zakład meblarski.

Na ścianach kilka akwarelek przedstawiających wodospady sudeckie i pagórki ozdobione lasem świerkowym.

Ignaz spodziewał się widoków nieco spokojniejszych, ale pomyślał, że być może gospodyni saloniku bawiła kiedyś w górskich okolicach i darzy zwyczajnym sentymentem tejsze krajobrazy.

Zatopił buty we wzorzystym dywanie i po chwili siedział już przed panną Neiss.

Wielki zaszczyt dla mnie, że poraz drugi mam okazję widzieć pana inspektora, w czym mogłabym okazać się pomocna?

Elza spojrzała na Ignaza bez skrępowania.

"Mogłem przewidzieć, że będzie zachowywała się w ten sposób" pomyślał.

"Nie jest pannicą oprzeć się temu sposobowi".

Pani, zdaje się, wie już, co stało się z Theodorem Pratzem?

Mój Boże, tak, ale nie chcę pan chyba powiedzieć, że ma to coś wspólnego z wczorajszym wieczorem?

54

Ma co najmniej tyle, że fotograf został zamordowany właśnie wczorajszego wieczoru.

A...poza tym?

Braun spojrzał na pannę rozbrajająco.

Poza tym chciałbym dowiedzieć się od pani jak najwięcej.

Takimój zawód.

Na twarzy Elzy odmalowało się zdziwienie.

Copan sugeruje, inspektorze?

Będziesz sugerowała prasa, droga pani, będą sugerować okoliczne dzienniki oraz ludzkie języki.

Ja analizuję.

Najpierw słucham, a potem analizuję.

Co pani wie o gościach, którzy wczoraj byli w tym domu?

O gościach?

Acóż ona, niewinna panna z dobrego domu, mogłaby wiedzieć?

Jej wypada wiedzieć jak najmniej, a jeśli już coś wie, powinna zawsze i wszędzie zachować maksimum dyskrecji.

Tak, dyskrecji brak w dzisiejszych czasach najbardziej.

Nie powinno jej obchodzić, co myślą i robią jej goście.

Powinna otoczyć ich, póki są pod jej dachem, troską w granicach rozsądku i zadbać, najlepiej poprzez niezobowiązującą konwersację, aby czuli się jak najlepiej.

A potem?

Są ludźmi dorosłymi, każdy odpowiada sam za siebie.

Nie jest pani zbyt chętna do współpracy.

Zachowuję się zgodnie z tym, jak mnie wychowano.

A co sądzi pani o Georgu Classie, który panią adoruje?

Elzanie spodziewała się tak obcesowego pytania.

Na moment zaniemówiła.

Jak pan może?

Nie zadałem pani krępującego pytania.

Przecież niezapytałem, czy pani odwzajemnia jego uczucia, a fakt, że jest w panią zapatrzony, dostrzegają wszyscy.

Georg?

zamyśliła się panna Neiss.

Pan raczy żartować.

Miły chłopiec, ale nie jest w żadnym razie mężczyzną.

Nie jest mężczyzną – bezwiednie powtórzył Braun.

Oczywiście, że nie.

Oczy Elzy zabłyśły.

55..

Pastor Class wywoływać może rozbawienie, jest nawet dość inteligentny, ale.

to wszystko, co mam o nim do powiedzenia.

Mężczyzna musi być władczy i powinien zaimponować tymczasem, o czym panu inspektorowi nie powiem, bo sam pan jest mężczyzną, a mężczyznom dokońca nie da się tego wytłumaczyć.

No cóż.

Postać siedząca przed inspektorem odchyliła się niecodło tyłu.

Pan jest podobno wytrawnym policjantem?

Tak mówią – przytaknął zdziwiony Ignaz i przypomniał sobie niedawną sprawę Praczkii Luizy z Dortmundu, kiedy to podziwiała go całe Niemcy.

A więc powinien pan zwrócić uwagę nadrobiasz, który da się wyłowić z moich słów szepnęła najciszej, jak to tylko było możliwe.

Przez plecy Ignaza przeszły ciarki.

"Pan jest mężczyzną.

On nie jest, więc mi się nie podoba.

Pan jest mężczyzną, możesz więc podobać.

Może się mnie spodobać.

Co tadiablica ma na myśli?

I dlaczego odgrywa taką scenkę?

Domorośla uwodzicielka?

Czy naczytała się za dużo romansów?

Czy chce coś przykryć tą maskaradą?

"

Jestem wytrawnym policjantem powiedział metalicznym głosem.

Dobrze.

Więc już pan wie.

Dlaczego pytał pan Classa?

Czy po to pantu przyszedł?

Śledztwo i ja?

Jest pan zamądry, żeby pytać mnie o rzeczy, na których się nie znam.

Mam inne zdanie w tej kwestii.

Niech pan przestaje udawać, na Boga!

Czego uczą was w tym Berlinie?

Maskować się zawsze, w każdych okolicznościach?

Muszę odkryć prawdę o morderstwie.

Ignaz.

szeptnęła i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

Wcisnął się odruchowo w fotel, a ona siedziała jak skamieniała, tylko jej oczy ciągle błyszczały, a usta wypowiada

ły słowa, których nie chciałby słyszeć wytrawnego policjanta na służbie.

Kiedy cię wczoraj zobaczyłam, poczułam się jak przesłuchiwana.

Ale nie tak jak dzisiaj, jak teraz.

Przesłuchiwałam nie oczami, nawet drobne spojrzenia sprawiały, że czułam się zupełnie bezbronna, nie wiedziałam, gdzie mam się podziać.

Odpowiedziałabym na każde twoje pytanie, zdradziłabym największy sekret, gdybym go miała.

Jesteś wielkim policjantem, a ja jestem przy tobie taka mała.

Nie spodziewała się uderzenia.

Kiedy otrzymała policzek, przez moment siedziała jak skamieniała.

Potem podniosła się szybko, jeszcze szybciej siadła i wlepiła w Ignaza wzrok pełen wyrzutu pomieszanego z zachwytem.

Mam nadzieję, że teraz jesteś usatysfakcjonowana powiedział beznamiętnie.

A skoro tak, grzecznie odpowiesz na moje pytania.

Tak.

Zauważyłaś coś podejrzanego w zachowaniu gości?

Kiedy?

Odpowiedziałapytaniem.

Grzeczna dziewczynka.

O to mi właśnie chodziło.

O myślenie.

Przed przyjściem fotografa.

Nie.

Wszystko przebiegało tak, jak się tego spodziewałam.

Goście byli zadowoleni, rozmawiali sobie o wszystkim i o niczym.

Dyskusja między Schrederem a pastorami nie dziwiła cię?

Ani trochę.

Stary pastor jest porywczy, a o panu Schrederze słyszałam, że ma bardzo wywrotowe poglądy.

A na takich wieczorach często dochodzi do śpięć, czasy są niespokojne.

Tak mówi ciocia.

Ma rację.

Meinhardowie niczym cię nie zaskoczyli?

Czy ja wiem?

Nielubię pana Gottlieba.

To znaczy boję się go trochę.

A nie boisz się Ottona?

On, skądinąd, również cię adorował.

57.

Jego nie.

Zdarzali mi się już tacy wielbicielowie Elza! Śmiechnęła się z zadowoleniem.

Starał się być trochę szorstki, ale jest pozerem.

Gdybym chciała, owinęłabym go sobie wokół palca, a on nadal by uważał, że mi imponuje obyciem i tą niby-władczością.

Lekki grymas zagościł na twarzy Brauna.

Pomyślał, że policzek wymierzony dziewczynie był posunięciem najlepszym z możliwych.

Państwa Schrederów raczej nie podejrzewasz o morderstwo?

A może się mylę?

Po co mieliby zabić biednego Pracza?

Są przyjezdni, zaraz wyjadą, oni myślą kategoriami nie stąd.

Bujają w obłokach, chociaż potrafią twardo stąpać po ziemi, kiedy chcą.

Sigmund von Mach?

A to już pan inspektor chyba najlepiej wie, kim jest

Sigmund.

Nie wiem.

Nie wie pan?

Uroczy chłopiec, muchy by nieskrzywdził.

A zresztą, on nie myślał o fotografii.

W ogóle nie myślał o niczym nikim za wyjątkiem Eleonory.

Nie wie pan przypadkiem, dlaczego ja mu się nie spodobałam?

Pytanie było zadane całkiem poważnie i wypowiedziane z taką troską, że Ignaz parsknął śmiechem.

Jesteś doprawdy urocza, moja panno.

Naprawdę?

ucieszyła się Elza.

Bez dwóch zdań.

Może zaimponowały mu te jej dołki w policzkach.

Pan żartuje?

Nigdy nie żartujęz uczuć.

Dlatego byłem wobec ciebie brutalny.

A co powiesz o Gertrudzie Dangel?

O tej nudnej klucznicy bożych przykazań?

A co o niej w ogóle można powiedzieć?

Coś można.

Jest człowiekiem.

Myśli, czuje.

Niech pan da spokój, inspektorze.

Myśli z pewnością, ale czy coś czuje?

Ona chce zostać diakonisą i jej wybór tłumaczy wszystko.

Nie znam jej i nie interesuje mnie jej świat.

58

Dlaczego więc pojawiła się nawieczorze?

zdziwił się Braun.

Pastor Class opiekuje się nią, to sierota.

Zapytał ciocię, czy Gertruda mogłaby przyjść.

Ciocia bardzo lubi pastora.

A co powiesz o Hamarenie?

O, wreszcie ktoś intrygujący.

Choć niejako mężczyzna.

A więc w jakim sensie intrygujący?

No wiepan, on jest artystą.

Tak, z pewnością to ważki argument Ignaz pokiwał głową z pełnym zrozumieniem.

Właśnie.

Taki chmurny i zamyślony, choć nieconna pokaz.

Z nim porozmawiałabym dłużej.

Lubi Muchę i Klimta, tego ostatniego nawet poznał.

Słyszał pan, jak deklamował swój wiersz?

O ogrodzie pełnym zjaw, tak, bardzo obrazowy.

Aleja takie ogrody, oczywiście w przenośni, widzę podczas każdego śledztwa.

Same zjawy, a któraś nich jest zjawą zbrodniczą.

Bardzo ciekawe!

Opowiem pan kiedyś o jakimś śledztwie?

Może, jak dorośniesz.

Teraz ty masz mi opowiadać, w dodatku jak najwięcej.

Wolałabym opowiadać o czymś innym zaczęła Elza zalotnie, ale zaraz przypomniała sobie policzek.

Skoro był intrygujący, może odrobinę się go bała?

A skoro osoba taka jak Elza bała się kogoś, może warto było zatrzymać się nad postacią tajemniczego Norwega?

Małochodzi po świecie wariatów?

Nawiedzonych artystów?

Ignaz zamyślił się nad Hamarenem.

Czy zabiłby kogoś tylko dlatego, że nie spodobałomu się spojrzenie lub jakiś gest?

A może fotograf powiedział coś, co dotknęło przewrażliwionego, a niedocenionego artystę?

Ostatnią myśl wypowiedziałna głos.

Panie inspektorze, pan sam nie wierzy w to, co mówi!

prychnęła panna Neiss z taką pewnością siebie, że Braun zaczął powątpiewać w sensowność swoich myśli przed chwilą.

59.

Przecież ten cały Hamaren jest nieśmiały i tak bardzo zważa na każdą opinię!

Podoba mi się, kiedy umiejętnie stroi się w piórka smutnegodekadenta, i właśnie wtedy chciałabym z nim rozmawiać.

Ale.

nie rozumiał mnie pan, on nie jest taki, jak pan pomyślał.

Nie znam go, ale wystarczająco znam się na typach mężczyzn.

Oczywiście w teorii zaraz poprawiła się i spuściła skromnie oczy.

Braun odwrócił wzrok, żeby nie wzbudzić w sobie agresji.

Panno Neiss, czy pani z kolei przypomina sobie coś szczególnego, co nastąpiło już po przyjeździe Theodora Pracza?

Znowu jesteśmy oficjalni?

Dobrze, będziemy oficjalni.

Musiabym się zastanowić, w pierwszej chwili nic nieprzychodzi mi do głowy.

Dyskusja między pastorami a Schrederem do pewnego stopnia Sigmundem toczyła się i przed przybyciem fotografa, i jeszcze długo potem, prawda?

Tak, zapalali się coraz bardziej.

I nawet fotografowanie, podczas którego musieli, siłą rzeczy, przerwać dyskusję, nie obniżyło napięcia, bo potem wrócili do wspólnego stolika.

Przecież pan to wszystko wie, ja nie jestem chyba doniczego potrzebna?

uśmiechnęła się Elza, tymrazem bez żadnego podtekstu.

Tajemniczy wyraz twarzy Ignaza rozbawił pannę.

W pewnym momencie jednak nastrój zaczął się psuć.

Wszyscy są przyzwyczajeni do takich dyskusji, ale ta chyba nieco wykraczała poza przyjęte formy.

Teraz widzę w pamięci kilka skrzywionych twarzy.

Nawet Otto, który oczywiście trzymał stronę Schredera, w pewnym momencie popukał się znacząco w

czoło i zaczął zabawiać towarzystwo opowieściami o Afryce Równikowej.

Pamięta pan?

Mówił dużo, ostentacyjnie i głośno, żeby tylko tamta rozmowa zeszała w cień.

A pan Pratz?

Pan Pratz siedział gdzieś pomiędzy Ottonem i paroma osobami zgromadzonymi wokół niego a tamtymi.

Zaraz

60

obok niego przysiadła ciocia i chyba Sigmund, a fotografadł te ciasteczka, z których ciocia jest zawsze taka dumna.

Popijał kawę.

Dalej nie pamiętam, co się z nim działo, długo rozmawiałam z Eleonorą o Sigmundzie, a on, Sigmund, ma się rozumieć, nie spuszczał nasz oka i starał się łowić każdy strzęp słowa wypowiedziany przez Eleonorę.

Chybanie bardzo mu się to udawało.

A moment wyjścia pana Pratza?

ten interesował inspektora najbardziej.

Widzi pan, ja nie pamiętam.

Przecież jesteś bystrą osobą, droga panno odparł inspektor.

Dlatego mi wstyd.

Gdybym była jakąś głupią gęsią, która marzy o zostaniu diakoniszą, byłoby oczywiste, że czegoś nie pamiętam.

Aleja naprawdę nie pamiętam.

Przecież to mogła być chwila.

Fotograf nie był człowiekiem, który robi wokół siebie zamieszanie.

Prawdopodobnie odprowadziła go ciocia, był właściwie jej gościem, a zresztą jego wiek wymagał takiej grzeczności.

A co jeszcze przypominasz sobie z końcówki wieczoru?

Sigmund został najdłużej, no i pan, wyszliście panowie razem.

Nie pamiętam, kiedy pożegnał się pan Paschinski, ale on nie jest chyba brany pod uwagę jako zabójca, prawda?

Meinhardowie?

Nie jestem pewna, ja wtedy cały czas rozmawiałam z Eleonorą, nareszcie nie przyglądał się nam Sigmund.

Paru osób już nie było, kiedy skończyłyśmy.

Lars Hamaren wyszedł ze Schrederami.

Ja ich widziałem.

Jak sądzisz, droga panno, skąd taki egzotyczny aliancki towarzyski?

Elzaparsknęła śmiechem.

Nie wie pan, inspektorze?

Nie słyszał pan rozmowy pani Schreder z Hamarenem?

Widziałem, jak siedzieli w fotelach dość blisko, między nimi siedział zamyślony Paschinski.

I...

61.

Ona zamówiła u Larsa obraz.

Mający się nazywać "Odin siedzący na tronie".

Chwalił się, że doskonale maluje skandynawskich bogów, a pani Antoinette, jako kruchej i znudzonej osobie, na pewno podobają się silni skandynawscy bogowie.

"Ty diablico" pomyślał Ignaz o swojej rozmówczyni.

Czyli w ich wspólnym wyjściu nie można się dopatrzeć niczego dziwnego?

Z pewnością nie!

Muszę teraz zadać pytanie, które wyda się pani infantylne.

Żartuje pan?

Ja nigdy nie żartuję podczas prowadzenia śledztwa.

Mówiłem to już dzisiaj?

Czy szanowna panienka podejrzewa kogoś z obecnych o zamordowanie fotografa?

Cała rozmowa zmierzała do postawienia takiego pytania, Elza wiedziała o tym doskonale i spodziewała się, że o końcu padnie, lecz kiedy usłyszała je, zaniemówiła.

Ignaz wpił w nią spokojny, zdeterminowany wzrok węża.

Zastanów się dobrze, proszę syknął.

Nie wiem.

Gdybym powiedziała o kimś coś takiego, pan, być może, zbyt serio potraktowałby moje słowa.

Nie myśl o tym.

Tylko rozmawiamy.

Nie myśl o śledztwie, proszę.

Skoro nic nie zauważyłaś, jak twierdzisz, może chociaż dostrzeżesz, kto odniósłby korzyść ze śmierci fotografa.

Starorzyska zasada, prawda?

Prawda.

Sądzę, że morderstwo nie miało żadnego związku z tym Pratzem.

A jaśniej?

On mógł zostać zamordowany na skutek przypadku.

Przez pomyłkę?

szepnął Braun.

Nie, nie przez pomyłkę uściśliła Elza.

Mogła nastąpić jakaś konieczność, o której nie wiem ani ja, ani pan, inspektorze.

Nie potrafię tego wyjaśnić, po prostu czuję

że, skoro założymy, iż zginął w wyniku pobytu w naszym domu, będziemy musieli też przyjąć, że zaszło coś nieprzewidzianego.

Może przypadkowo słyszał coś, może ten, kogo zabił, wcześniej wcale nie zamierzał tego zrobić.

"Można przyjąć taką tezę" pomyślał inspektor.

Jego glisne podejrzenia osobliwie korespondowały ze słowami Elzy.

A ty, zabawmy się w ten szczególny sposób, za co zabiłabyś przypadkowo poznanego staruszka?

Co pan mówi!

zaperzyła się.

Mówiłem, że to zabawa.

Ale jak zabawa!

Nie bądź taka niewinna, moja panno, zabawa, którą ty zaproponowałaś przed pół godziną, też była osobliwa, czyż nie?

Przecież nie mówię, że zamordowałaś fotografa, nie mówię nawet, że byłabyś do tego zdolna.

Wędrujemy jedynie po meandrach ludzkiej duszy.

Dobrze.

Nie zabiłabym dlaigraszki.

Tak przypuszczałem.

Nie zabiłabym dla pieniędzy.

Tak mniej więcej przypuszczałem.

Co znaczy "mniej więcej"?

Proszę kontynuować.

Nie zabiłabym dla podtrzymania dobrej opinii o sobie.

Zdziwienie malujące się na twarzy Ignaza było aż nazbyt widoczne.

Bo w dzisiejszych czasach tak łatwo zmienić miejsce pobytu.

Ktoś, kto ma zszarganą reputację, jedzie sobie na drugi koniec kraju i rozpoczyna nowe życie.

Jeżeli tylko ma odpowiednie podstawy materialne, a przynajmniej wystarczające do jako takiego bytowania, z łatwością wtopi się w każde środowisko.

Myśli pan, że wszyscy ci rentierzy, którzy przyjeżdżają do Wejherowa, są tacy kryształowi?

Całkiem rozsądnie zgodził się Braun i pomyślał po raz pierwszy, że Elza rzeczywiście jest diabolicą.

Zabiłabym więc wtedy, gdybym już wcześniej był przestępcą i bał się, że nawet najdrobniejszy fałszywy ruch

63.

może uruchomić jakąś lawinę.

Niemam innego wytłumaczenia.

Co panna to?

Braun postanowił, że nie odpowie na pytanie.

Zbyt logiczne wydały mu się jej słowa.

Wstał i spojrzał na Elzę Neiss możliwie jak najbardziej policyjnym wzrokiem.

Dziękuję paniencie za rozmowę.

Takie oficjalne słowa?

Najbardziej oczywiste w naszych wzajemnych relacjach uśmiechnął się lekko.

Relacje zawsze można zmienić Elza oddała uśmiech.

Nie nasze.

Wstał, skłonił się lekko i wyszedł, zamykając za sobą drzwi niemal bezszelestnie.

Dziewczyna zezłością odrzuciła na dywan chusteczkę, którą od pewnego czasu trzymała w kształtnej dłoni.

SENTYMENTALNY SPACER:

Posterunkowy Myszki był wzruszony.

Pruskiemu policjantowi niskiej rangi nie wypadało pierwszemu wyciągać dłoni (a tym bardziej obu) do berlińskiego inspektora, ale z radością przyjął uścisk i ciepłe słowa, które skierował do niego Braun.

Szli teraz ulicą Pętkowicką, niespiesznie, ot tak, jak spaceruje dwóch dobrych znajomych.

Komisarz Rensch wiedział, że mężczyźni zechcą się spotkać, i podarował Myszkowi godzinę w trakcie jego dyżuru.

Żaden z policjantów nie przypominał sobie, aby taka sytuacja miała miejsce w ciągu wieloletniego kierowania przez Renscha komisariatem w Wejherowie, ale też gość ze stołecznego Wydziału IV

ostatni raz przebywał w mieście oficjalnie dobrych kilka lat wcześniej, a lokalna społeczność miała mu wiele do zawdzięczenia.

Opowiedz mi, Anton, co działo się u was od czasu sprawy Wendersa.

Panie inspektorze, długo by gadać.

Właściwie jednak oprócz kilku zuchwałych kradzieży nie wydarzyło się tutaj nic szczególnego.

Praca jak praca, interwencje, wiele papierów.

O, raz zostałem wysłany do siedziby rejencji gdańskiej z jakąś przesyłką dowodową.

65.

Braun uśmiechnął się.

Obok przejechał na bicyklu wąsaty mężczyzna w średnim wieku, co raz poprawiający spadający monokl.

Ależ ja nie pytałem o sprawy zawodowe!

Z całym szacunkiem, ale w Berlinie miałem do czynienia z ciekawszymi sprawami.

Tak, czytałem ostatniow "Polizei Wochenblatt" o Drwaluz Rosenheim.

Zadziwiająca historia!

Jedna z prostszych w mojej karierze, nie przesadzajmy.

Jakżemiewa się pani Anastazja?

Bóg zapłać, panie inspektorze.

Żona szyje teraz ornaty dla księży, przed oddaniem do haftowania.

Ma dużo zamówień, płacą od ręki, ostatnio nauczyła się nawet wykańczać guziki dla prałatów i biskupów.

Bardzo chciałaby zobaczyć pana inspektora, my oczywiście dostosowalibyśmy się do terminu.

Serdecznie zapraszamy w nasze skromne progi.

Dziękuję, chętnie skorzystam, może za parę dni?

Jest tylko jedna sprawa.

Na twarzy Myszka malowało się zakłopotanie.

Co się stało?

Pan inspektor będzie się śmiał.

Jeśli mam się śmiać, nie ma problemu.

Myślałem, że stało się coś złego.

Może nie dokońca, ale moja Anastazja straszliwie się roztyła.

Roztyła?

Tak, panie inspektorze.

Ważychyba ze sto osiemdziesiąt funtów.

Zawsze była dobrze zbudowana, odpowiadał mi nawet taki stan rzeczy, ale teraz.

Eee, mój drogi, gdybyś zobaczył moją żonę!

Pannę Bernadetę?

Komisarz Rensch zdradził mi, że szczęśliwie jesteście państwo po ślubie.

Ignaz uśmiechnął się do swoich myśli.

Nie wyobrażasz sobie, jaki moja żona ma apetyt!

Pochłania suflet za sufletem.

A marcepanowe cukierki!

Nie

66

ma w stolicy większej ich wielbicielki.

Przybiera na wadze tygodnia na tydzień, ale byłbym ostatnim, któremu by to przeszkadzało.

Nie martw się, tylko ciesz się pięknem, które masz przy sobie.

Tak jest, panie inspektorze, zulgązasalutował Anton.

A dzieci?

Masz czworo dzieci, prawda?

Pan inspektor pamięta oblicze posterunkowego, rozjaśniło się jeszcze bardziej.

Anton wyrasta na prawdziwego chłopca.

Tylko coraz bardziej ulega wpływom Anastazji w sprawach.

sprawach wagi państwowej.

Myślisz o polskości?

Łagodnie odpowiedział Ignaz.

Tak westchnął Myszk.

Śpiewa w chórze polskim, dorywczopracuje w Merkurym.

To takiskład i bazarprowadzony przez Polaków, Alfonsa Chmielewskiego i Leona Szulca.

W domu rozmawia tylko po polsku.

Zperspektywy Berlina niewygląda to za dobrze

westchnął Braun.

Wiem.

Ale nie jesteśmy w Berlinie podsumował Ignaz.

A jakżeczujecie sięnajmłodsze zwaszych dzieci, Marta?

Zdaje się, żemiała chore serduszko.

I o niej pan inspektor pamiętał!

Myszk spojrziała rozmówcę z wdzięcznością.

Jest zdrowa i dobrze sięchowa.

Tylko musi wystrzegać się zbytniego wysiłku.

Z Bożą pomocą będzie żyła długo i szczęśliwie, wszyscymamy taką nadzieję.

Na pewno!

mocno zakończył Braun.

Nagle przed policjantami stanęły dwie młode kobiety.

Zastąpiły drogę mężczyznom, ale na ich twarzach malowało się zakłopotanie.

O co chodzi?

zdecydowanym głosem zapytał posterunkowy, marszcząc czoło.

Ten gest wyćwiczył w domu przed lustrem, jak większość obywateli pruskich znajdujących się na służbie państwowej.

Przepraszamy, czy pan inspektor Braun?

zaczęła odważniejsza.

67.

Ignaz skinął głową i patrzył na dziewczęta.

Jak dwiekrople wody!

Ich jasne główki ozdobione były identycznymi kapeluszami z kwiatami jabłoni, spod których nieznacznie wystawały rude włosy.

Kremowe płaszczyki były szyte u tego samego krawca, tylko parasolki panien wskazywały, że patrzący nie widzi podwójnie; jeden był barwy kości słoniowej, drugi łososiowy.

Bo my.

kontynuowała ta bardziej zdecydowana.

Pan inspektor na pewno nas sobie nie przypomina.

Panny Christen, Emilia i Amelia, pracowały w 1901 roku w piekarni Johanna Wendersa odezwał się Mysz.

Właśnie odpowiedziały równocześnie.

Rzeczywiście, teraz kojarzę ucieszył się Braun.

Czy panienki nadal tam pracują?

I czy piekarnia jeszcze istnieje?

Dziewczęta przytaknęły.

Oczywiście, że istnieje.

Prowadzi ją daleki krewny pani Irmgardy, pan Wolfgang Rose.

Pracujemy tam i polecamy nasze wyroby zebrała się na odwagę druga z sióstr, falując pierśią.

A pani Wenders?

Co się z nią dzieje?

Pani Irmgarda w pół roku po tej smutnej sprawie wyjechała do Bydgoszczy, gdzie właśnie mieszkał pan Rose.

Odstąpił jej garsonierę w centrum miasta, a sam przeniósł się do Wejherowa, bo w Bydgoszczy była duża konkurencja w branży piekarniczej.

Anton zmarszczył czoło i mruknął sam do siebie, że niespodziewała się, aby gość z Berlina chciał dowiadywać się o losy wdowy.

Pani Irmgarda wyszła po roku za mąż.

Za piekarza?

zainteresował się Braun.

Za rzeźnika.

Bardzo postawny mężczyzna, solidny człowiek.

Widzieliśmy oboje na zdjęciu u pana Rose.

"To było do przewidzenia" pomyślał Ignaz.

Przepraszamy za śmiałość, ale zauważyliśmy pana inspektora i pomyślałyśmy od razu, że może pan inspektor.

68

Tak?

Braun postanowił ośmielić panny, które nagle spuściły główki.

Czy pan inspektorze chciałby wyświadczyć nam uprzejmość i podpisać się na kartce, która potem będzie naszą pamiątką?

Myszk o mało nie parsknął śmiechem, a Braun znalazł się w bardzo podobnym stanie ducha.

Skłamałby jednak, gdyby powiedział, że jest mu nieprzyjemnie.

Drogi panie, nie wolno mi pozwalać sobie na takierzeczy.

Rozumieją panie, podpis policjanta jest święty.

Może być niewłaściwie wykorzystany.

Bardzo prosimy.

Naprawdę nie mogę.

Nawet panie nie wiedzą, co może się stać z taką kartką.

Jedna z sióstr podniosła nagle rozjaśnioną twarz.

A można parasolkach?

Przecież to już zupełnie inna sprawa!

Gość z Berlina musiał dać za wygraną.

Wyjął kieszeń marynarki i złożył zamasztywane podpisy na obu parasolkach.

Od teraz nie nadają się do użytku, chyba że panie nie będą zbyt długo przywiązane do tak osobliwej pamiątki,

Ależ będziemy piśnięły na raz wniebowzięte panienki, ładne jakaniołki na świątecznym obrazku.

Pan jest bardzo uprzejmy!

I taki życzliwy!

mówiły jedna przez drugą.

Kiedy już się oddalały, błyskając śnieżnobiałymi getrami śnieżnobiałych bucików, Ignaz sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

Co za dziwactwo z ich strony pokręcił głową posterunkowy.

Nie narzekaj.

W końcu pracujemy dla takich histot jak te.

A resztą bardzo lubię wszelkie bliźniacze pary, sam mam w rodzinie dwoje bliźniaków, tylko że dziewczynkę i chłopca.

Szli teraz ulicą Lęborską.

Ignazowi wydawało się, jakby świat zatrzymał się i przez tych kilka lat nie wydarzyło 69.

się w Wejherowie nic szczególnego. Te same sklepy, ta sama poczta i gimnazjum. Ludzie spieszący w rozmaite strony. Napisy nad witrynami sklepów, gwar na ulicach, stukot bicykli o bruk...

Wiedział, odjeżdżając niegdyś pociągiem kolei żelaznej do Berlina, że jeszcze tu wróci. Bywał potem w Wejherowie, zawsze jednak przejazdem i starał się nie nadawać swoim pobytom rozgłosu. Znał

rozmaite techniki operacyjne, dzięki którym potrafił wtopić się w tłum, i wykorzystywał je chętnie.

Jednak sprawa zabójstwa Theodora Pratzka przyczyniła się na nowo do wzrostu popularności berlińskiego inspektora. Znowu miano mówić o nim w domach, w sklepach i urzędach. Wszyscy się tu znali; krewny krewnego i znajomy znajomego spotykali niemal codziennie. Ignaz wiedział, że w

takich miastach po prostu już tak jest, ale na widok nadchodzącego profesora Wilhelma Marza zaśmiał się do Antona i mruknął, że małomiasteczkowe realia nieco go przerastają.

— Wielki Boże, pan inspektor! — wykrzyknął nauczyciel i rzucił się w kierunku policjantów, zaraz jednak przystanął i zawahał się, czy wypada mu pierwszemu wyciągnąć dłoń do Brauna.

Ignaz przywitał się z nim serdecznie. Wdzięczny profesor w napięciu przyglądał się gościowi z Berlina.

— Wiedziałem, że pan inspektor gości w Wejherowie, bo jakże by nie wiedzieć. Sądziłem jednak, że stanął pan na mojej drodze tylko wtedy, przed laty, że był pan dla mnie znakiem od Boga, a teraz okazuje się, że jeszcze raz... Niezbadane są wyroki Boskie!

— Co chce pan przez to powiedzieć, panie profesorze? — zdziwił się Ignaz.

— Miałem parę rzeczy na sumieniu, pan wie najlepiej, pański przenikliwy umysł wszystko rozszyfrował. Nie byłem całkowicie złym człowiekiem, ale ułomność duszy ludzkiej w moim przypadku uwidoczniła się coraz bardziej!

Policjanci jak zahipnotyzowani wpatrywali się w Wilhelma Marza. Rozwiany wianuszek włosów dookoła czaszki, płonące oczy ozdobione przekrzywionymi binoklami, usta wypowiadające słowa coraz szybciej, wystające górne zęby. Profesor mógłby wydawać się groteskowy, ale mówił z wiarą, szczerze i Ignaz poczuł do niego pewien rodzaj sympatii, która miała trwać dzięki świadomości, że nauczyciel nie chowa do niego urazy.

— Pamięta pan, drogi inspektorze, moje kłopoty z alkoholem, moje roztargnienie, moją niechęć do paru osób?

— Pamiętam — cicho potwierdził Braun.

— Właśnie. Zmieniłem się nie do poznania. Nie rzucam w tej chwili słów na wiatr. Dwa lata temu przeszedłem na emeryturę, ale nie wtedy zaczęła się moja przemiana, a właśnie od pamiętnego roku 1901. Nie biorę do ust alkoholu. Diabelski wynalazek! Co miesiąc oddaję na rzecz miejscowej ochronki prowadzonej przez siostry zakonne jedną trzecią mojej emerytury.

— Dlaczego pan mi o tym mówi, profesorze? Przecież ja nie jestem pana spowiednikiem ani w ogóle moralistą.

Marz wzniosł oczy ku niebu.

70

71

Nie rozumie pan?

Dzięki panusieńki zmieniłem, i właśnie panu muszę opowiedzieć o mojej przemianie.

Przecieżnie mówię tego wszystkiego każdemu napotkanemu, mamtrzeźwymyśl.

Ale znak, jaki dziś otrzymałem od Najwyższego, jest taki wyraźny.

Taki wyraźny!

Być może Ignaz z zakłopotaniem spojrział naMyszka.

Ja,panieinspektorze, coraz bardziej zanurzam sięw mistycyzmie uroczyście oświadczył

Wilhelm Marz.

Pan jest katolikiem,prawda?

W istocie.

Otóż to!

Zrozumie mnie pan.

Święta Teresaz Avilla,św.

Jan odKrzyża, przecież są gigantami, nie zaprzeczypan.

Takbardzo przekonującopiszą!

Przed panem też jestdroga wybranych,jestem przekonany, taki człowiek musikiedyś zostać mistykiem!

Pan już nimzostał?

I co totak naprawdę znaczy?

ożywił sięposterunkowy.

Ja? Staram się, ale moje grzechy z przeszłości trzymają mnie zbyt silnie w doczesności.

Jednak staram się,powtarzam, i czuję, że moja dusza jest coraz pełniej zjednoczona z Bogiem.

Braun iMyszk porozumiewawczo spojrzeli na siebie.

Mimo pewnej sympatii, jaką Ignaz powziąłdo emerytowanego nauczyciela, nie uważał za celowe stać się powiernikiem jego duchowego wzrostu.

Bardzo to miłe z pana strony, drogi profesorze, że ma pan o mnie tak wysokie mniemanie, chciałbym jednakprzy okazji spytać, czy znał pan Theodora Pracza?

Co za pytanie Marz ochłonął nieco.

Każdyw mieście znał biednego fotografa.

Tak.

Ale czyznał go pan osobiście?

Od lat!

Theodor częstoprzychodził do gimnazjum,aby robić zbiorowe zdjęcia uczniom.

Szkoła zamawiała jego usługi, a był naprawdę świetnym fachowcem.

Tak, byłmistrzemświatłocienia.

Nie wyobraża pan sobie, na ilu jegozdjęciachzostałem uwieczniony z uczniami.

Spotykałem

72

go też na ulicy, jak chodził zeswoimi instrumentami fotograficznymi.

Naszaznajomość nie była przyjacielska, ale nieraz ucieliśmy sobie pogawędkę przy rozmaitych okazjach.

Czy Pratz był osobą konfliktową?

Oczyprofesora zrobiły się wielkie jak pięciomarkówki.

Ależ skąd!

I dlaczego pa1 to zapytał?

Ostatecznie kogoś zamordował melancholijnie odparł Braun.

No tak, prawda.

Ale wiepsii.

inspektorze, mógłbymprzysiąc na wszystkie świętości, że stało siętak nie z jegowiny.

Może jakaś koszmarna pomyłka, jakieś nieporozumienie?

Przecież Theodor nieskrzywdziłby muchy!

Lubiłludzi, a jego bystre oko fotografa starało się zawsze dostrzecpoprzezobiektyw dobro mieszkające w ludziach z emfazązakończyłnauczyciel.

Na wyciągniętym z kieszonki marynarki Ignaza zegarku wskazywało, że zrobiło się piętnaście po piątej.

"Czas na obiad" pomyślał Braun i pożegnał się z Marzem.

Proszę pamiętać o św.

Janie od Krzyża, kochany inspektorze!

rzucił już z pewnego oddalenia profesor.

Posterunkowy doprowadził gościa z Berlina pod samą drzwi hotelowe.

Mam nadzieję, że pan inspektor znajdzie jednak parę godzin dla wiernych przyjaciół, jeśli mogę powiedzieć tak o mojej rodzinie i o sobie.

Powtarzam się, ale toż sympatii.

Obiecałem przecież uśmiechnąć się Ignaz.

Kiedy w dwadzieścia minut później zasiadał do sznyclapowiedeńskiego, w myślach rozkoszując się jeszcze musem kalafiorowym, który w Königl'her Hof przyrządzany był po mistrzowsku, nad stolikiem zawisł, jak obłok, ludzkie cię.

Najmocniej przepraszam, czy mam zaszczyt z panem inspektorem Braunem?

- elegancki mężczyzna w sile wieku skłonił się z galanterią. Owszem, Ignaz zawiesił głos i wstał.

73.

Niezmiernie mi miło, pozwoli pan, że się przedstawię.

Friedrich Schul, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej.

Mężczyźni wymienili ukłony.

Braun zaprosił gości do swojego stolika, a kelner, który pojawił się jak spod ziemi, przyjął zamówienie Schula na mocną schwartzer z kruchym herbatnikiem.

Daruję pan obcesowość, z jaką ośmieliłem się przerwać zasłużony posiłek miejski bankowiec niezwykle starannie dobierał słowa.

Muszę jednak z żalem przyznać się panu inspektorowi, że nie tylko chęć poznania tak znakomitego przedstawiciela kryminalistycznej elity kulturalnego świata przywiodła mnie do pańskiego stolika.

A ja już myślałem, że wszyscy tutaj chcą przywitać się ze mną dla mnie samego Ignaz postanowił nieco rozluźnić konwencję rozmowy, ale zaraz spoważniał.

Słucham pana?

Friedrich Schul rozejrzał się dookoła, potem rzucił okiem na Ignaza, potem jeszcze obrócił głowę za siebie, wreszcie nachylił się nieco w stronę rozmówcy.

Pojmuje pan, że jestem w Wejherowie osobą szanowaną i godną zaufania.

Od chwili, kiedy pana poznałem, powziąłem takie przekonanie.

Cieszę się niezmiernie.

Potwierdza się, że jest pan niezwykle przenikliwym człowiekiem.

Otóż z racji profesji, jaką wykonuję z takim oddaniem dla dobra Wejherowai jego mieszkańców, znanych mi jest wiele faktów, które policja może poznać przy okazji śledztwa.

Przed Schulem kelner postawił delikatną kremową filiżankę, w której czaił się parujący diabeł, schwartzer przyrządzana według najlepszych wzorców z cesarstwa Habsburgów.

Tajemnice bankowe?

zdziwił się inspektor.

Tajemnice bankowe potwierdził dyrektor kasy.

A czy zdaje pan sobie sprawę, panie Schul, że bezpozwolenia rejencyjnych władz policyjnych z

Gdańska nasza dalsza rozmowa wydaje się niedozwolona?

74

Rozmówca był przygotowany na taki obrót sprawy.

Uśmiechnął się dyskretnie i nachylił do Ignaza.

Jestem poważnym człowiekiem i przez wiele lat pracowałem na swoją reputację.

Nie zmarnowałbym takiego kapitału, drogi panie inspektorze, dla bycia w centrum wydarzeń.

Jeszcze napisaliby o mnie w jakimś brukowcu, a tego bardzo bym sobie nie życzył.

A więc?

Braun wydawał się dezorientowany.

Ja służę moją pomocą pod kątem teoretycznym, a później w zależności od potrzeby.

W razie wyższej konieczności wyprężył się dumnie dyrektor.

Jeśli tylko policja, w szczególności pan inspektor, zwróci się do mnie o jakiegokolwiek konkrety, chętnie służę.

Widzi pan, drogi inspektorze, mogę dotrzeć, oczywiście w ramach procedur, do informacji o stanie majątkowym większości osób mieszkających w Wejherowie, jak również przyjezdnych.

Przyjezdnych?

Braun po raz drugi był dezorientowany.

Tak zatriumfował Friedrich Schul.

Większość banków funkcjonujących na niemieckim rynku ma do naszej kasy zaufanie, a co zatem idzie, my również do nich.

Osoby korzystające z ich usług, miejscowe i przyjezdne, mogą zaciągać u nas kredyt ograniczonego lub nieograniczonego zaufania na bieżące wydatki, niekiedy i na poważniejsze cele, co zależy oczywiście od reputacji kredytobiorców.

Ale w obu przypadkach mam informacje od macierzystych banków na temat solidności, wypłacalności, postawy patriotycznej i tak dalej.

Codopiero mówić o poczciwych wejherowianach!

Przed dyrektorem, przywołany, pojawił się kelner, który przyjął zamówienie na mus brzoskwiowy z bitą śmietaną.

A jakie wymienione fakty mogą mieć związek z zabójstwem Pracza?

Panie inspektorze, widzę, że mapan doskonałe poczucie humoru, iście stołeczne, doprawdy uśmiech dy75.

rektora był szczery.

Przecież jest jasne, że przyczyny zabójstwa są takie, jak zawsze.

Natury finansowej.

)

Rozmówca rozłożył ręce.

Niestety, panie inspektorze, a raczej na szczęście, niewiemo zmarłym fotografie niczego, co przynosiłoby muwstyd.

Oszczędności miał w naszej kasie niewielkie, kredytów unikał jak ognia, w sumie bardzo solidny człowiek.

W jego sprawie musi być drugie dno, ale na końcu w grę wchodzi pieniądze.

Niech pan nie sądzi, że moja profesja przesłoniła mi szerszą perspektywę.

Ja po prostu widziałem tak wiele sytuacji, że z każdym miesiącem mam coraz bardziej ukształtowane zdanie o ludzkiej naturze.

Co powiedziałszy, dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej połknął pierwszy kęs musu brzoskwiowego zbitą śmietaną.

Widać było, że apetyt mu dopisuje.

POSEPNY DUCH PÓLNOCY

Kalwaryjskie wzgórza tonęły w wyrazistej zieleni.

Niedawno spadł deszcz i wysychające trawy na nowo wypuściły się w tęsknocieku słońcu.

Nad potężnymi bukowymi pniami szumiały wielkimi gałęziami korony drzew.

Szum to wznagał się pod naporem ciepłego wiatru, to uciszał się, towarzyszącym, którzy w słoneczną popołudnie wybrali się na przechadzkę w sąsiedztwo kaplic.

Ignaz lekko krokiem dogonił idącego powoli wysokiego, przygarbionego mężczyznę, niosącego pod pachą sztalugę ipokaźnych rozmiarów torbę.

Panie Hamaren, halo!

Panie Hamaren!

zawołał, gdy był już tylko kilka kroków od Norwega.

Tamten nie zareagował.

Braun stanął z nim oko w oko i z przyjazną miną oczekiwał na jego reakcję.

Hamaren dopiero teraz zorientował się, że ktoś przed nim stoi.

Pan nazywa się?

zapytał po chwili nieskutecznej próby identyfikacji rozmówcy.

Braun, inspektor Braun, przecież spotkaliśmy się wczoraj, w salonie pani Wilfridy Neiss.

Rzeczywiście niezbyt pewnie odparł Hamaren, ale zaraz jego twarz cokolwiek się rozjaśniła.

Rozmawiał

pan ze wszystkimi po trosze, ze mną chyba też, ale proszenie wymagać ode mnie pamięci do takich rzeczy.

Zdziwiony Ignaz, nawykły do szacunku okazywanego jego osobie jako przedstawicielowi policji w ogólności oraz jako Ignazowi Braunowi, pogromcy Alchemika z Szafuzy, przez moment nie wiedział, co powiedzieć.

Był nieco zepsuty unізonością przesłuchiwanym, którzy wprawdzie coraz starali się wywalczyć dla siebie minimum (bądź maksimum) przestrzeni, ale w końcu pod wpływem metalicznego głosu inspektora orientowali się, gdzie jest ich miejsce.

Natomiast ten oto osobnik wysoki, łysiejący, przygarbiony, choć niemający z pewnością więcej niż trzydzieści lat z beztroską nonszalancją okazał Ignazowi, że policjant znaczy dla wyniosłej duszy artysty tyle, co każdy inny zwyczajny zjadacz chleba.

Braun spojrział nagałąż, kołysząc się nad nimi wysoko w górze, i pomyślał, że powinien Hamarena oswoić.

Na swoich jednak warunkach i w sposób sobie właściwy.

Jeśli mapan kłopoty z pamięcią, nie wróżyto najlepiej naszej rozmowie.

A szkoda.

Teraz Norweg zdawał się dziwiony.

A o czym, panie inspektorze, mielibyśmy ze sobą rozmawiać?

Przecież ja nie znam się na prowadzeniu śledztwa, skądinąd jakież małostkowe jest zazwyczaj śledztwo, jak niepotrzebnie zagłębia się w szczegóły, draży jak kret.

Może z kolei ja wiem więcej na temat sztuki nowoczesnej niż pan o pracy policyjnej?

Pan?

ton głosu Norwega mówił wiele.

Owszem odparł Ignaz z łagodnym uśmiechem, choć w głębi duszy zaczynał artysty nienawidzić.

Może papierosa?

Wahanie Skandynawa nie było długie.

Przysiadł na trawie obok malowniczych paproci i z kolei odwdzińczył się rozmówcy zapaloną

zapałką, wielką i buchającą na ćwierćlokcia.

Dałbym sobie głowę uciąć, że pali pan cygara.

78

Rozczarowałbym pana, gdybym palił cygara?

zdziwił się Ignaz tuż po wciągnięciu w płucatego haustajungherba.

Nie dostrzega pan, że cygaro znakomicie pasuje do kapitalistów, raczej starszych i otyłych, albo też młodych zdemoralizowanych posiadających władzę?

A potem takich tępaków naśladuje ogół, któremu imponuje dobra wełna garnituru, karnet w loży renomowanego teatru albo złoty piaget na dewizce.

Miałem pana za takiego własnienaśladowcę.

Dłoń policjanta odruchowo przykryła łańcuszek zegarka.

Choćnie był to piaget.

Papierosy, inspektorze, papierosy są symbolem wolności!

Pali się je szybko, a przecież życie jest takie krótkie.

Wyglądają dyskretnie i subtelnie, stać na nie nawet ubogiego artystę, który nie ma czego włożyć do garnka.

Czy nie dorabia pan nadmiernej ideologii do palenia papierosów?

tonem głęboko filozoficznym odpowiedział Braun.

Zdarzami się palić cygara, częściej papierosy, a wszystko w zależności od towarzystwa i własnej chęci.

Hamaren spojrzał naberlińczyka z ciepłym współczuciem.

Podświadomie dąży pan do szlachetności ducha, ale liczne uwarunkowania prowadzą pana na ziemię.

Teraz przypominam sobie naszą rozmowę, trwającą wprawdzie krótko.

W istocie, jest w panu dwoistość, inspektorze.

Filister i artysta, oczywiście artysta na miarę Niemca.

A pan?

obłoczek dymu powędrował w stronę obłoków wiszących nad bukowym lasem.

Ja?

Tak, pan ożywił się Ignaz.

Niepojmuję, jak ktoś może być tak pewnym, że sam jest skończonym artystą i że jest uprawniony wyrokować o wartości innych.

Proszę mnie źle nie odebrać, nie mam panu tego zazłe, chciałbym jedynie zrozumieć.

Niedopałek Norwega został wyrzucony wysoko i daleko poza plecy rozmawiających.

Hamaren wyjął z kieszeni

79.

tweedowej marynarki piersiówkę z absyntem, który lubił pić bez uciekania się do kawiarnianych rytuałów.

Lubię szczerość!

Nie jest pan wężem, inspektorze, mówi pan, co myśli, wyraża emocje.

Sądzę, że rzadkością u policjantów.

Dobrze, zostawmy policjantów.

Panu jedynie brak konsekwencji.

Mylisz pan, artysto odparował Braun.

Raczej panu jej brak.

Buteleczka z absyntem zawisła w drodze do ust Larsa Hamarena.

Mnie brak konsekwencji artysty?

Pan żartuje, pruski żandarmie?

Na pewno pan żartuje!

Niestety, nie.

Wczoraj słyszałem, jak wypowiadał się pan bardzo zdecydowanie na temat czystości i bezinteresowności sztuki: "Sztuka nie powinna być rzemiosłem i nie powinna podlegać prawom kapitalizmu!

".

Moje słowa!

Zapamiętał je pan!

skromność nie była mocną stroną artysty.

No właśnie.

A potem spokojnie wyszedł pan ze Schrederami.

Nie rozumiem?

Norweg naprawdę nie rozumiał.

Ignaz nie spieszył się z odpowiedzią.

Wstał i jak wilkobszedł swojego rozmówcę dookoła, wreszcie wyszeptał: Zgodziłem się pan namalować portret pani Antoinette.

Bądź co bądź, mieszczańki.

Za pieniądze.

Skąd pan wie?

niemal z gniewem odparł Hamaren.

Jestem policjantem odpowiedź, jak zawsze, miała brzmieć bezbarwnie, ale wbrew intencjom Brauna zadźwięczała prawie pyszałkowato.

Każdy musi z czegoś żyć.

Ze to wbrew wyznawanym deklaracjom?

Nie, niekoniecznie, przecież dzięki takiemu małemu ustępstwu powstaje wielka sztuka.

Temat jak temat, ale ręka artysty!

Świat gnuśnego materializmu zostaje w ten sposób zaprzęgnięty w rydwan wielkiej sztuki, sam więc na siebie kręci bicz, a on, Lars Hamaren, tylko się cieszy, że może uczestniczyć w schyłku kapitalizmu.

Mała cegiełka, mała kropla w rwącym strumieniu.

Kropla drąży

80

skale.

Przecież Schrederowie mogli wynająć jakiegoś pacykarza, jakiegoś, co gorsza, akademistę, który namalowałby kobietę na tle ciężkiej kotary albo wazonu z barwnymi kwiatami.

Co lepsze?

A co pan sądzi o Schrederach, drogi mistrzu?

-głos Ignaza znowu był ciepły.

Kolejni ludzie skonstruowani z samych sprzeczności.

On odgrywa rolę wielkiego liberała, który pogardzamieszcząskimi poglądami i wyrasta ponad zastane układy społeczne, ale na co dzień korzysta pełnymi garściami z pieniędzy brzuchatych jegomościów.

Przychodzą do niego ze swoimi małymi sprawami, on zaś używa pokrętej retoryki, aby wyciągnąć z nich jak najwięcej.

I na pewno nazywa to czciwą transakcją.

Jest w nim jednak jakaś ciągota do twórczej destrukcji.

Jeśli już czuje, gdzie jest racja, a postępuje inaczej, jego wina jest tym większa.

Same sprzeczności!

Jego żona natomiast.

Antoinette zamyslił się Norweg, a jego oczy nagle pociemniały.

Antoinette jest kobietą, która marnuje się przy takim mężu.

Braun uśmiechnął się i lekko pokiwał głową.

Wolałby pan, żeby rozkwitała u boku artysty?

Niech pan nie kpi, pierwszy Hamaren spłoszył się jak uczeń przyłapany na nieodrobieniu zadania domowego.

Mówię czysto teoretycznie, chociaż, prawda, nie mam drobnych mieszczkańskich uprzedzeń.

Jest kobietą stworzoną do bycia mużką.

Ja powinienem malować Muchę albo Klimt.

Klimt oddałby całą głębiej melancholijnychoczu.

Tak, on potrafiłby oddać te zagięcia jej ciała, te esy-floresy, regularne uczesanie bogini.

Oczywiście jego zainteresowanie byłoby czysto artystyczne.

Oczywiście zacząłby odparł Norweg.

A gdyby jeszcze potrafił namalować głos!

Miękki, niktyno\vy niski.

Taki głos, jaki potrafi opisać Przybyszewski.

Zna panwiersze Przybyszewskiego?

Satanistyczne,urzekające.

81.

Niestety.

Tak myślałem Hamaren pokiwał smętnie głową, a kosmyki przetłuszczonych włosów opadły przy tym nawysokie, wypukłe czoło.

Dla Brauna stało się jasne, że wbrew sobie Norweg stworzył się na rozmówcę.

Nie wiedział nic o inspektorze, nie wiedział, czy ten niewykorzysta jego afektacji i dziecięcej porywczowości, a jednak mówił, co myślał.

"Jesteś prosty i uczciwy, ale czyż i tacy nie potrafią być dołni do największej zbrodni?"

Jesteś mieszczaninem, choć wzbrania się przed tym, bo brzydzisz się niedomaganiem obecnym w zwyczajnym życiu.

Dlatego uciekasz do dziwactw bezpiecznych.

Nie ukradłbyś nawet feniga anicesarzowi, ani handlarzowi sukna, ani nawet fabrykantowi palącemu cygara, ale na głos powiedziałbyś, że nie okradłbyś ich, bo brzydzisz się brudnymi pieniędzmi.

A jednak sąw tobie jakieś pokłady destrukcji.

Co z tego, że autodestrukcji, destrukcja zawsze działa.

destrukcyjnie.

I bywa wtedy ślepa".

Może urażę dumę artysty tak błałym tematem, ale co pan sądzi o Theodorze Pratzu?

Czy zauważył pan w ogóle jego przybycie i pobyt u pani Neiss?

Proszę się nie dziwić, że pytam o tamten wieczór, ale ktoś, kto zajmuje się prostym odzwierciedleniem rzeczywistości, zadaje tego rodzaju pytania.

Hamaren zrobił wielkie oczy.

Panie inspektorze, proszę nie robić ze mnie bufona.

Oczywiście, że zauważyłem pojawienie się staruszka.

Było charakterystyczne?

zdziwił się Braun.

Nie, nie o tym myślałem.

Po prostu tak bardzo nie pasował do towarzystwa!

Ignaz uśmiechnął się.

Możewięc słusznie robię z pana bufona?

Nie miałem na myśli niczego złego Hamaren odwzajemnił uśmiech.

Prostu wiek fotografa i jego skromność tak bardzo nie pasowały domieszczającego targowiskapróżności, że nie sposób było niezwrócić na to uwagi.

Tam

82

wszyscy, przecież pan widział, włączając i pana, starali się tak bardzo zaprezentować w sposób godny, tak, użyłem odpowiedniego określenia, godny, że zaczynał mnie irytować dosłownie wszystko, od pierwszych chwil.

Dziękuję Braun skłonił się uprzejmie.

Niech się pan nie zżyma, inspektorze, taka jest ułomna ludzka natura.

A ten staruszek zrobił swoje i przysiadł sobie z kawą i ciasteczkami, przysłuchiwał się dyskusji dwóch pyszałków i uśmiechał dobrotliwie, jakby oni zasłużyli na jego uśmiech.

Zainteresowałogo dyskusja między pastorem a Schrederem?

Może?

Ale raczej odnosił się do niej z pobłażaniem.

Dziwi się pan, że dość dokładnie przyglądałem się Pratzowi?

Widzę powyrazie pańskiej twarzy.

W istocie, mimowszystko ktoś tak oddany sztuce i dodatkowo zainteresowany artystycznymi walorami urody pani Antoinette.

Przytyk trafił w próżnię, a przynajmniej Norweg udął, że go nie słyszy.

Wstał, podszedł do sztalugi, wziął w ręce jedną pędzli i zaczął kreślić tuż nad szarym płótnem abstrakcyjne, choć precyzyjnie wykonywane, linie.

Jego twarz rozjaśniła się, potem pociemniała, na policzkach pojawiły się delikatne rumieńce.

Obok niego przeleciał głośno brzęczący owad; wiatr owionął włosy artysty, a on zdawał się nie zauważać tych objawów życia wokół siebie.

Wreszcie dłoń opuściła pędzel, wzrok padł na Brauna, a Hamaren uśmiechnęła się smutno.

Widzi pan, inspektorze, Pratz był prawdziwym artystą.

"Mój teść zawsze powtarza, żeby nie ufać reprezentantom nowych prądów w sztuce.

Są nieprzewidywalni, a Brunon lęka się tylko jednego: nieprzewidywalności" pomyślał Ignaz, jednak wbrew myślom teścia z jeszcze większym zainteresowaniem wsłuchał się w słowa Norwega.

Pan naprawdę nie dostrzegł, z jaką maestrią fotograf wykonywał swoją pracę?

Zdziwienie Hamarena było

dużo wielkie.

Przecież pan jest policjantem, powinien pan być spostrzegawczy.

Widział pan jakieś prace Theodora Pratza?

Ignaz najwyraźniej nie przywykł do krytyki.

Nie, kiedy miałem je widzieć?

Do tamtego wieczoru nie wiedziałem o jego istnieniu, znałem tylko parę paniensklepowych, hotelarza i, oczywiście, Meinhardów.

Skąd więc tak zdecydowany osąd umiejętności późniejszej ofiary?

Norweg spojrział w stronę sztalugi i pędzla.

Pewnie pomyślał pan, że zwariowałem przed chwilą?

Nie, ja tylko odczułem nagłą potrzebę imitacji ruchów, które zauważyłem wtedy.

Co za precyzja i zdecydowanie!

I jeszcze gracia, jakiś archaiczny wdzięk, jakby był dawnym mistrzem przeniesionym przez dzina do współczesności.

Tak, elegancja i precyzja! Pratz ustawił wszystkich do fotografii stosunkowo szybko, a wydawało się, jakby trwało to godzinami, tak można było smakować każdy jego gest.

Zamienił się wtedy w pewnego siebie geniusza, dla którego wszelkie światłocienie, załamania, zalety i wady ludzkiej twarzy, ubrań oraz tła nie stanowią żadnego problemu.

Niewiem, czy niwelował je czy wypuklał, ale tworzył dzieło.

Zaimponował panu.

Nie przeczę, tak!

Wie pan, inspektorze, że z takim na przykład Ottonem nigdy, a znamy się ładnych parę lat, nie miałem okazji rozmawiać o sztuce?

Oczywiście, zdarzało się nam komentować wspólnie rozmaite wydarzenia kulturalne, ale dyskusja?

O innych obecnych u pani Neiss już nie wspomnę.

A Pratz słyszał o Kramtkreterze, o Aloisie Malence!

Maleńka!

Pratz wiedziało nich wszystko, oglądał albumy z ich dziełami!

I taki równocześnie prosty.

W głowie Brauna boleśnie zawirowało nazwisko Maleńka.

Słyszał gdzieś o noszącym je malarzu, ale nie potrafił przyporządkować mu konkretnego dzieła.

Odnoszę wrażenie, że nie był pan zbyt zachwycony resztą towarzystwa?

84

Trafnie pan określił moje odczucia, inspektorze.

Nawet w trakcie pozowania do fotografii wszyscy zachowywali się, jakby byli dziećmi.

Pamięta pan?

Pratz w pewnym momencie jakby nawet zdenerwował się; poruszali głowami, ramionami, ktoś chichotał, ktoś nawet się zachwiał.

Nierozpoznali w nim mistrza, nie potrafili uszanować uroczystej chwili.

Czy ktoś przez cały wieczór, albo tylko przez parę chwil, zachowywał się dziwnie?

Ignaz zawiesił głos.

Skoro jest pan taki spostrzegawczy?

Norweg postanowił uczciwie odpowiedzieć na tak ważne pytanie i zmarszczył czoło, nie spiesząc się z odpowiedzią.

Przesunął dłonią po niskiej, soczystej trawie i spojrzawsz górę, gdzie lekkokołysały się liściewysokich buków.

Mimo odgrywanycrólkażdy kiedyś odkrywa swojesłabości albo uczucia.

Zwłaszcza natury tak pospolite,jakte, zktórymi miałemdo czynienia tamtego wieczoru zaczął, zapalając kolejnegopapierosa.

Wypuścił dym rozszerzonymi nozdrzami.

Wiem, zarazspytałby pan okonkrety.

Oto i one.

ElzaNeiss jest pustą, nieco bezczelnąpannicą, która chciałabybogato wyjśćza mąż, ponieważ jednak lubi męskie towarzystwo, szukanieustannie,po omackui często okazuje swoje względy komu popadnie, ot, tak na wszelki wypadek.

Lekkie chrząknięcie również palącego inspektora spowodowane było gryzącym dymem; końcówki papierosówzawsze sązbyt mocno przesycone nikotyną.

CiotkaElzy, Wilfrida, nie zrobiła na artyście żadnegowrażenia i orzekł, żewymieniając jej imię, i tak poświęciłgospodynizbyt wiele uwagi.

A Meinhardowie?

Ich zna pan najlepiej.

Gottlieba znam długo, ale powierzchownie i głównie z opowiadań bratanka.

Staruszekbyć może byłby na swój sposób oryginałem.

Ta jego mania antropologiczno-turystyczna!

Ale zbyt mocno stąpa po ziemi, nie uznajesprzeciwui jest chciwy.

Taksamo zresztą jak Otto.

Obajmają pieniądze i obaj je lubią, dzięki nim zresztą mogą so-85

bie pozwolić na rozmaite zachcianki.

Otto bywa niesympatyczny i właściwie nie wiem, dlaczego się z nim przyjaźnię.

Możewspólne wspomnienia?

Lata studiów, miłości.

On nie pozwala sobie na miłostki, inspektorze szczerze zaśmiał się Hamaren.

Szkoda mu na nie czasu.

Chciałby bogato się ożenić, a gdyby koniecznie pragnął kobiecego ciepła, cóż, stać go na wytworne namiastki.

Jest więc cynikiem?

Są przyjemności, które przedkłada nad uczucia.

Dobry garnitur, kawa w modnym lokalu, wyścigi.

Choć grarozsądnie.

Nigdy nie straciłby więcej niż dziesięć marek.

O obu pastorach Norweg nie mógł powiedzieć niczego prócz jednego: byli typowymi pastorami.

Starszy z manią wyższości i apodyktyczny, młodszy zaś pełen kompleksów, znajdujący się pod absolutną dominacją pierwszego, bardzo lubiący kobiety, w szczególności Elzę, która ośmieszając, równocześnie prowokowała go niemal wyzywająco.

Sigmund trochę Hamarena śmieszył, trochę irytował;

nie mógłby zabić fotografa, bo wszystkie jego myśli krążyły wokół Eleonory, którą on, Lars Hamaren, widziałby jako modelkę malowaną przez twórców oleodruków.

Tak widocznie kończą dandysi, którzy w głębi serca nie są dandysami.

Poza tym Sigmund był nadmiernie szczery, parę razy opowiadał o jakichś swoich prywatnych sprawach, które nikogo nie obchodziły, i nie zawsze odnajdywał się w roli wesolego, nonszalanckiego młodzieńca.

Gertruda Dangel.

zaczął charakterystykę następnej postaci.

Z pewnością nie warto poświęcać jej wiele czasu przerwał Ignaz z przekąsem.

Ależ nie, przeciwnie zaperzył się Norweg.

Braunnie śmiało zaproponował:

Przecież chce zostać diakonisą.

Owszem, ale każdy może pozwolić sobie na jakąś fanaberię.

Ekstrawagancja jest w modzie.

Dziś chce, jutro może niekoniecznie, w każdym razie Gertruda jest inteligentna.

Oczytana, choć nad wyborem jej lektur można by

86

dyskutować.

Niemniej zna Carpanellego i Prousta, ma doskonały słuch muzyczny.

Wie pan, ona pochwaliła moją muzykę, zanuciłem jej parę taktów "Ducha Północy".

Zna filozofię współczesną, wprawdzie nienawidzi Hegla i Nietschego, ale ich czytała.

I gdyby rozpuścić jej włosy, założyć jakąś kameę.

Czy nie zahacza pan o perwersję?

Perwersję?

wykrzyknął Hamaren.

I chyba lubi pan brunetki.

Pani Schreder, panna Dangel.

Ale do perwersji jeszcze stąd daleko!

Ja po prostu jestem artystą, może pan zauważył, inspektorze?

Moja wyobraźnia sięga głębiej niż wyobraźnia policjanta, bez urazy.

Być może.

Zaiste, musi ona być wielka.

Ignaz właśnie wyobraził sobie, jak Norweg określiłby jego Bernadetę, i wolał dłużej o tym nie myśleć.

Unikałem emocjonalnego stosunku do przesłuchiwanego.

Pozostaje mi zadać panu jakże znaczące pytanie, które zapewne spodziewał się pan usłyszeć.

Co robiłem po wyjściu od pani Wilfridy?

Hamaren smutno pokiwał głową.

Otóż to.

Rozczaruję pana, nic szczególnego.

Poszedłem ze Schrederami w kierunku hotelu, po drodze omawiając szczegóły dotyczące portretu.

Wypiłem jeszcze kieliszek koniaku u Ottona.

Meinhardowie byli już na miejscu?

Oczywiście.

Gottlieb usłyszał, że otwieram drzwi mojego pokoju, i sam poprosił mnie do nich, mieszkamypo sąsiedzku.

Otton brał toaletę i po kwadransie dołączył do nas.

Zabawiłem u nich jakiś kwadrans, ale rozmowa niekleiła się, chyba wszyscy byliśmy znużeni tym wieczorem.

Przed północą zasnąłem jak niewinne dziecko.

I nie śnił pan o żadnej brunetce?

-zdziwił się Ignaz, ale było to zdziwienie niemal przyjazne.

Dwaj mężczyźni powoli schodzili z karraryjskich wzgórz.

Nad nimi leciutko zaczynał różowić się zachód słońca.

Gdy 87.

by nie rozłąka z żoną i okoliczności, które zmuszały go do wędrowania po obrzeżach miasta, Braun mógłby uznać, że jest szczęśliwy.

I właściwie był.

W czasach gwałtownego rozwoju kolei żelaznej żadne odległości nie wydawały się zbyt wielkie.

Właśnie, czasy rozwoju.

W każdej dziedzinie.

Jedynie człowiek zdawał się pozostawać niezmienny.

Jego namiętności, nadziei i skłonności do zbrodni.

Miasto, leniwe i pogodne, czekało na gościa z Berlina.

DOŁKI WPOLICZKACH

Panna Eleonora Gephard siedziała przyrobótce.

Jej okrągła twarz wyrażała pogodne oczekiwanie.

Naprzeciwko siedziało dwóch mężczyzn.

Jeden z nich, dochodzący lat czterdziestu, z lekkim uśmiechem brał do rąk filiżankę z gorącą czekoladą, natomiast drugi siedział z łakomym wzrokiem wlepionym w pulchne, choć ręczne paluszki panny, zajęte powstającą lizeską.

Znaczące chrząknięcie Brauna wyrwało z zachwytu posterunkowego Bochentina.

Tak, panie inspektorze, już się gampokajet.

Czekolada panom smakuje?

zainteresowała się Eleonora.

Ostatnio dostawy nie są pierwszego gatunku, podobno winna jest okropna susza w naszych koloniach.

Kameruńska jest najlepsza.

Ta czekolada pochodzi chyba właśnie z Kamerunu, jest wyborna. Ignaz potrzymał w ustach nieco płynu i wyraźnie rozkoszował się jego smakiem.

Posterunkowy pomyślał, że czekolada jak czekolada, nie ma wielkiej różnicy, on z kolei słyszał zawsze, że południowoamerykańska jest najlepsza.

Dla niego były to zresztą dywagacje czysto teoretyczne, ponieważ najbardziej lubił piwo.

89.

Wszystko zależy od nasłonecznienia stoku, na którym rośnie kakaowiec, taka jest prawda.

Jeśli słońce świeci przez większą część dnia, ale nie jest zbyt rażąco, możemy być pewni, że ziarno będzie wysmienite zawyrokowała panna Gephard.

Skąd u pani taka wiedza?

zdziwił się Ignaz, a posterunkowy chętnie dołączył swoje zdezorientowane, choć niezwykle przyjazne spojrzenie.

Myślał pan, że dobrzewychowana panienska zna sietylko na szydełkowaniu i przygotowywaniu sufletu, prawda?

Mój stryj jest przedsiębiorcą.

Handluje z naszymi afrykańskimi dominiami.

Nie widuję go zbyt często, ale gdy już przyjeżdża, całymi dniami opowiada o tamtejszej roślinności, o klimacie, o Murzynach.

Murzynach?

głos Bochentina wyrażał zgorszenie.

Posterunkowy, proszę pozwolić panie Gephard kontynuować.

Przepraszam.

Nie szkodzi wesoło odparła Eleonora, a dołki w jej policzkach stały się wyraźniej sze.

Nie kontynuowała jednak.

Przyglądała się szybko obu policjantom.

Ignaz tymczasem zdążył zauważyć, że wystrój pokoju wzbogacony jest o afrykańskie pamiątki.

W najciemniejszych kątach czerniły się dwie niewielkich rozmiarów maski z drzewa hebanowego.

Figurka przedstawiająca półnagą dziewczynkę z dzbanem wody osobliwie zdobiła serwantkę wyłożoną kryształami i porcelanowymi talerzykami.

Pejzażyk na ścianie obrazował bezkresne przestrzenie sawanny, ciemnożółte i pozbawione zielonej roślinności.

Podoba się panom salonik?

zapytała Eleonora, nie podejrzewając nawet, że mogłoby być inaczej.

W istocie.

Atam, na fotografii nad kredensikiem, czy to stryj panienki?

Stryj, jakżeby inaczej!

Wąsaty mężczyzna w średnim wieku, odziany w jasną marynarkę i także spodnie z wysoko podniesionymi nogami,

trzymał jedną nogę na głowie bawołu.

Przedłużeniem dłoni mężczyzny była długa strzelba.

Biedny wujek Pratz.

zamyśliła się Eleonora.

Słucham?

zdziwił się Ignaz, jakby przybył do panny Gephard po poradę w zakresie robótek ręcznych.

Biedny!

Bardzo lubił tę fotografię.

Wujek?

Theodor Pratz był tutaj?

U panny?

Oczywiście, nie raz!

)

Jako dziecko często oddawana byłam pod jego opiekę, był dalekim krewnym mojej matki.

Uwielbiałam atmosferę pracowni fotograficznej.

Nazywałam go wujkiem, a taki przywilej był w Wejherowie czymś wyjątkowym.

Bochentin pracowicie zapisywał w kajecie słowa Eleonory.

Ignaz jeszcze bardziej się ożywił i nachylił w stronę gospodyni.

Kiedy ostatni raz był u pani?

Z pewnością w ciągu ostatniego tygodnia przedśmiercią.

Jakie było jego zachowanie?

Czy dostrzegła pani coś szczególnego?

O, teraz przypomniało mi się.

W niedzielę po południu, kiedy wróciłam od Elzy, wie pan, takie kobiece pogaduszki Eleonora zrobiła bardzo tajemniczą minę, a potem spuściła skromnie oczy wujek przyszedł, żeby trochę pogawędzić.

Zdarzały musi niezapowiedziane wizyty, zwłaszcza w niedzielę.

W niedziele oczywiście nie pracował?

Wujek był wprawdzie dość religijny, nie wykonywał w taki dzień żadnych codziennych prac w domu, ale przecież w niedzielę często odbywają się uroczystości rodzinne.

Ludzie pragną posiadać pamiątkowe zdjęcia.

Posterunkowy poczuł się w obowiązku, aby mruknąć:

Chrzcziny, jubileusze, zjazdy bractwa kurkowego, no panie inspektorze.

Dziękuję, posterunkowy, macie absolutną trafność.

A zatem, panienko, Theodor Pratz odwiedził panią.

91.

Tak.

Wujek mimo zamówień miał jednak niedzielami więcej czasu, nie pracował w ciemni, nie oprawiał zdjęć w ramy, nie złocił obwódek przy kalotypach, rozumie pan.

Bez dwóch zdań.

I...

I nic.

Zachowywał się tak, jak zawsze.

Był uśmiechnięty, trochę opowiadał o fotografiach, które ostatnio wykonał, zjadł parę kruchych ciasteczek, bardzo je lubił.

O jakich fotografiach wspominał?

Zapamiętałam jego słowa, bo zamówienia dotyczyły samych ważnych w mieście osób.

Zacznę od dwóch pastorów, ponieważ pan inspektor ich zna.

"Classowie!

" pomyślał Ignaz i wyobraził sobie, jak na skutek uciążliwego pozwania postanowili przy nadarzającej się okazji zabić Pratzę.

Panowie Class zlecili wujkowi zrobienie fotografii, na której byliby razem.

Nie są próżni, o nie, ale konsystorż wydaje wielki album pamiątkowy poświęcony wszystkim parafiom naszej diecezji.

Pan jest oczywiście ewangelikiem, inspektorze?

Dlaczego pani pyta?

Bo ewangeliccy pastory są tacy nudni.

Pan mógłby być katolickim księdzem, ma pan taki skupiony, ale równocześnie energiczny wyraz twarzy.

Przepraszam za poufałość, mówię to oczywiście jako osoba bezstronna, a przy tym na tyle młoda, by pozwolić sobie na takie dziecinne rozmyślenia.

Panna Gephard udała zakłopotanie, ale w gruncie rzeczy była zadowolona z własnej rezolucyjności.

A następne ważne osoby z wejherowskiego świata?

Ignaz karcącym spojrzeniem powstrzymał od cynicznego uśmiechu posterunkowego Bochentina i dłonią wskazałmu kajet.

Właśnie.

Pan Ernest Winter, miejscowa sława psychiatryczna, słyszał może o nim pan inspektor?

Panienko, przepraszam, ale od zadawania pytań jestem ja, choć rozmawia się oczywiście bardzo miło, a czekolada jest wyborna.

Jakie były okoliczności zamówienia?

92

To ja przepraszam, już nie będę zachowywać się jak prowincjonalna gąska dołki w policzkach wskazywałyniezwykle, że Eleonora ani przez moment nie zachowywała się dotąd jak prowincjonalna gąska.

Pan Winter i jego żona, pani Augusta, mój Boże, ona nosi takie samo imię jak miłośnica pani, obchodzili trzydziestelecie ślubu i przyszli do zakładu, aby uczcić fotografię okoliczność.

Jakieś szczegóły?

Eleonora zamyśliła się, ale zaraz potrząsnęła jasnokasztanową głową.

Prywatnie pan Winter jest bardzo nudny i podporządkowany żonie, chociaż w szpitalu wszyscy pacjenci boją się go.

Tak mówi Trudchen, to znaczy panna Dangel, poznał ją pan.

Ma tam praktyki medyczne.

Wujek nic szczególnego nie zapamiętał.

Opowiadało tym pozowaniu, ale wiem tylko tyle, że się odbyło.

Pani Augusta była oschła dlamęża i oczywiście ona zdecydowała o pewnych szczegółach, które wujek zwyczajowo zostawia uznaniu klientów.

Pani przyjaźni się z panną Dangel?

Odpowiedź nie padła natychmiast.

Eleonora oświadczyła wreszcie, że Gertruda jest bardzo mądrą i wartościową osobą, natomiast nie

jest typem człowieka, z którym łatwo można się zaprzyjaźnić.

Skupiona, zasadnicza, chociaż w gruncie rzeczy ma takie same pragnienia, jak każda dziewczyna w jej wieku.

Z tą drobną różnicą, że chce zostać diakoniszą zauważył Ignaz.

Skomplikowana sprawa, panie inspektorze.

"Kobiety zawsze są zbyt skomplikowane" pomyślał posterunkowy i sięgnął po swoją filiżankę z czekoladą.

Nie do końca wierzę, że pragnie poświęcić się bez reszty Bogu zawahała się Eleonora, ale słowa już zostały wypowiedziane.

Dlaczego?

Bo znacznie chętniej poświęciłaby się temu, kto już poświęcił się Bogu.

Ma pani na myśli.

93.

Już i tak za dużo powiedziałam.

Skoropanizaczeła.

Georg Class.

Ale nic więcej nie powiem, zwłaszcza że pastor patrzy w inną stronę.

Ignaz pomyślał, że nie może dłużej przeciągać struny.

Wiedział, że czasami rozmówcy wyrwie się nieco więcej niż miał zamiar powiedzieć.

Potem żałuje i dalsza rozmowa nie przebiega pomyślnie.

Kto jeszcze zeznanych w mieście osób był klientem pana Pratza w ostatnim czasie?

Właśnie.

Dyrektor Miejskiej Kasy Oszczędnościowej.

Schul!

ucieszył się inspektor.

Zna go pan teraz Eleonora się ucieszyła.

Wujek powiadał również o dyrektorze Schulu.

Nie wyobrażaj pan sobie, jak długo pan Friedrich cesał się przed lustrem, jak poprawiał krawat i podkręcał wąsa!

Wujek twierdził, że już dawno nie miał tak drobiazgowego klienta.

Dyrektor sam próbował ustawiać lampy watelier, interesował się, jakiej firmy błony fotograficzne będą użyte!

Czy pan wyobraża sobie coś podobnego?

Pytanie było niefortunne, ponieważ Braun widział w swym życiu tak nieprawdopodobne rzeczy i stykał się tak oryginalnymi ludźmi, że typ dziwactwa reprezentowany przez dyrektora Schula zdawał się dziecinną igraszką.

Rozumiem, że podziwu godna pedantyczność tego klienta jest jedyną wartą zapamiętania rzeczą, jak została pani przekazana?

Niestety, tak zmartwiła się Eleonora.

Nie wiem nic, co mogłoby panu inspektorowi pomóc.

Przepraszam.

Na twarzy panny widać było rzeczywiste zatroskanie.

Czy nic podczas feralnego wieczoru nie obudziło pani podejrzeń?

zapytał posterunkowy Bochentin, który wiedział, że inspektor zaraz zadawał właśnie takie pytanie.

Jak każdy człowiek, był drobinę próżny i chciał czasami wcielić się w rolę głównego śledczego.

94

Inspektor nie wydawał się urażony.

Uśmiechnął się lekko i wymownie spojrzał na Eleonorę, zachęcając ją do odpowiedzi.

Panna Gephard utkwiała w myślnym spojrzeniu w kryształowej cukiernicy zdobionej ornamentami ze srebra, jakby chciała z niej wyczytać wiedzę konieczną do wykrycia sprawcy.

Widzi pan, ja miałam głowę zajętą czymś zupełnie innym.

Rozmowami, towarzystwem.

W jej głosie nie było śladu kokieterii.

Przed policjantami siedziała teraz smutna, zamyślona, poważna młoda kobieta.

Ignaz obdarzył ją ciepłym spojrzeniem.

Gdybym zauważyła coś, co zapobiegłoby śmierci wujka.

Mój Boże, zachowywałam się jak pensjonarka!

Przecież nie robiła pani nic złego.

Znalazła się panina wieczorze, który miał być swobodny i przyjemny.

Kto mógł przypuszczać, że jesteśmy świadkami ostatnich chwil pana Pratza?

Eleonorze było miło, że inspektor chciał ją pocieszyć.

Nic jednak nie mogła poradzić na to, że powracały uporczywie myśli o zaniechaniu.

Na pytanie, skąd wzięło się przypuszczenie, że właśnie podczas ostatniego wieczoru mogliśmy

zapobiec, nie potrafiła odpowiedzieć.

Miała przeczucie.

Powtórzę za posterunkowym: może jednak zdołapani coś sobie przypomnieć?

Przecież takie przeczucie nie bierze się wyłącznie z kobiecej intuicji.

A jeśli właśnie tak jest?

odparła zdeorientowana Eleonora.

Nie uwierzę.

Zbyt często miałem do czynienia z sytuacjami, gdyz pokładów myśli nagle wyszło nawierzchni coś, co pozwalało skierować śledztwo na zupełnie nowe tory.

Widzi pan, inspektorze, po powrocie do domu miałam wrażenie, że każdy z gości zachowywał się w sposób dziwny.

Nie rozumiem.

Elza była nienaturalnie pobudzona.

Przecież dobrze ją znam.

Śmiała się za głośno, głośniejsz niż ma w zwyczaju.

Pastor Class był jeszcze bardziej nadęty i kłótlivy niż za 95.

zwyczaj, jego syn zupełnie ostentacyjnie zalecał się do Elzy, a Trudchen uroniła parę łez w kącie.

Przecież na ogół jest taka opanowana!

Sigmund natomiast.

wtrącił Ignaz z delikatnym uśmiechem.

Sigmund von Mach przeszedł samego siebie dołki w policzkach dziewczyny znowu nabrały wyrazistości zachowywał się jak małpka w zoo.

Stroił do mnie jakieś miny, bez końca poprawiał krawat, właściwie gdybym nie dała mu odczuć, że jestem niezainteresowana jego towarzystwem, zupełnie zaniedbałby rozmowy z pozostałymi gośćmi.

I pani oczywiście przeszkadza zachowanie Sigmunda?

Eleonora uśmiechnęła się leciutko.

Tego nie powiedziałam.

Na twarzy posterunkowego Bochentina już miało się odmalować zdziwienie, ale przypomniał sobie, że jego siostra, gdy zaczął do niej przychodzić w konkury późniejszymąż, zachowywała się kubek w kubek tak samo.

Albo tacy na przykład Schrederowie.

Wielki miadwokat, który bardziej niż wypadadba o świeże kołnierzyki i garnitur.

Widziałam go przedtem trzy razy.

Ze spotkaniama spotkanie jest z nim coraz gorzej, to takie niemęskie.

Widział pan, jak oglądał swoje buty i ciągle sprawdzał, czy mankiety koszuli wystają na odpowiednią długość?

Jego żona natomiast zapatrzona była w tego ponurego Norwega.

Z tym można prędzej rozmawiać o połowie łososia niż o sztuce, taki jest nieokrzesany i grubiański.

Paschinski również zachowywał się dziwnie?

Wejherowski doktor w ogóle się nie zachowywał i faktem dla Eleonory był pocieszający.

Nie miała do milczącego mężczyzny żadnych zastrzeżeń, ale też nie zamierzała poświęcać mu więcej uwagi, niż wymagała tego zdawkowa odpowiedź na pytanie Brauna.

Meinhardowie?

Niech pan inspektor wybaczy, ale nigdy wcześniej nie miałam sposobności rozmowy z nimi.

Nie było więc niczego, co zdziwiłoby mnie u nich.

Chociaż.

96

Tak?

Ignaz wszedł panie w słowo.

Zdawało mi się, że stanowią bardzo zgraną parę, która wcześniej zaplanowała sobie, jakiewrażenie zrobić na zebranych.

Czy pani słyszy samą siebie?

Ja oczywiście chciwiewysłucham tego spostrzeżenia, ale musi być przemyślane.

Wahanie na twarzy dziewczyny sprawiło, że Braunna moment pożałował swoich słów.

JednakEleonora kontynuowała.

Widzi pan, stryj i bratanek w odpowiednim przedziale czasu podchodzili do rozmaitych osób, przechwytywali rozmówców, wchodzili sobie w słowo tak, żeby potwierdzić opinie wyrażane przez siebie nawzajem.

Po co takie zabiegi?

Ignaz był nieco rozczarowany.

Popatrzył na pannę z pewną dozą wyrozumiałości, właściwą człowiekowi, któremu dane było uczestniczyć w niejednym spotkaniu, gdzie brylowały zwierzęta salonowe rozmaitych gatunków.

Panienko, proszę nie zapominać, że ludzie tej profesji cały czas znajdują się w pracy.

Co ma pan na myśli?

Nic szczególnego, jedynie tyle, że sposób zachowania osób niektórych profesji może wydawać się postronny obserwatorom nieconietypowy.

Niech pani nie zapomina, że stryj i bratanek reprezentują wolny zawód.

Nie mają, jak urzędnicy państwowi, określonych godzin pracy, mają luksus zarabiania na utrzymanie wtedy, kiedy jest im to potrzebne.

Taki stan rzeczy powoduje jednak, że wykształcił się w nich odruch "łowienia" klientów również wtedy, gdy niewymaga tego sytuacja.

Stąd zapewne pani spostrzeżenie.

Dołki w policzkach panny Eleonory wydatniły się, a w oczach pojawił się figlarny błysk.

Odczekała chwilę, a potem zapytała:

Czy słowo pana inspektora oznaczają, że i on pod czas tamtego wieczoru baczenie obserwował zebranych?

Dlaczego w takim razie nie zauważył pańniczego podejrzanego?

Na tak postawione pytanie nie istniała odpowiedź, choć Braun nie lubił pytań bez odpowiedzi.

Widzi panienska, nic w zyciu nie jest takie proste.

Dla młodziutkiej osoby, która dopiero wkracza w dorosłość, niemal wszystkie zagadki mają swoje rozwiązanie.

Pozornie.

Gdyby było tak, jak pani mówi, nie istniałaby policja kryminalna, wystarczyliby oddelegowani, na przykład przez ministerstwo sprawiedliwości, cywilni urzędnicy, którzy mieliby pod swoją opieką, załóżmy, do dwóch tysięcy osób na miejscu, w ciągu godziny, wykrywaliby sprawcę.

Tyleż musieli być w wielu miejscach równocześnie, i to tam, gdzie dochodzi do zbrodni.

A ja nie wiedziałem, że dojdzie do tragedii.

Cóż, każdy może zauważyć szczęśliwym trafem coś szczególnego, do tego nie trzeba być policjantem.

Pan inspektor i tak wykryje sprawcę w trącił posterunkowy Bochentin takim tonem, jakby zdradzał Eleonor z tajemnicę.

Ignaz z wrodzoną sobie skromnością potwierdził skinieniem głowy, uznając, że pokazywanie osobie postronnej braku wiedzy co do osoby mordercy nie może przeciągać się w nieskończoność.

A teraz zadam pani jeszcze jedno pytanie.

Proszę się namyślić.

Komu gości, według pani, mogło zależeć na śmierci Theodora Pracza?

Naprawdę sądzi pan.

zdumienie dziewczyny byłowielkie.

Czuła, że wszystkie dotychczasowe pytania zmierzają do tego ostatniego, ale kiedy je usłyszała, dopiero do niej dotarło, że według Brauna wśród gości pani Wilfridy mógł się znajdować morderca.

Nie wierzę.

Niewierzę, że ktokolwiek z nich mógł zabić wujka.

A czy resztę gości zna pani tak dobrze, jak Elżę i jej ciocię?

No? zadał całkiem zasadne pytanie posterunkowy.

Elzawiedziała, że Bochentin miał rację.

Zaczęła po kolei analizować postaci, które przewinęły się przez salon pani Neiss.

Nic nie wiedziała o Meinhardach, sama zwróciła inspektorowi uwagę na ich dziwne zachowanie.

98

Pastorów znała od dziecka, ale kto wie, co może zalegnąć się w duszy takich oryginałów?

Poza tym znali Theodora Pratza od dawna, może w grę wchodziły jakieś zatargi, o których nie miała pojęcia?

Do Schrederów nie miała zaufania, odstręczał ją brakiem swojskości, zarozumiałością i dystansem do prowincji, który przebijał z każdej ich wypowiedzi.

A kim był w gruncie rzeczy ten von Mach?

Fakt, że wodził za nią oczami i był sympatyczny, niczego nie przesądzał.

Był w zasadzie obcy i wprowadzenie znała przyczyny, dla której mógłby zabić, ale w dzisiejszych czasach?

Norweg.

Tak, Norweg nadawał się na mordercę.

Szaleniec chodzący z głową w chmurach, potrafiłby być zdolny do okrucieństwa.

Czy sam nie wspomniał o jakimś Nietzschem, który głosił wyższość siły i natury nad słabością?

Na dodatek szepnął jej w pewnym momencie, że gdyby założyła czarną perukę i ciężkie okrągłe kolczyki, mógłby namalować jej akt.

Stanowczo nie był człowiekiem zrównoważonym.

Paschinski jest skryty, milczy i milczy, tacy nadają się do roli morderców.

Ich skromność kryje z pewnością burzę emocji.

Nienaturalnie ukrywane, potrafią nagle wybuchnąć z siłą, jakiej nie mógłby przewidzieć nawet sam zainteresowany.

Gertrudę oczywiście wykluczam zakończyła z mocą.

Dlaczego?

obruszył się inspektor.

Z taką wnikliwością podsumowała pani wszystkich, dlaczegoż by wobec niej stosować taryfę ulgową?

Pan żartuje odparła Eleonora w sposób tak przekonujący, że Ignaz niekontynuował.

Po zakończeniu przesłuchania obaj policjanci stali przez chwilę na Rynku, nieopodal komisariatu.

Obok nich przejechał na rowerze listonosz z torbą wypełnioną jakimiś pakietami.

Czy nie uważacie, posterunkowy, że po paru rozmowach wiemy na temat motywu dokładnie tyle, co na przykład ten listonosz?

Bochentin zapalił papierosa, rzucił okiem w stronę oddalającego się urzędnika cesarskiej poczty, splunął i zauważył:

Panie komisarzu, listonosze należą do najlepiej poinformowanych.

Ale żaden z nich nie nazywa się Braun pocieszył się Ignaz.

NARADA W SZCZEGÓLNYCH OKOLICZNOŚCIACH:

Gabinet komisarza Renscha niewiele zmienił się od

czasu, kiedy Ignaz bywał w nim przed paru laty.

Tesame solidne dębowe meble, to samo olbrzymie biurko z rzeźbionymi bokami i nogami, ten samostry zapach cygar, którego nie mogło wywabić systematyczne wietrzenie, jakie zarządzał Heinz, gdy tylko jego pryncypał wychodził w teren.

Z kolei cesarz spoglądał na odwiedzających komisarza z tą samą dobrotliwą troską.

Jakże zresztą mogłoby być inaczej?

Pozornie żadnego motywu.

Tak!

Zadziwiająca!

Może jeszcze koniaczku, drogi inspektorze?

A wie pan, chętnie.

W takich okolicznościach.

Otóż to!

Koniaczek nie tylko poprawia krążenie krwi, rozwesela człowieka, ale jeszcze rozjaśnia umysł.

Mój umysł wydaje się rozleniwiony, komisarzu Braun zdawał się szczerze niepokieszony.

A tak chciałem, aby Berlin przekazał sprawę moje ręce, z marszu, wbrew dotychczasowym praktykom.

Umysł Renscha był już pod kojącym wpływem rozgrzewającej mikstury.

Daj pan spokój, kochany inspektorze!

Przecież byle

komu nie powierzyliby tej sprawy.

Wystarczył jeden telegram do nadkomisarza von Marburga!

Ale w Berlinie czeka żona, a ja pomyślałem sobie politowania godną zarozumiałością, że w jeden, dwa dni poradzę sobie z mordercą.

Tymczasem sprawa stoi w miejscu.

Gdzie jest ten motyw?

Siedzi przede mną pogromca Dietricha z Hildesheim, wolne żarty!

Jego sprawstwo wyszło na jaw po szesnastu dniach od panprzyjazdu, jeśli mnie pamięć nie myli.

Tak, szesnaście dni.

I co?

Ipiana sława wzrosła niepomierne!

Do gabinetu wszedł, poproszony uprzednio, posterunkowy Bochentin.

Położył przed komisarzem kilkanaście spiętych kartek, zawierających podsumowanie dotychczasowych przesłuchań.

Spojrzał badawczo na obu oficerów i widząc zachmurzoną twarz Brauna, postanowił go pocieszyć.

Panie inspektorze, będzie dobrze.

Rensch chciał zgromić podwładnego za samowolne zabranie głosu, ale Ignaz uśmiechnął się do posterunkowego.

Dziękuję wam, Bochentin, wszyscy tutaj wierzą w moje zdolności.

Pamiętam jednak, że przy sprawie Wendersa od początku kiełkowało w moim umyśle przypuszczenie.

Ono ułatwiło mi pracę.

Dwa kieliszki napęłniły się złocistym płynem.

A wie pan, kochany inspektorze, ców takich okolicznościach, jak te dzisiejsze, robił mój świętej pamięci poprzednik, komisarz Arendt?

Nie wiem nic na temat komisarza Arendta ożywił się Ignaz.

Chodził na cmentarz itam szukał motywówzwał się posterunkowy, korzystając z tego, że Rensch nie kazałmu się dotąd odmeldować.

Właśnie!

następca komisarza Arendta zaciągnął się potężnym haustem dymu z cygara, wbrew zwyczajompanującym wśród ortodoksyjnych palaczy.

102

Na cmentarzu?

zdziwił się Ignaz, ale zaraz sięgnął po swój zegarek, otworzył go i zamyślił się.

Późno, w istocie, już dwudziesta pierwszatrzydzieści, ale przecież mamy lato, a on, komisarz, gotów jesttowarzyszyć inspektorowi w tak osobliwym miejscu.

Jeśli tyłkospacerpo cmentarzu mapoprawić nastrój gościowi z Berlina?

Może Braun dozna tam jakiegoś olśnienia.

Nie żebyaura cmentarza, ale jako placebo każdy sposób jestdobry, nawetkiedy inspektor wie, że to tylko placebo.

Nieco zaplątana argumentacjakomisarza była niepotrzebna.

Ignazowi spodobała się myśl o udaniu się na cmentarz.

Proponuję cmentarzewangelicki.

Nie mam specjalnej ochoty spacerować pośród umarłych katolików, jeszczeby mnie zaczęli straszyć.

Tak, wie pan, zdarzało mi się w prywatnych rozmowach niepochlebnie wyrażać niektórychznich.

Ale pan sam, kochany inspektorze, jest katolikiem, stukrotnie przepraszam!

"Posterunkowyteż jestkatolikiem" zbuntował się w myślach Bochentin, ale zachował pełne godności milczenie.

Nie szkodzi, komisarzu, w Berlinie nie takie rzeczysłyszałem od kolegówluteran odparłIgnaz i zwyrozumiałością skłonił się Renschowi.

Spacer na cmentarz ewangelicki nie trwał długo.

Jak mówili mieszkańcy miasta, tutaj wszędzie było blisko.

Wystarczyło wyjść z Rynku i ulicą Lęborską kierować się w stronę Zakładu dla Obłąkanych.

Ignaz nie raz, podczas prowadzenia sprawy Wendersa, chodził tą drogą.

Kiedy dwaj policjanci opuszczali komisariat, słońce z wolna zaczynało chować się za zabudowaniami, umykając w stronę Bolszewai dalej Lęborka.

Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej rdzawe.

Ni stąd, ni zowąd przecięły je pierwsze tego dnia fioletowe, ostre pasma chmur.

Od północy powiał chłodny wiatr.

Przechodnie, których mijali policjanci, ze zdziwieniami obawą spoglądali w niebo, pragnąc się upewnić, czy aby postąpili właściwie, nie zabierając z domu parasoli.

Rze-

czywiście, wkrótce słońce całkowicie ukryło się za ciemnymi obłokami, a leniwy późnowiosenny wieczór zmienił się nie do poznania w ciemny początek zbyt wczesnej nocy.

Policjanciz pewną wyższością obserwowali mijanych ludzi załamanych perspektywą załamania pogody.

Funkcjonariuszom cesarskiej policji nigdzie się nie spieszyło, byli w pracy.

Rensch szepnął Heinzowi, aby po wyjściu z komisariatu wstąpił do pani Katarzyny i powiedział żonie komisarza, że jego późniejszy powrót do domu podyktowany będzie wyższą koniecznością wagi państwowej.

Ogrodzony cmentarz murowany, solidny policjanci przekroczyli w odmiennych nastrojach.

Komisarz Rensch znajdował się pod wpływem kilku koniacków, co sprawiało, że ucałował sobie kupiec z jakiejś operetki, której Ignaz nie potrafił zidentyfikować.

Sam Braun czuł, że wkracza na teren święty, zarezerwowany głównie dla zmarłych, a niecodzienna pora tylko podkreślała uroczysty nastrój, w jakim się znalazł.

Wleknął się na cmentarz, jego myśli koncentrowały się na tym, co znajdowało się kilka metrów pod ziemią.

Tymczasem jego towarzysz od początku zwrócił uwagę na nagrobki.

Niech pan spojrzy, inspektorze, tam dalej, nieco w prawo znajduje się miejsce spoczynku młodego Wendersa.

Jeszcze kilkanaście metrów i oto mężczyźni znaleźli się przed granitową tablicą.

Mimo zapadającego mroku Ignaz dołał odczytać napis.

Tu spoczywa Johann Wenders
Nadzieja ziemskiej Ojczyzny
I radość chórów niebieskich.

1883-1901

Żadnego kontekstu sprawy zauważył Braun.

Żadnego wyjaśnienia.

Może dobrze się stało, że tak to właśnie wygląda?

Pewnie, że dobrze ochoczo przytaknął Rensch.

Bo co nibymiała napisać tanieszczęsnakobieta?

Żeza104

mordowany przez szalonego ojca?

Albo że chadzał na kalwarię w towarzystwie niewinnych panienek, którym zatruwał umysły?

I czym właściwie zatruwał?

Przecież tego niktnie wie!

Tak.

Najlepsze rozwiązanie.

A jego ojciec?

nieśmiałe pytanie należałodogatunku tych,które komisarz potrafił przewidzieć.

Kochany panie inspektorze, nie opowiadałem panu,w istocie!

Pani Irmgardapo kilku dniach namysłu zdecydowała o wystawieniu małej tabliczki z imieniem i nazwiskiem.

Superintendent odprawił skromne modły tutaj, nacmentarzu.

Obecnych było kilka osób, wdowapłakała rzewnymi łzami i gdyby nie pokojówka, ta jej Kornelia, z pewnością upadłaby na ziemię ze dwa, trzy razy.

Ale następnego dnia już chodziła po mieście, na początkuze skromniespuszczonymi oczami.

Tak.

Wyglądała prawie niewinnie,ale z dnia na dzieńodzyskiwaładawny blask.

W gruncierzeczy,bardzo piękna kobieta.

Czy pan zwrócił uwagę na jej piersi?

Ignaz nieśmiało zauważył, żeznajdują się na cmentarzu, w dodatku nad grobem syna pani Irmgardy.

Renschpokornieskiął głową, ale zaraz podniósł wzrok w nieokreśloną dal, jakby miał nadzieję, żeukaże mu się wdowa poJohannesie, zmysłowokołyszającychszerokimi biodrami iwydatnym biustem.

Tymczasem słońce całkowicie skryło sięgdzieś daleko,anad policjantami świecił

nadspodziewaniejasno księżyc,który jeszcze kilka dni wcześniej ukazywał się

spóźnionymprzechodniom w całejkrasie okrągłej tarczy.

Chmury niesprowadziły deszczu, snuły się jeszcze gdzieśgdzie, alenie miałyzamiaru przeszkadzać gwiazdom, coraz wyraźniej błyszczącym na granatowymtle spokojnego nieba.

Zrobiłsię piękny wieczór.

Komisarz Arendt lubił takie spacerysty, kilka razy zabierał mnie nacmentarz, a ja, młodypodkomisarz, poczytywałem sobie za zaszczyt możliwośćuczestniczenia w tych eskapadach.

I rzeczywiście zdarzało mu się wtedy znajdowaćrozwiązanie kryminalnych tajemnic?

105.

- Oczywiście!

Tak, oryginał był ze starego Arendta, bez dwóch zdań.

Stawał sobie nad jakimś grobem, nieruchomiał, myślał i myślał, bywało, że i przez kwadrans, potem nagle ruszał jak oparzony do następnego nagrobka, wreszcie zadzierał wielką, siwą głowę w niebo, jakby dopraszał się jakiejś podpowiedzi.

I wracał znowu w poprzednie miejsce, czytał daty, a człowiek biegał za nimi nie mógł wypowiedzieć ani słowa, inaczej komisarz robił się bardzo nerwowy.

- I pewnie następnego dnia dawałby panu odczuć swoje niezadowolenie?

- No właśnie odparł Rensch.

Czy nigdy nie zdradził, na czym polegał fenomen jego odkryć?

Przecież byłoby szalenie interesujące poznać szczegóły tak twórczej metody.

Niestety, komisarz bezradnie rozłożył ręce.

Wprawdzie wypadało, żeby Arendt wyjawiał tajemnicę swojego umysłu, w końcu przez niego biedny podkomisarz, pomijając zaszczytne wyróżnienie, musiał zarywać noce, które wolałby spędzać ze swoją świeżo poślubioną Katarzyną (jak wszystko się zmienia!

), ale przełożony to jednak przełożony, niczego nie musi.

- W takim razie nienaśladujmy pańskiego poprzednika i pospacerujmy sobie bez celu.

Wieczór jest ciepły i przyjemny, a odrobina świeżego powietrza po całodziennej pracy w zadymionych pomieszczeniach kojąco wpłynęła na nasz system nerwowy.

- Zwłaszcza że zadbałem o pewien szczegół, dzięki któremu spacer będzie jeszcze przyjemniejszy.

Tak, nocnych łód nie za bardzo da nam się we znaki podkreślił Riidiger Rensch, wyjmując z kieszeni marynarki niewielką piersiówkę.

Ignaz nie skorzystał z propozycji.

Mimo nieustannego kontaktu z nieboszczykami miał jakiś zabobonny lęk przed przekraczaniem granic świata żywych i umarłych.

Nie potrafiłby przechylić buteleczki na cmentarzu.

-- Tak więc mamy tutaj elitę wejherowskiej społeczności powiedział komisarz, kiedy już do połowy opróżnił

106

piersiówkę.

Burmistrzowie, członkowie rady miejskiej, lekarze.

I policjanci wstrząsnął się przez moment.

Tylko Keyserlingów tu nie ma.

Hrabiowie i ich rodzina to jednak coś więcej niż elita

zauważył Rensch.

A gdzie będzie pochowany nieszczęsny Pratz?

Theodor Pratz był ewangelikiem i było oczywiste, że tutaj znajdzie miejsce spoczynku.

Rensch wspomniał też, że pogrzeb odbędzie się następnego dnia.

Nad cmentarzem powiał chłodny wiatr, który pochylił się na koniec do samej ziemi.

Przez plecy policjantów przeszedł dreszcz.

Liście platanów, olch i brzoza zaszeleściły, jakby tchnięto w nie życie.

Do licha, zaraz huknie puszczyk.

Tak.

A nietoperz wplaczą się nam we włosy.

Przecież ma pan na głowie kapelusz, komisarzu

uśmiechnął się Braun.

A jak tak nietoperz zerwie kapelusz?

Rensch nieco się rozluźnił.

Wie pan, chyba zaczynam dostrzegać przyczynę, dla której komisarz Arendt czerpał

natchnienie z cmentarnych spacerów.

Nierozumiem, tak.

Nie rozumiem!

Pobyt na cmentarzu wyostrza człowiekowi, w tym przypadku policjantowi, zmysły.

Na przykład ja słyszę teraz rozmaite dźwięki artykułowane przez florę i faunę, których w zgiełku dnia nie potrafiłbym wychwycić.

Przez analogię, myśli sięgające najgłębszych pokładów umysłu dopiero teraz, że użyję zbyt grubiańskiego i dwuznacznego na cmentarzu określenia, wychodzą na wierzch.

Policjanci przystanęli nad grobem kupca Hohschulza, od którego starostwo kupiło budynek będący obecnie siedzibą urzędu.

Bardzo szanowany obywatel.

A jakie ma córki!

Zdrowe nadpodziw i fantastycznie zbudowane.

Ale, ale, czyżby pana myśli, kochany inspektorze, zaczynały krążyć wokół fotografa?

A ściślej wokół zabójcy?

107.

Usiłują, komisarzu Ignaz rozłożył ręce.

Ale owszem, spróbujmy przeanalizować sytuację.

Oczywiście, tak!

w RudigeraRenscha niespodziewanie wstąpił animusz.

Oficer wejherowskiej policji postanowił uczcić ten fakt łykiem z piersiówki.

Inspektor zaczął.

Oto zamordowany zostaje solidny rzemieślnik, a raczej artysta.

Niema świadków zabójstwa.

Można przyjąć, że ofiara nie spodziewała się napadu.

Wiadomo, że przed śmiercią Theodor Pratz wskazał jako sprawcę kogoś, kto był na spotkaniu u pani Neiss.

Można zaufać zdaniu osoby w taki sposób umierającej?

- myśli komisarza stały się jasne, a umysł krytyczny.

Dlaczego nie?

Było ciemno, wszystko stało się w ciągu kilku sekund Rensch bawił się wadwokata diabła, niechcący deprecjonując cały dotychczasowy sposób prowadzenia śledztwa.

W istocie zgodził się Braun.

W pana rozumowaniu jest jednak luka.

Mianowicie?

komisarz poruszył wąsem.

Nie pojmował, jak można było skrytykować tak logiczne przypuszczenie.

Pratz był fotografem.

Miał pamięć do twarzy, w ogóle do obrazów.

Czy nie sądzi pan zresztą, że ktoś, kto przez kilka godzin dziennie pracował w ciemni, wykształcił w

sobie umiejętności widzenia w ciemnościach?

Jakhrabia Monte Christo.

szepnął Rensch.

Właśnie.

Czy zatem zgodzi się pan ze mną, że jesteśmy jednak nieco bliżej zabójcy niż wtedy, kiedy przyjeLIBYŚMY pański punkt widzenia?

Biedny komisarz pomyślał, że nie na darmo to Ignaz Braun pracuje w berlińskim Wydziale IV, a nie on sam.

Taki mocny argument, a ten człowiek, który mógłby być jego synem, przytacza kontrargument, na który Riidiger Rensch, szef wejherowskiej policji, nie może pozostać głuchy.

Komisarz bardzo jednak lubił Ignaza i nie miał mu za złe bystrości.

Tak więc ktoś zgości?

Przewodnik po cmentarnych alejkach, żartując, od razu wykluczył sprawstwo inspektora.

Braun skłonił głowę i odparł, że jest nieopisanie wdzięczny.

Kiedy

108

znaleźli się przed okazałym granitowym nagrobkiem notariusza Grolpa, po chwili milczenia komisarz kontynuował.

Otóż, jak na mój gust, podejrzanych może być kilku.

Obaj mężczyźni usłyszeli pohukiwanie puszczyka.

Mimo że niejedno w życiu widzieli, spojrzeli na siebie w milczeniu, a ich twarze były poważne.

Nawet w ciemnościach dostrzegli u siebie nawzajem przejęcie.

Oto puszczyk, herold zbrodni i śmiertelny omen. Oznajmia pielgrzymowi, że nadeszła chwila.

Skąd pan to wziął, inspektorze?

Szekspir.

Miał dar.

Może.

A więc puszczyk zasygnalizował nam, że podążamy właściwym tropem?

Staram się zawsze myśleć racjonalnie, ale.

Proszę więc kontynuować przerwaliśmy rozmowę Ignaz i wytyczył słuch w oczekiwaniu na kolejne pohukiwania.

Na razie jednak puszczyk zamilkł.

Właściwie niemal każdy, przynajmniej spośród mężczyzn, mógł być mordercą.

Niemal każdy z nich nosił w sobie jakiś potencjał pozwalający w określonych momentach naszałość, którego skutki mogły być opłakane.

Komisarz zaczął analizować.

Według "Podręcznika dla sędziów śledczych" Hansa Grossa psychologiczną analizą podejrzanych należy zająć się w późniejszej fazie śledztwa, po odnalezieniu motywu.

My jednak, skoro nie znamy motywu, dokonamy melanżu metod i poteoretyzujemy sobie, również w zakresie psychologii.

Dobrze zgodził się Renschi przysiadł obok Ignazana bogatorzeźbionej ławeczce.

Dla komisarza było jasne, że Norweg potrafiłby zabić.

Mogło mu się coś nie spodobać, może fotograf ofuknął go za złe ustawienie się do zdjęcia?

Inspektor nie musiał tego usłyszeć.

Kto wie, co takiemu wariatowi może przyjść do głowy?

A Sigmund von Mach?

Pomimo zachowania dandysa

jest kłębkim nerwów.

Tak mówią świadkowie.

Skrywa emocje pod maską wesołości i bez troski.

Może chciał zemścić się na Eleonorze za jej nonszalancję w stosunku do swojej osoby?

Miłość by waszalona.

Lub też młodzieńczo sądzi, że panna tylko droczy się z nim dla zasady, a w rzeczywistości jest mu życzliwa?

W takim razie liczyłby na ożenek.

Wszystkim wiadomo, że Sigmund jest w nie najlepszej sytuacji finansowej, a panna Gephart ma majątek, nienazbyt wprawdzie imponujący, ale gwarantujący bezpieczne życie rentiera.

Przy tym spadek po fotografii też się liczy.

Sigmund mógłby przy okazji zaprezentować się jako opiekun, czuły i troskliwy, osamotnionej dziewczyny, wtedy łatwiej byłoby mu zdobyć jej przywiązanie w razie, gdyby jednak nie darzyła go uczuciem.

Dobrze odparł Ignaz.

Doktor Puppe byłby zachwycony pana wywodem.

Najgorsze, że, teoretyzujemy oczywiście, może pan mieć rację, komisarzu.

Ależ ja nie chciałbym, żeby Sigmund okazał się mordercą, proszę mi wierzyć!

spiesznie zapewnił Rensch.

Dokonuję tylko daleko idących symulacji.

Proszę więc kontynuować.

But komisarza kopnął kamyk, który podskoczył na nierówności i wpadł na płytę nagrobną Hermanna Weikusata, kupca, który za życia miał skład bławatny tuż przy ratuszu.

Meinhardowieś dla mnie zagadką.

Tak.

Nie mają żadnego motywu, a niby dlaczego mielibyśmy wykluczyć ich z kręgu podejrzanych?

Są jacyś.

niepokojący i drapieżni.

Widziałem ich przelotnie, ale pierwszy kontakt się liczy.

Zresztą i pan, i Bochentin mówiliście o podobnym wrażeniu.

Byłoby jawną niesprawiedliwością w stosunku do pozostałych, gdyby pominąć stryja i bratanka zgodził się Braun.

Właśnie!

Może oni są jakimiś zapalonymi kolekcjonerami fotografii, lub też przedmiotów służących do obróbki zdjęć?

A przecież nie wiemy, czy nic nie zginęło z atelier.

Klucz jest kontrargumentem, ale dobrym wytrychem mógłby

na otworzyć każde drzwi.

Na dodatek fachowiec dokonatego na tyle delikatnie, że policja nie zorientuje się, iż jakieś obce ciało dostało się do zamka.

Riidiger Rensch zapalił się.

Oczami wyobraźni widział Gottlieba i Ottona w kajdankach, prowadzonych do pokoju hotelowego, który zajmowali.

Zeznali bowiem, że cenne przedmioty ukradzione fotografowi znajdują się pod łóżkiem młodszego z Meinhardów.

A Schrederowie?

Ignaz wyrwał komisarza z rozmarzenia.

Mieliby identyczny motyw, tyle że przez nas wymyślony.

Przecież tak naprawdę ani o nich, ani o Meinhardach nic nie wiemy.

Obie pary podejrzanych rozmawiały z Pratzem.

Ściślej: mówiły do niego, ale i on odezwał się kilka razy.

Z tego, co udało mi się wychwycić, tematem rozmowy było fotografowanie, jakżeby inaczej.

Wtedy mógł zostać powzięta myśl o morderstwie.

Ciągle teoretyzowanie!

Przejdźmy więc do Classów westchnął komisarz.

Jakoś ciężko mi uwierzyć.

Ponieważ zna ich pan obu dobrze, w odróżnieniu od poprzednio typowanych.

Jeszcze głębsze westchnienie wydarło się z piersi komisarza.

Co tydzień uczestniczył w nabożeństwie odprawianym przez jednego lub drugiego pastora.

Nie był zbyt religijny, ale zawsze towarzyszył Katarzyni w drodze do zboru, gdzie przykładowo śpiewał psalmy, rozważał biblijne cytaty.

Przywiązał się do starego Franza, do jego zwalistej sylwetki i cholerycznego usposobienia, osobliwie powiązanych ze spekulatywną osobowością, zdolną analizować każde zjawisko z podziwu godną bystrością.

Franz Class był (tu Riidiger Rensch dokonał przed samym sobą odkrycia) bardzo niemiecki.

Może ten fakt tak przywiązał do niego komisarza?

Nie, niech lepiej Braun poszukaj motywu.

On sam nie potrafi.

Georg?

Georg był jeszcze dzieckiem.

Dużym, w pewnych sprawach odpowiedzialnym i dojrzałym, ale mimo wszystko dzieckiem.

Kochał się w Elzie, pragnął ze wszystkich sił służyć Bogu, był chłopakiem prostodusznym i nieśmiałym.

111.

Przesłuchajmy więc jutro pastorów szepnął Ignaz.

I tak mieliśmy w planie rozmowę z Classami.

Czy jednak, kochany inspektorze, mógłby pan dokonać przesłuchań.

samodzielnie?

Rozumie pan.

Tutejsze zależności.

Tak.

I Katarzyna dokończył niemal bezgłośnie.

U PASTORA

Poranek, jak zazwyczaj wczesnym latem, był rześki, pachnący pobliskimi ogrodami pełnymi kwiatów.

Miasto powoli budziło się do życia.

W rozmaite strony spieszyli przechodnie, z otwartych okien dochodził zapach świeżo mielonej kawy.

"Jakie szczęście, że lubię wstawać" pomyślał Ignaz.

"Ile urokliwych scenek i zapachów można dotknąć z samego rana".

Letni płaszcz został w pokoju hotelowym.

Braun stwierdził, że tortura przy takiej pogodzie byłoby strojenie się w tęczę garderoby, choć na co dzień był do niej bardzo przywiązany.

Pan Kotkowski z Kielergasse aż cztery razy zapraszał Ignaza na przymiarki i ciągle był ze swojego dzieła niezadowolony, aż wreszcie, po trzech tygodniach oczekiwania, policjant w towarzystwie żony wyszedł z zakładu krawieckiego dumny jak paw.

Bernadeta stwierdziła, że nikt nie ma takiego płaszcza jak jej mąż.

Ubiór stanowił ważną część służbowego wyposażenia rasowego policjanta, jak uczył pan Ottolenghi, lekarz sądowy ze Sieny, prywatnie wielbiciel mody (również damskiej) i kawy parzonej na sposoby orientalne.

Policjant nie miał prawa mieć na sobie niczego, co zwracałoby nadmierną uwagę 113.

uwagę otoczenia.

Nie mogło być mowy o żadnej ekstrawagancji, zbyt jaskrawej muszce lub zbyt szerokim krawacie.

Strój nie powinien być zbyt obszerny, ponieważ luźne ubiory są cechą wyróżniającą nowomodnych artystów spod znakudekadencji.

Policjant nie powinien ubierać się w najdroższych domach mody, na przykład u Haackela czy Fediego.

Takie pracownie zarezerwowane bowiem były dla osób zajmujących eksponowane stanowiska w hierarchii społecznej.

Nadkomisarz von Marburg, szlachcic i osoba znana w kręgach dworskich, stanowczo powinien ubierać się u Haackela lub Fediego.

Ale inspektor czy komisarz?

Braun, z czego był zadowolony, znalazł przed laty zakład pana Kotkowsky'ego, krawca rodem z Leszna.

Stanisław Kotkowski był wykwiłtnie, ale nie zadrogo.

Szykownie i nie prowokująco.

Nie brał horrendalnej zapłaty, ale już rzemieślnik czy robotnik mogliby tylko pomarzyć, aby ubierać się w takiej firmie.

Gustowne dodatki Ignaz kupował (a raczej zdawał się w tej kwestii na Bernadetę) w domu towarowym KaDeWe, nowo otwartym, eleganckim, ale też dostępnym dla urzędnika państwowego.

Myśli Ignaza owładnięte były urodą poranka i analizą ubioru godnego policjanta, tymczasem doszedł już do małej pastorówki, mieszczącej się tuż przy zborze wciśniętej między kamieniczki przy ulicy Lęborskiej.

Pan inspektor Braun!

zdziwił się pastor Franz Class.

We własnej osobie.

Mogę wejść?

Drzwi frontowe, uchylone do połowy, otworzyły się na oścież i gość mógł przekroczyć progi królestwa pastora.

Przedpokój był ciemny, zimny i niegościnnie, pozbawiony wszelkich ozdób.

Braun niezauważył nawet lustro.

Gospodarz wprowadził inspektora do obszernej jadalni.

Mocne, dębowe meble pasowały do wysokiego wnętrza, ciemnej tapety i aż nazbyt solidnego mosiężnego żyrandola.

Na jednej ze ścian wisiał oleodruk przedstawiający Chrystusa składającego wizytę przykładowej pięcioosobowej współczesnej rodzinie.

Drugą ścianę zdobił wielki czarny krzyż.

114

Ignaz dostrzegł jeszcze kilka fotografii w złoconych ramkach, zawieszonych na chybił trafił.

Patrzy pan sceptycznie na męskie porządki, inspektorze?

Z nutką prowokującej ironii zaczął Franz Class.

Moja Margareta odeszła do Pana kilkanaście lat temu, ja nie mam czasu zajmować się domem, służba Najwyższemu pochłania mnie bez reszty.

Syn studiuje w Królewcu, zostanie doktorem teologii i tym bardziej nieważne mu zarządzanie domu według nowomodnych gustów.

Gospoia jest świętą kobietą, aleschorowana straszliwie, a ja nie mam sumienia wymówić jej służby, jeszcze Margareta ją przyjmowała.

Ależ bardzo ładne mieszkanie żywo odparł Ignaz.

Dostojne, godne osób duchownych.

Dobrze wiem, co pan sobie w duszy myśli, proszę już nie zaprzeczać, bo się nadobrze rozłoszczę Class zażartował, ale nie chcący błysnął ostrymi jak u wilkazeębami.

Braun skłonił się naznak szacunku dla zdania gospodarza.

Grzecznie zapytał, czy zastał również Georga.

Niestety, młody pastor poprzedniego popołudnia wyjechał właśnie do Królewca, prosił przecież o zgodę ukomisarza Renscha.

Już trzeci rok pisał pracę doktorską na temat różnic między Marcinem Lutrem a Filipem Melanchtonem w odniesieniu do interpretacji "Pierwszego listu do Tesaloniczan".

Jeszcze kilkamiesiący, a syn pastora zostanie doktorem świętej teologii.

Słowom duchownego towarzyszyło mlaskanie, równocześnie jadł on bowiem obfite śniadanie.

Przeduzbrojonym w łyżeczkę Classem stało w kieliszku jajko namiętko, obok wdzięczył się talerzyk z masłem, nieco dalej stały pojemniczki na pieprz i sól.

Bardziej w stronę Brauna, którego gospodarz zaprosił do zajęcia miejsca przy stole, leżały półmiski z szynką przyozdobioną wąskim pasmem tłuszczu, kilkoma gatunkami sera, twarogiem i marmoladą.

Nad wszystkim górował wielki dzban dymiący aromatem kawy.

Pan już zapewne po śniadaniu?

retorycznie zapytał pastor.

Jadam rzeczywiście wcześniej wymijająco odpowiedział Braun, któremu kiszki grały marsza, tego dnia bowiem, wbrew swoim zwyczajom, zjadł jedynie małą słodką bułeczkę, ponieważ spieszył się, by odwiedzić pastora jeszcze przed porannym nabożeństwem.

Tak jak i ja ucieszył się Class, biorąc do ust różowy plasterek szynki.

Daruję pan jednak nieświadomość, jak ja mógłbym panu pomóc w sprawie Theodora Pratza?

Jajko na miękko uległo wprawnemu ruchowi łyżeczki.

Pierwszy kawaleczek wsunął się między czerwone, mięsiste wargi pastora.

Muszę panu powiedzieć, inspektorze, że moje pytanie było czysto retoryczne i zawierało sporą dozę kurtuazji.

Oczywiście, jestem do dyspozycji.

Skądinąd wiem, że pana przybycie możliwe było wyłącznie z powodu morderstwa.

Myśli pan, że moja wizyta w innym celu byłaby niemożliwa?

Tak właśnie sędzę.

Po pierwsze, czas policjanta w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy się spieszą, jest niezwykle cenny, nie marnowałby pan czasu na rozmowę towarzyską o tej porze dnia.

Podrugie, jest pan katolikiem, a w takim razie możliwe są dwie sytuacje: nie rozmawiałby pan ze mną prywatnie, gdyż boi się mnie pan jako groźnego dyskutanta (groźnego bo wykształconego), teologa; a możliwość druga ma pan wstręt do duchownego przeciwnej strony.

Nie, nie, niech pan nie zaprzecza, po ostatnim soborze jeszcze bardziej okopaliście się w twierdzy waszej domniemanej nieomyślności.

My z kolei od czasu doktora Lutramamy swoją wieżę i tym sposobem wieża i twierdza rosną sobieną przeciwległych krańcach horyzontu.

Jakby nie patrzeć, to zmarłemu Pratzowi zawdzięczam pańską obecność.

Ignaz skłonił się Classowi.

Rzeczywiście, duchowny lubował się w spekulacjach, bawił się logiką, dedukcją, z pewnością interesowały go gry umysłowe, szarady i rozmaite zagadki.

Jestem pełen podziwu dla jasności umysłu łaskawego pana odparł Braun.

I mam nadzieję, z uwagi na tak

116

doniosłe zalety pańskiego charakteru, pastorze, skorzystać ze spostrzegawczości i daru rozumowania właściwych panu.

Ufam mocno, że nie będzie pastorowi przeszkadzało moje wyznanie.

Niech pan da spokój, inspektorze.

Jeśli przeszkadzałoby mi, nie rozmawiałbym z panem.

A fakt ten prowadziłby do słusznego uznania mnie za potencjalnego zabójcę.

I bluźniercę.

Nieme pytanie Brauna niecorozbawiło pastora.

Skoro Bóg dopuszcza katolików do istnienia, a w naszych niemieckich warunkach do współistnienia z ewangelikami, musi mieć jakiś plan względem nich.

I względem nas, ewangelików.

Wzgarda dla bytu oznaczałaby wzgardę dla Stworzyciela, który w swej łasce (choć dla mnie niepojętej) raczył zachować Kościół katolicki.

Tak więc, proszę pytać.

Ktoś, kto zasypany zostaje w krótkim czasie podobną liczbą tez, dowodów i twierdzeń, zaczyna zazwyczaj zastanawiać się, w jakim właściwie celu są wypowiedziane i czyni przykryją tego, co najważniejsze.

Podobnie pomyślał Ignaz.

Poprzednio ucieszył się z możliwego rozwoju rozmowy z Franzem Classem, teraz postanowił, że przesłuchanie musi trzymać w żelaznych cuglach, nawet gdyby miało doprowadzić do ostrej wymiany zdań.

Takiej, jak chociażby pamiętnego wieczoru, kiedy pastor zawzięcie spierał się z Ernestem Schrederem.

Tymczasem pastor wstał od stołu, na którym nie zostało ani śladu po śniadaniu.

Uchylił drzwiczki kredensu, wyjął drewnianą skrzynkę z cygarami marki Aspasia, sięgnął po gilotynkę, przyciął fachowym ruchem krótkie, grube cygaro i podał Ignazowi.

Potem podał ogień, a Braun delikatnie wchłonął pierwszy dym.

Zawsze takie lubiłem.

Nie pali się ich długo, ale intensywność jest najważniejsza.

Aspasia, moje ulubione cygara.

W istocie, pastorze, niezwykły aromat uśmiechnął się Ignaz, który nie przyznawał się, że woli cygara długiej cieńsze, na przykład z dodatkiem aromatu waniliowego.

Te były z pewnością na antypodach zainteresowań Classa.

117.

Może pan nie uwierzy, inspektorze, ale kiedy usłyszałem, że zamordowano Theodora, od razu pomyślałem, że niepotrzebnie zgodził się przyjąć zamówienie od pani Neiss.

Co ma pan namyśli?

Braun poderwał się na równe nogi, przedtem zaciągając się mocno aspasią.

Że gdyby nie przyszedł tamtego wieczoru, żyłbydo dzisiaj spokojnie odparł pastor.

Zdaje pan sobie sprawę, pastorze, co pan powiedział?

Co pan wie?

Franz Class rozłożył ręce i z wyrozumiałością spojrzął na podekscytowanego inspektora.

Uśmiechnął się przepaszajaco.

Daruje pan, nie przypuszczałem, że moje słowa odebrane zostaną tak dosłownie.

Proszę się uspokoić.

Spojrzenie Brauna wyrażało nieugaszoną jeszcze nadzieję z domieszką gniewu.

Miał przejąć kontrolę nad wypowiedziami pastora, tymczasem ten wyraźnie postanowił zagrać jemu, Ignazowi Braunowi, na nosie.

A może tylko na emocjach?

Dla zabawy?

Dla ukrycia czegoś?

Z przekonania, że jako duchownemu wolnomu więcej?

Tak, inspektor zbyt dosłownie odebrał jego słowa.

Kimon jest skromnym pastorem, niepretendującym do posiadania daru jasnowidzenia.

Kiedy jednak patrzył feralnego wieczoru na Theodora Pracza, w jego podświadomości coś kiełkowało.

Przecież prawie cały wieczór dyskutował pan namiętnie z mecenasem Schrederem.

Nie miał pan, pastorze, zbyt wiele czasu na obserwację fotografa.

Nie zna pan możliwości duchownego uśmiechnął się Class.

- Muszę mieć oczy dookoła głowy, muszę mieć pamięć do twarzy, imion i nazwisk, problemów i trosk moich owieczek.

Nie mam wyjścia, zmuszony jestem widzieć wszystko, co dzieje się dookoła mnie.

Kiedy już dowiedziałem się o śmierci biedaka, niektóre fakty zaczęły przemawiać do mnie mocno, choć przedtem zdawały się skrywać za gęstą mgłą.

118

Class czuł, że coś się nie zgadzało.

Coś było nie tak, jakbyć powinno.

I kiedy rankiem syn przybiegł zziębnięty, mówiąc, że fotograf zamordowano, on, Franz Class, wiedział już, co zarejestrowała jego podświadomość.

Inspektorze, wszyscy nienaturalnie interesowali się Theodorem.

Pana być może nie zdziwiło takie zainteresowanie, ponieważ nigdy przedtem nie miał pan do czynienia z tym staruszkiem.

Rzeczywiście, uważam, że wszystko przebiegało naturalnie.

Niemniej proszę kontynuować, bardzo interesująca kwestia.

A ja widziałem pastora rozparł się wygodnie w obszernym krześle ze skórzanym obiciem kilkadziesiąt lat temu, kiedy gospodarz zamawiał usługi Theodora.

I choć wszyscy go lubili, ponieważ był niemal tak bezkonfliktowy jak ja, nikomu nie przyszło do głowy, żeby burzyć konwencję uroczystości.

Ktoś umiejętnie sprokurował okoliczności i sprawił, że dłuższy pobyt nieszczęśnika wydawał się naturalny.

Czy moje rozumowanie trafia panu do serca?

Mieszane uczucia odmalowywały się na twarzy Ignaza.

Wszystko mogło być kwestią przypadku, jednego poruszanego tematu, może fotograf słabo się poczuł i sam poprosił o możliwość chwilowego spoczynku?

Ale jeśli nie?

Braun podniósł głos.

Jeśli pan marać, pastorze?

Sugeruje pan, że ktoś mógł specjalnie zatrzymać Pratzę, żeby.

Sugeruję!

Class poklepał się po wydatnym brzuchu.

Jestem przekonany, że Theodor miał zginąć i dlatego został zatrzymany w salonie pani Wilfridy.

Ponieważ gdyby wyszedł wcześniej, morderca również musiałby się ulotnić dopowiedział

Braun.

A wtedy, to znaczy po zrobieniu zdjęcia, na zewnątrz było jeszcze stosunkowo jasno, trudno w takich warunkach zabić człowieka praktycznie w środku miasta.

"Inawet gdyby umierający nic nie zasugerował, wcześniejsze wyjście kogoś z zebranych, aż tak wczesne, wydał mi się

łoby się, w kontekście późniejszych wydarzeń, wysoce podejrzane" teoria w myślach Ignaza nabierała coraz realniejszych kształtów.

"Potwierdzenie słów staruszka, czyżby jednak?

Co innego hipoteza, co innego dwie uzupełniające się tezy.

A przedśmiertne zeznanie Pratzę jest właściwie dowodem.

Należałoby ich wszystkich zamknąć w osobnym pomieszczeniu o chlebie i wodzie.

I przesłuchiwać aż do skutku.

Włącznie z pastorem" w Braunie buzowała krew.

Kiedy był przejęty, jego myśli porządkowały się.

Kiedy łapał trop, ale niewiedział, do kogo należy, jego emocje wybuchały.

Niegdyś był spokojniejszy, ale odczasu, kiedy pewien druciarz z Nysy omal nie przebił mu nożem aorty, Ignaz stał się o wiele drapieżniejszy w odniesieniu do przestępców.

Wszystkich pytam o ważny szczegół i nikt nie potrafił dokładnie odpowiedzieć.

Może pan zapamiętał, pastorze, kto wychodził w bezpośrednim sąsiedztwie czasowym Pratzę?

Ci Meinhardowie, tak, mniej więcej tej samej porze, ale również Schrederowie z tym skandynawskim idiotą.

Jai Georg może po dwóch kwadransach.

Pańskie pytanie jest jednak bez znaczenia.

Słucham?

Ignaz nie spotkał jeszcze na swojej drodze człowieka, od którego usłyszałby coś równie niepoehlebnego.

Pastor uśmiechnął się pojednawczo i poczęstował inspektora drugą aspasią.

Braun odmówił, ale pochwili odruchowo chwycił cygaro i przytknął je do zapalanej przez gospodarza zapalki.

Twarze mężczyzny rozdzielił gęsty, nieregularny, błękitny obłok dymu.

Pańskie pytanie ma dla prowadzonego śledztwa żadnego znaczenia, ponieważ niewie pan, jak domniemywam, zwyczaj starego Theodora.

Otóż lubił on, wracając skądkolwiek, bez względu na porę, pochodzić po Rynku, zazwyczaj z dobre dwa kwadransy.

Łowił wtedy kadry, jak sam określał swoje spacerowanie.

Praktycznie każdego wieczoru dreptał też sobie na urbocka do Deutsches Haus.

Nie żeby się upić, jedno małe piwko, nawet nie można poczuć, że się 120
cokolwiek wychyliło.

Wtedy zazwyczaj nie ma już wielu klientów.

Można się orzeźwić, w gospodzie cisza i spokój.

I każdy, kto zna Wejherowo, wiedział, że fotografował taki zwyczaj?

Przynajmniej w odniesieniu do spacerów?

Upewnił się Braun.

Tak.

Dla przyjezdnych też nie jest wielką sztuką dowiedzieć się tego.

Jedno, dwa pytania, wystarczy zagadać umiętnie.

Samego Pracza lub kogoś innego.

Pan, inspektorze, nie wiedział, ale miejscowi nie mówili panu o tym, ponieważ mamy
dwie możliwości albo rozmówca chciał ukryć przed panem, że wie o zwyczajach Theodora, gdyż ma

coś na sumieniu, albo też milczał, ponieważ sądził, że o tak oczywistej rzeczy dawno już pan wie.

W przypadku przesłuchiwanym przyjezdnych możliwości są również dwie: albo ten ktoś nie wiedział o spacerach i Deutsches Haus, albo chciał uchodzić za pozbawionego wiedzy nawyżej wymieniony temat.

To ostatnie z oczywistego względu.

Lecz w takim razie, skoro zwyczajnie Pratzabyły utarte, po co morderca przedłużałby pobyt fotografana wieczorze?

Przecież mógł odczekać i po nawet późniejszym wyjściu gościny znaleźć nieszczęśnika na Rynku lub w gospodzie.

Otóż nie!

Godziny pobytu Pratzabyły jednak były nieregularne, a wyczekiwanie tu lub tam, rozglądanie się, nawet po zmroku, musiałyby wzbudzić czyjeś zainteresowanie.

Morderca musiałby szukać w pośpiechu, a tu jest małe miasto, nikt się nigdzie nie spieszy, za duże ryzyko.

Ale kiedy ktoś idzie czyimś śladem w stałym tempie, nie wzbudzi podejrzeń.

Proszę sobie uświadomić, że gdyby morderca spóźnił się choćby o minutę, jego plany mogłyby wziąć w łeb.

Czyli w grę wchodzi każdy uśmiechnął się smętnie Ignaz.

Prawdopodobnie za wyjątkiem kobiet dodał prowokacyjnie.

Okropny kaszel przeszył powietrze.

Pastor zakrzusił się dymem, a potem ryknął śmiechem.

Pan, inspektorze, jest w każdym calu rycerzem.

Ale czy taka postawa nie utrudnia pracy w policji?

121.

Nie rozumiem.

A czy nie sądzi pan, że do zadania celnego ciosu ostrym nożem sprężynowym nie potrzeba zbyt wielkiej siły?

Braun był zdumiony oczywistością twierdzenia.

Wystarczy celności wola zabicia.

Właśnie to miałem na myśli twarz pastora nagle stała się poważna.

Proszę mi wierzyć, inspektorze, jest pan młodym, uczciwym człowiekiem i choć zapewne niejedno pan w życiu widział, jak i miał do czynienia z różnymi ciemnymi motywami działania, śmiem twierdzić, że duchowny lepiej zna takie zakamarki ludzkiej duszy, od których znajomości człowiekowi niezwyčajnemu do obcowania z nimi włosy stanęłyby dęba.

W każdym razie, sądzi pan, że kobieta nie mogłaby zabić Theodora?

Przecież kilka razy zatrzymywał pan morderczynie.

Nie można przyzwyczajać się do wygodnych tez.

Ja, jako duchowny, znam wiele zasmucających przypadków, których bohaterkami były właśnie kobiety.

Wyrafinowanie i okrucieństwo u kobiet bywają olbrzymie.

Rzadziej pośród nich zdarzają się zbrodniarki, ale jeśli już, jeśli są zdeterminowane.

Ma pan rację przytaknął Ignaz, który szybko zanalizował w myślach postaci kobiet spotkanych w salonie pani Wilfridy.

Pastor nie powiedział jednak ostatniego słowa.

Właśnie szykował się do efektownego finału.

Nie uwierzy pan, inspektorze, ale tego jednego poranka, dzisiaj, żałuję dwóch rzeczy.

Po pierwsze, że nie jestem detektywem na usługach wydziału zabójstw.

Podrugie, że dodatkowo nie jestem księdzem katolickim, ponieważ wtedy moja znajomość meandrów duszy ludzkiej byłaby jeszcze większa, bycie pastorem ogranicza liczbę spowiedzi; choć moje doświadczenie i tak jest godne podziwu.

Słuchając pastora, Ignaz nie był do końca pewien, czy stary lis żartuje, czy też rzeczywiście odkrył

w sobie talent detektywistyczny.

Był jednak pewien, że ma do czynienia z kimś szczególnym.

Człowiek taki jak Class mógł zabić, ale

122

równie dobrze mógłbyć tym, dzięki któremu uda się schwytać mordercę.

Braun wiedział, że zadawanie Franzowi Classowi pytań w rodzaju "Od kiedy znał pan Theodora Pratza?

" czy "Miał pan z nieboszczykiem jakieś zatargi?

"pozbawione jest sensu.

Przyjął więc jeszcze jedno cygaro i zapalił je bezpośpiechu.

Nie minął kwadrans, a pastor został wezwany do pewnej wdowy, która po raz kolejny tego lata sądziła, że przyjdzie jej żegnać się ze światem.

"CZY JA MOGŁABYMSIĘ JEMU PODOBAĆ?

"

Wczesne popołudnie przyniosło nad rozlewisko ciepłe promienie słońca.

Ptaki śpiewały jak oszalałe, pszczoły brzęczały, wszystko, co zielone, szybowało w stronę nieba, chcąc znaleźć się jak najbliżej życiodajnego źródła ciepła.

Ignaz z początku nie mógł uwierzyć, że już kiedyś był w tym miejscu.

Najpierw przeczytał nim w "Berliner Beobachter", potem nadkomisarz von Marburg wprowadził go do szczegóły sprawy Johanna Wendersa, wreszcie pewnego poranka trafił tutaj, aby na miejscu doświadczyć całej grozy sytuacji, w jakiej znalazł się zamordowany wejherowski gimnazjalista.

W oddali ciemną czerwieniącą się odznaczał się młyn Jana Biangi, tuż obok przycupnęła kapliczka, a za nią leniwą płaszczyzną pobliski wałociemno błękitne rozlewisko.

Posterunkowy Bochentin, na wyraźny rozkaz komisarza Renscha, przez godzinę szukał śladu Gertrudy Dangel.

Przed niespełną kwadransem przybiegł zziębnięty do hotelu i poinformował inspektora, że panna poszła nad wodę, aby na wczesnie czytać podręcznik medyczny dla kandydatek na diakonisy.

Młoda kobieta siedziała teraz tuż nad taflą rozlewiska.

Jej głowa pochylona była nad książką, lekko przygarbiona sylwetka wydawała się skupiona i nieruchoma.

Braunowi żal było przerywać pannie lekturę, ale obowiązki oficera śledczego właściwie zawsze polegały na przerywaniu komuś czegoś.

Wyprostował się, przybrał urzędową postawę, niepozbawioną jednak życzliwości, i podszedł do Gertrudy.

Panno Dangel.

Inspektor Braun?

na twarzy panny nie odczytał zdziwienia.

Raczej pogodną melancholię.

Niezmiernie mi przykro, że przeszkadzam szanownej pani, ale moja praca.

Sama pani rozumie.

Ona zaś uśmiechnęła się, choć nad wyraz szczerze.

Spodziewałam się, że zostanę wezwana na komisariat w związku z tą smutną sprawą.

I ja tak myślałam.

Jednak czas policjanta rządzi się własnymi prawami.

Eleonora wspominała mi, że pan z nią rozmawiał.

Nie przeceniam roli mojej osoby, niemniej wiedziałam, że i namnie przyjdzie kolej.

Proszę usiąść Gertruda przesul25.

nęła się, aby policjant mógł spocząć obok w przyzwoitej odległości.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

Braun chrząknął i zaczerpnął nieco powietrza.

Świeżego i pachnącego, innego niż wtedy, przed paru laty.

Zdaje panisobie sprawę, co stało się w tym miejscu, zanim pierwszy raz przybyłem do Wejherowa?

Oczywiście.

Ale, proszę darować, nie jestem ani bojaźliwa, ani na tyle sentymentalna, żebyz miejscami, które same w sobie nie są niczemu winne, wiązać jakieś swojenastroje.

Lubię tu przychodzić, ponieważ jestcicho i przyjemnie, a ławka aż się prosi, żeby z niej skorzystać.

Bardzo słusznie odparł Braun.

Miejsce jest doprawdy kuszące.

Moje pytanie nie miałożadnego celu.

Ale, jeśli pani pozwoli, chciałbym zapytać o wieczór, kiedy się poznaliśmy.

Kolejny melancholijny uśmiech był odpowiedzią na słowa Ignaza.

"Poznaliśmy się" to za dużo powiedziane.

Pan inspektor, oilesobie przypominam, nie zaszczyił mnie rozmową.

Przepraszam, pani się myli!

To ja przepraszam.

Tak, zapytał pan, czy podać mi filiżankę kawy.

A pani odpowiedziała, że nie pije kawy.

Bo nie piję przytaknęła Gertruda.

A pan odebrał to jako brak zachęty do dalszej konwersacji.

Może byłam zbyt obcesowa.

Może.

Spojrzeli na siebie.

Rozmowę należało zacząć odpoczątku.

Przykromi, że zagaduję panią o tę sprawę, z pewnością lektura jest ważna.

Ważna.

Już niedługo przed członkami komisji delegowanej przez władze rejencyjne będę zdawać ważny egzamin, od którego zależą moje dalsze losy.

Alewidzi pan,

126

jestem pilną uczennicą i sędzę, że zdam ten egzamin pomimo bycia dziś przesłuchiwaną.

Nie mam zamiaru pani przesłuchiwać zaprzeczył Braun, ale jego zapewnienie nie zabrzmiało zbyt przekonująco.

Czuł, że przy Gertrudzie musi się wyzbyć tanich słówek, którymi często usypiał czujność przesłuchiwanym.

Tymczasem przyszła diakonisa odłożyła na bok swój podręcznik i ciekawie, bez skrępowania, spojrzała na inspektora.

Jak pani wiadomo, rozmawiam ze wszystkimi, którzy tamtego wieczoru widzieli Theodora Pratz.

Zapewne spodziewa się pani, że zapytam ją o spostrzeżenia, które mogłyby mnie zainteresować.

Pytam więc.

Wie pan, inspektorze, zdążyłam się już przygotować na tak sformułowane pytanie.

A więc nie zostawi mnie pani zniczym Braun nachylił się w stronę Gertrudy.

Nie mogłabym.

Przecież jest pan przedstawicielem państwa i zależy panu na wyjaśnieniu tej smutnej sprawy.

Zacznę może od momentu, kiedy fotograf stanął w drzwiach.

Przepraszam, panienko, jeśli mogę przerwać.

A czy wcześniej, zanim przybył Theodor Pratz, nic nie wzbudziło pani podejrzeń?

Widziałem, że niewiele pani rozmawiała, i proszę mi darować, chyba uważnie przypatrywała się pani obecnym?

Gertruda nie miała za złe inspektorowi tak otwarte gościnności.

Rzeczywiście, odpowiedziała, nie każdy miał ochotę z nią rozmawiać.

Nie każdy ceni towarzystwo przyszłej diakonisy.

I nie każdy lubi mieć przed sobą osobę inteligentniejszą od siebie samego dodał Ignaz.

Cenię pana otwartość, inspektorze z ulgą odparła panna Dangel.

Chyba jeszcze tylko Eleonora potrafi mówić ze mną bez skrępowania.

Choć jest tak inna niż pani.

Choć jest tak inna.

Wracając do pańskiego pytania, niemal wszyscy wydali mi się przeraźliwie nudni.

Mówię

127.

jak do lekarza, jestem z panem szczerą, pan ze mną chybarównież.

Jak najbardziej Ignaz spojrział na dziewczynę z uznaniem.

Ten Norweg, artysta, jawi mi się jako osobnik bezreszty zapatrzony we wzorce, które nie do końca rozumie.

Mógłby zamordować, ale chyba nie miał żadnego poważnego powodu.

A ci, z którymi potem wyszedł?

Schrederowie?

Małżeństwo z Nadrenii stanowiło dla Gertrudy pewną zagadkę.

Z pewnością byli pozerami: on kreował się na pewnego siebie intelektualistę, ona na ułotną anielicę, po części upadłą, po części zaś zblazowaną, ale w gruncie rzeczy powierzchowną.

Byli zbyt gnuśni i wygodni, aby wniknąć w zbrodnię.

Sigmund to poczciwy chłopak, zapatrzony bezreszty w Eleonorę i cierpiący w głębi duszy za każdym razem, kiedy ona dawała mu prztyczka.

Nic o nim nie wiem i von Mach interesował mnie o tyle, o ile mogłaby zainteresować się nim moja przyjaciółka.

A Meinhardowie?

Zarozumiali, egocentryczni, rzucający wyzywające spojrzenia.

Bez zdziwienia zobaczyłaby ich na ławie oskarżonych.

A więc jednak?

Nie, panie inspektorze, nie myślałam o nich jako o mordercach.

Oczami wyobraźni widzę ich jako oszustów podatkowych.

Jednak, daruje pan, ktoś, kto chce zamordować człowieka, nie sprawia tak charakterystycznego wrażenia na obecnych.

Byliby wtedy miłsi, aby nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

Doktor Paschinski natomiast.

Gertruda spojrzała na rozmówcę ze zdziwieniem.

Pan chyba nie bierze pod uwagę Maksymiliana?

Daruję pani, jestem policjantem i nikt, kto może być potencjalnym sprawcą, nie jest wyłączony z kręgu podejrzeń.

Postać siedząca obok Ignaza lekko się odsunęła.

Panna Dangel zrozumiała, że to nie ona prowadzi śledztwo i że jej bezpośredniość była posunięta do przesady.

128

Widzi pan, znam Maksymiliana od wielu lat.

Nigdy nie rozmawiałam z nim szczerze, ponieważ on nie rozmawia właściwie wcale.

Ale jestem w jakimś sensie przywiązana do jego sposobu bycia, wrósł jako cegiełka w świat, który jest moim światem.

I...

Łączy nas coś.

Mianowicie?

Ignaz drgnął.

On Gertruda wzięła głęboki oddech ma bardzo ugruntowane przekonania religijne.

Skąd pani wie, skoro nigdy ze sobą szczerze nie rozmawialiście?

Ależ nie potrzeba żadnych słów panna była zdziwiona, że musi wytłumaczyć to człowiekowi tłumaczy rzecz tak oczywistą.

Od czasu, kiedy Paschinski, jako uczeń doktora Gesslera, pojawił się w Wejherowie, obserwowała nie raz, jak długo po zakończeniu nabożeństwa zostawał w zborze, zatopiony w modlitwie, nie liczył upływających kwadransów.

Ponieważ ona miała taki zwyczaj, wiedziała o Paschinskim więcej niż nie jeden, kto kontaktował się z młodym lekarzem osobiście.

Proszę mi darować, ale nie wierzę w możliwość popełnienia przez niego zbrodni.

Zaraz powie pan, że skoro łączy mnie z nim wspólny zwyczaj, przenoszę własne cechy charakteru i oczekiwania na niego.

Ale ja mam intuicję.

W takim razie biedny pan Paschinski musiał przeżywać ciężkie chwile w towarzystwie wolno myślącego Gesslera skonstruował Braun.

Sama się dziwię, że ktoś taki jak doktor Gessler mógł być aż tak zaślepiony nienawiścią do chrześcijaństwa przytaknęła Gertruda.

Czy mógłbym teraz panią spytać o obu pastorów?

Przywołała pani temat chrześcijaństwa.

Nie spodziewa się pan chyba, że powiem o nich cokolwiek złego?

Bardziej chodziłoby mi o cechy charakterologiczne.

Trudne pytanie.

Ze starym pastorem ciężko się rozmawia, on lubi dominować.

Rozumie pan, znakomicie czuję się w roli ojca wejherowskich ewangelików.

129.

Zdarza mu się ingerować w życie wiernych?

Zdarzasię, żebywa apodyktyczny, prawda.

I z pewnością nieszyscy potrafią zrozumieć jego intencje, jego troskę.

Ale on kocha tę społeczność, dałby się za nią ukrzyżować.

Nie wie nawet, jak wściekł się, kiedy usłyszało śmierci Theodora Pracza.

Wierni są jak Ciało Chrystusa, są jego członkami, inagle ktoś odciął fragment ciała.

Teologia odgrywa w jego poglądach zasadniczą rolę.

Według niego jest ostatnią osobą, która mogłaby zabić.

Na dodatek fotograf był wiernym wyznawcą, chodził co niedziela do kościoła, czasami nawet rozmawiali sobie na różne tematy, znali się dobrze.

Ignaz musiał zapytać o Georga.

Wbrew jego obawie Gertruda mówiła bez wahania i miała do powiedzenia więcej niż ty, co pozostali.

Młody pastor był dużym dzieckiem, dobrym, naiwnym, spokojnym, każdego sądził własną miarą.

Na wieść o zamordowaniu fotografa rozplakał się.

Po jego szczupłych policzkach leciały wtedy gorące łzy.

Po raz pierwszy w życiu był tak blisko morderstwa, odprawił też razem z ojcem nabożeństwo nad ciałem nieboszczyka.

Pani była tam również, prawda?

Owszem bez wahania odparła Gertruda.

Wielu ludzi uczestniczyło w nabożeństwie.

Dopiero teraz jej głos zadrżał.

Nie spodziewał się pan usłyszeć ode mnie niczego złego o Georgu?

Panna nie była pewna, czy Braun wie o jej stosunku do młodego pastora.

Prawdę mówiąc, nie.

Milczenie trwało odrobinę za długo.

Wreszcie Ignaz podniósł wzrok.

Twarz dziewczyny była spokojna.

Wróćmy do mojego pytania.

Czy nie zauważyła pani czegoś naprawdę niepokojącego?

Przed przybyciem pana Pratz?

Pani opinie o zebranych były zdecydowane i za nie jestem pani wdzięczny, ale gdyby.

Gdybym coś zauważyła panna Dangel przerwała inspektorowi jużby pan o tym wiedział.

Jest pewien drobiaz

g, o którym panu wspomnę, choć nie wydaje mi się, że ma jakiegokolwiek znaczenie.

Słucham?

Miałam wrażenie, że wydarzy się coś niezwykłego.

To zabawne, ale czułam, że pod maskami, bo każdy nieustannie odgrywa jakąś rolę, toczy się ukryta gra.

Nie wiem, na czym to polegało i kto czynił jakieś zabiegi, ale.

tylu zebranych krążyło nad innymi, potem role się odwracały i tak w kółko.

Miałam wrażenie, że nie uczestniczę w zwyczajnym spotkaniu.

Ze to są jakieś.

szukała odpowiedniego wyrażenia.

Łowy szepnął Braun.

Łowy przytaknęła Gertruda.

Bardzo dobre określenie.

Mimo to żadnych konkretów?

z nutą nadziei w głosie szepnął inspektor.

Żadnych.

I teraz pewnie zapyta pan o czas po przyjściu pana Pracza?

Ignaz nie musiał pytać.

Ciekawie wyciągnął szyję.

Kiedy już fotografia została zrobiona, nic się niezmieniło.

A potem, kiedy kolejni goście wychodzili, był bardzo typowo.

Ja zresztą wyszłam chyba jakotrzecia lubczwarta.

Rozumie pan, wstaję bardzo wcześnie, praktyki w Szpitalu Cesarzowej Augusty rozpoczynają się z samego rana.

Popołudniami Zakład dla Obląkanych.

Mam też zwyczaj, że o czwartej budzę się i powtarzam najważniejszą kwestię z lektury dnia poprzedniego.

Rozumiem, ponieważ ja przed świtem czytam, skądinąd rzeczy zupełnie niezwiązane z moim zawodem.

Naprawdę?

zdziwiła się Gertruda.

Nie zapytał mnie pan jednak o ważny moment.

Tak?

Braun udał zmieszanie.

Owszem.

Nie zapytał mnie pan o przygotowanie do fotografii.

Chyba że sam pan uważnie przypatrywał się wtedy zebranym i nie potrzebuje już mojej opinii.

Przeciwnie, droga pani, przeciwnie!

131.

Widzi pan, miałam wrażenie, że kiedy pan Pratzustawiał gości, we wszystkich, prawie we wszystkich, wstąpił jakiś zły duch.

Wiercili się niemiłosiernie, poszturchiwali wzajemnie, zniknął gdzieś ten cały polor, którego nauczyli się od najmłodszych lat.

Uwagę inspektora przykuło stwierdzenie "prawie wszyscy".

Gertruda nie zastanawiała się długo.

Meinhardowie, Schrederowie, Norweg, który początkowo z pogardą traktował całe przedsięwzięcie, a potem rozpychał się łokciami, jakby został przeniesiony żywcem do domu pani Wilfridy z jakiejś sagi opiewającej krwiożercze wyczyny wikingów.

I nawet Georg, który przepychał się, żeby znaleźć się jak najbliżej Elzy (tutaj w głos Gertrudy wkradła się źle ukrywana irytacja).

Podobnie zresztą zachowywał się Sigmund.

Nadepnął na nogę jej, Gertrudzie, chcąc dostać się w pobliże Eleonory.

Starszy z pastorów, lubiący być w centrum zainteresowania, usilnie kierował się w sam środek kadru.

Elza to samo.

Właściwie tylko Eleonora, pani Neiss, doktor Paschinski, pan inspektor i ja zachowywaliśmy się jak ludzie dorodzi.

I jak ja nie mam zostać diakoniszą?

Gertruda ostatnie zdanie wypowiedziała pół żartem, pół serio.

Słucham?

Myślę o tym, że spotkania towarzyskie są niezwykle irytujące.

I sztuczne.

Prawdziwe życie jest zupełnie gdzie indziej.

Z całą pewnością Ignaz szczerze zgodził się ze zdaniem rozmówczyni.

Oboje doznali wrażenia, że wszystko, co miało zostać wypowiedziane, było już za nimi.

Patrzyli w milczenie i naciemny błękit płytkiej wody, słuchali szum drzew, na chwilę zapomnieli o

okolicznościach, które były przyczyną rozmowy.

Panie inspektorze?

Zamieniam się w słuch Ignaz musiał przerwać rozmyślanie o ostatnim pikniku w towarzystwie Bernadety,

132

kiedy to zabrali ze sobą koszyk pełen ciastek, szynkę z tłuszczkiem i butelkę lekkiego, rzeńskiego białego wina.

Czy ma pan poczucie spełnienia w profesji, którą pan wykonuje?

A cóż to za pytanie?

odparł zdeorientowany policjant.

Czy nigdy nie żałował pan, że został policjantem?

Przecież pan jest inteligentnym i wrażliwym człowiekiem, tymczasem całymi dniami musi pan siedzieć w ludzkich brudach.

Przepraszam za tę śmiałość, ale chyba już pan zauważył, że bardziej od konwenansów cenię szczerą rozmowę.

Jakiej odpowiedzi udzielić?

Czy przyznać się, że już jakodziecko lubił bawić się z rówieśnikami w bandytów i policjantów?

Że chciwie łykał, odkąd nauczył się czytać, wszelkie notatki o przestępstwach dokonywanych w bliższej i dalszej okolicy?

Że wreszcie imponowała mu tajemnicza atmosfera wielkiego gmachu przy Alexanderplatz i pochlebiało to, że miał stać przepustką do gabinetu nadinspektora von Marburga?

Przecież nie powie przyszej diakonisi o dreszczyku emocji, jaki czuł, gdy mógł być panem sytuacji.

Co najwyżej może się przyznać, że lubi bawić się przestępcą w polowanie.

Ale jeśli ona uzna tę przypadłość za objaw reakcji na jakieś straszliwe kompleksy?

Odpowiedź, jakiej udzielił panie Dangel, miała być dyplomatyczna i powinna charakteryzować się powściągliwością godną wyróżniającego się oficera stołecznego Wydziału Zabójstw.

Zakończyło ją jednak stwierdzenie:

Często myślę, że jestem zwyczajnie, po ludzku szczęśliwy.

Czy znaczy to, że żyję zgodnie z powołaniem?

Tak mocno potwierdziła Gertruda.

Widzi pan, odważyłam się i zapytałam o coś w pewnym sensie intymnego, ponieważ już niedługo rozstrzygnie się, co będę robiła przez resztę życia.

I...

I nie jest pani dobrze z tą świadomością Ignaz zaraz pożałował, że powiedział coś tak oczywistego.

Czasami lepiej nie nazywać otwarcie ludzkich pragnień i dylematów.

133.

Dziewczyna położyła otwartą dłoń na podręczniku.

No tak, przecież pan wie.

Przepraszam odpowiedział jej szept Ignaza jestem policjantem.

Oczywiście.

Tak, zostaną diakonisa powiedziała z mocą, ale zaraz potem jej głos załamał się.

Czy ja mogłabym się jemu podobać?

Milczenie Ignaza dawało się dla niej wyrokiem, tak jakby od jego opinii cokolwiek mogło zależeć.

W istocie były to sekundy, ale wystarczyły, by jeszcze niżej spuściła głowę.

Pani nie ma świadomości, ilu mężczyznom się podoba.

Nawet temu Norwegowi, którego określił pan imieniem nieokrzesanego wikinga.

Naprawdę?

Gertruda ucieszyła się, ale zaraz spochmurniała.

Przecież nie o niego chodzi.

Wszystkow rękach Boga Ignaz pomyślał, że taki stwierdzenie najlepiej przemówi do dziewczyny.

Jestem znacznie starszy od pani, na dodatek mam żonę i jestem funkcjonariuszem cesarskiej policji, mogę więc powiedzieć pani bez bycia posądzonym o jakieś nieczne zamiary, że jest pani kobietą niezwykle interesującą.

Tak, może się pani podobać.

Jemu przede wszystkim.

Może niedaleko do szczęśliwego rozwiązania?

Gertruda popatrzyła na inspektora z zażenowaniem, ale gdy wstał i uklonił się, a potem skierował w stronę miasta, odprowadzała go spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Tymczasem Ignaz obejrzał się i rzucił w stronę panny Dangel, która jakoś nie miała zamiaru wrócić do przerwanej lektury:

Tylko proszę zachować moje ostatnie słowa w tajemnicy!

Gdybyżona się dowiedziała, że pochwaliłem inną kobietę.

Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny.

Już dawno niknie słuyszał, aby Gertruda się roześmiała.

GABINET DOKTORA

Maksymilian Paschinski podniósł głowę znad urzędowego pisma.

Pojawienie się inspektora Brau"na potraktował spokojnie, chociaż znajdował się od paru minut w doskonałym nastroju.

Oto bowiem listonosz wręczył mu decyzję Państwowego Zakładu Badania Środków Żywnościowych i Użytek oraz Przedmiotów Użytku dla Krajowego Okręgu Policyjnego w Berlinie.

Doktor został przyjęty w poczet członków korespondentów urzędu, a trzeba było nie lada talentu i doświadczenia, aby lekarza spotkał ten zaszczyt.

Doktor zauważył dopiero teraz, że za inspektorem stanął posterunkowy Bochentin, który od razu zaczął chciwym okiem lustrować gabinet.

Bo też królestwo Paschinskiego przerastało wszystko, czego wejherowanie mogli doświadczyć, przychodząc do jego poprzednika, doktora Leo Gesslera.

Ciekawe czy Bochentina na dłużej zatrzymał się na ludzkim szkielecie, który był znacznie mniejszy niż słynny Eryk należący do Gesslera.

Natomiast szkielet będący własnością Paschinskiego miał coś, o czym Eryk mógł tylko pomarzyć: ciepły szalik na szyi i binokle.

135.

Witam, panie doktorze, czy moglibyśmy zabrać panu nieco cennego czasu?

Ignaz skłonił się powściągliwie, acz z szacunkiem.

Doktor skinął głową i zrobił ręką zapraszający gest.

I od razu, w imieniu posterunkowego Bochentinai swoim, muszę spytać o ten uroczy szkielecik.

Otóżma onna sobie pewną część garderoby.

W jakim celu?

Tu jest zimno.

A on nie ma tkanki tłuszczowej wyszeptał Paschinski w taki sposób, że nie można było zgadnąć, czy żartuje.

Obinokleniach pan inspektor nie pyta szepnął Bochentin.

W takim stanie zdrowia na ogół ma się kłopoty ze wzrokiem.

Ignaz miał nadzieję, że gospodarz nie usłyszał posterunkowego.

Sam zaczął się uważnie przyglądać wnętrzu gabinetu, bo choć widział, żyjąc w stolicy, mieszkania rozmaitych dziwaków, lokum doktora wydało mu się dość oryginalne.

Gabinet był równocześnie sypialnią Paschinskiego.

W kącie, niedaleko okien, stała niemal więzienna przykryta kilkoma grubymi, wełnianymi kocami, osobliwie kontrastującym zascetycznym meblem.

Napierwszy rzut oka dało się poznać, że doktor jest zapalonym ornitologiem.

Cały sufit ozdobiony był wypchanymi ptakami.

W centralnym miejscu, tuż obok zakurzonego żyrandola, wisiał wielki sokół gotowy do pionowego lotu po ofiarę.

Dwa puszczyki tkwiły statycznie na grubych hakach, nieczule na towarzystwo zięb, gilów, sikorek i sroko wypłowiałych ogonach.

Trzyściany wypełnione były rycinami obrazującymi sekcje zwłoka przestrzeni dziejów, począwszy od nieśmiałych prób ze starożytności, przez nowożytne scenki, na których postacie, żywcem skopiewane z "Lekcji anatomii doktora Tulpa", z zainteresowaniem pochylały się nad martwymi

ciałami, aż po obrazki, których bohaterami byli lekarze odziani w białe kitle i uzbrojeni w nowoczesne skalpele, nożyce i tym podobne przedmioty.

136

Czwartą ścianę w całości zajmowała szklana gablota.

Stały w niej w równiutkich rzędach słoiki z formaliną, a ich zawartość stanowiły organy wewnętrzne serca, jelita, trzustki, a także zatopione na wieki, niczym w bursztynie, jaszczurki, żaby, owady i niewielkich rozmiarów ryby.

Goście doktora Paschinskiego stąpali po puszystym dywanie perskim, którego pierwsza młodość przypadać mogła na czasy chłopięcych lat kanclerza Bismarcka.

Pod wpływem nacisku stóp z dywanu wzbijały się kugórze obłoczki kurzu.

Niemogę wyjść z podziwu nad urządzeniem pańskiego gabinetu, doktorze.

Zapewne wielu lat i niemałych starań wymagało kompletowanie tak imponujących zbiorów?

Paschinski skinął głową, nie widząc przy tym, na szczęście, wyrazu twarzy posterunkowego.

Arno Bochentin bowiem, po początkowym zdumieniu, nabierał coraz większej odrazy do miejsca, w którym się znalazł.

Wychowany był w tradycyjnym domu, gdzie schludność, czystość i skromność były największymi cnotami członków jego rodziny.

Natomiast Ignaza, który w pałacyku profesora antropologii kultury Willendorfa w Poczdamie widział zbiór używanych trumien, nic nie było w stanie zaskoczyć do końca.

Panie doktorze kontynuował Braun, byliśmy panu ogromnie wdzięczni, gdyby zechciał się pan z nami podzielić wiedzą dotyczącą ostatnich godzin życia Theodora Pratza.

Wie pan bowiem doskonale, że po wyjściu z wieczoru, którego gośćmi byliśmy obaj, fotograf został zamordowany.

Owszem, jestem świadom szczególności tamtego wieczoru, Paschinski ważył słowa i wypowiadał je wolno.

Proszę mnie dobrze zrozumieć, sama istota śmierci nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia.

Ponieważ jest pan do majestatu śmierci przyzwyczajony, pokiwał głową Ignaz.

Musi pan jednak przyjąć do wiadomości, że została popełniona zbrodnia.

Dopiero teraz doktor odłożył na wielki podłużny stół,któregoprzeznaczenia Braun wolał się nie domyślać, list z berlińskiego urzędu.

Stanąłnad policjantami i przyglądałwłosy, a potem chwycił w dłonie czarną jaksmoła brodę.

137.

Zbrodnia to już domena pana inspektora.

Przykro mi, nie mogę panu pomóc.

Naprawdę nic pan sobie nie przypomni?

Choćby jakiś okruczeństwo, zdarzenia, nieopatrznie wypowiedziane zdanie?

Milczące przeczenie Paschinskiego doprowadziło posterunkowego do irytacji, którą za wszelką cenę starał się powściągnąć.

Braun przeżywał to samo.

Daruję pan, doktorze, ale rzadko spotykam się z sytuacją, że ktoś o wysokim potencjale inteligencji, posiadający rozum analityczny i wielką praktykę w podobnych sprawach, właściwie odmawia pomocy organom śledczym w głos Ignaza wkradło się niechcący uczucie, które wolałby zachować dla siebie.

Widzi pan, inspektorze, jestem człowiekiem konkretnym.

Kiedy mam czyste sumienie i naprawdę nie wiem nic, co mogłoby pomóc śledztwie, mówię o tym uczciwie, aby nie marnować czasu policji.

W takim razie musi pan postawić się na moment w mojej sytuacji.

Rozmawiałem już z kilkoma osobami, które uczestniczyły w wieczorze u pani Neiss.

Każda z nich chętnie udzielała odpowiedzi, natomiast pan, jako jedyny, właściwie odmawia rozmowy na temat śmierci fotografa.

Ponieważ właśnie jestem osobą skrajnie praktyczną.

Braunowi nie pozostało nic innego, jak zasugerować doktorowi, że jego zachowanie może wzbudzić uzasadnione podejrzenia co do uczciwości intencji, a w konsekwencji Paschinski może znaleźć się w kręgu podejrzanych.

Doktor zachował stoicki wyraz twarzy.

Wstał jednak, podszedł do gabloty, wspiął się na niewysoki stolik i z nadgabloty zdjął grubą książkę oprawioną w brązową skórę.

Potem usiadł na swoim krześle, otworzył książkę gdzieś w środku i zaczął czytać, bezgłośnie poruszając ustami.

Policjanci popatrzyli na siebie.

Posterunkowy zamierzał już wstać, choć sam niewiedział, co dalej robić, ale inspektor powstrzymał go gestem dłoni.

Tymczasem Paschinski czytał dalej.

Wreszcie po paru długich minutach spojrzał na Brauna ciężkimi wzrokiem wyszeptał: 138

Skoro pan inspektor jest taki dociekliwy, pozostaje jedno wyjście.

Mogę?

Ignaz wziął podaną mu przez doktora książkę.

Posterunkowy Bochentini ciekawie wyciągnął szyję, tymczasem Braun z wrażenia niemal wypuścił tom z dłoni.

Oto miał przed sobą "Praktyczny podręcznik do przeprowadzania hipnozy"

autorstwa profesora Zygmunta Freuda.

Książka wydana została w Wiedniu zaledwie rok wcześniej.

Podręcznik wylądował zaraz w dłoni Bochentina, który, zapomniawszy o wstępie, jaki budziło w nim mieszkanie doktora, zaczął gorączkowo kartkować dzieło.

Jest pan pewien?

zapytał Ignaz.

Jak najzupełniej.

Niewszycy specjaliści wierzą panu Freudowi, ja sam traktuję jego metodę jako nowatorską ciekawostkę, natomiast mój znajomy, doktor Blumberg z Tybingi, przeprowadził interesujące doświadczenia, po których stał się entuzjastą wiedeńskiego psychiatry.

Skoro niemożę pomóc panu w konwencjonalny sposób, a jednak chciałbym, aby nie opuścił pan mojego gabinetu zawiedziony, pomijając niegodny szantaż, którego stałem się ofiarą, proszę o przeprowadzenie na mnie hipnozy.

Po wypowiedzeniu tak wielkiej liczby słów Paschinski opadł na krzesło.

Panie doktorze, ja nie mam żadnego doświadczenia w tego rodzaju praktykach uprzedził

Braun.

Tu nie potrzeba doświadczenia, od strony dwudziestej czwartej jest instrukcja, krok po kroku, jak dokonujesz hipnozy odparł Paschinski.

Prosiłbym o chwilę cierpliwości.

Wypowiadając ostatnie słowa, ciężko wstał z krzesła, podszedł do podłużnego stołu, na którego widok uprzedni policjantami targnęły dość przygnębiające uczucia, uważnie przypatrzył się powierzchni, przetarł ją rękawem, który zaraz powąchał, wreszcie ułożył się równo na plecach, tak jak to mają w zwyczaju leżeć nieboszczycy.

Proszę zaczynać, mamy niewiele czasu, na godzinę osiemną mam umówionego pacjenta.

No cóż westchnął inspektor i podszedł do stołu.

Krok zanim przystanął Amo Bochentín, który przetaił czołozroszone potem i miętosił w ustach niezapalónego papierosa.

Tymczasem Ignaz otworzył książkę na stronie dwudziestej czwartej zaczął przegłądać następane kartki.

~;~;

Patrzysz w jeden punkt.

Nie jest ciemny, nie jest jasny.

Nieza duży.

Nie za mały.

Z wolna powiększa się, toznów maleje, ale jest cały czas taki sam.

Patrzysz w ten punkt.

"A twoje powieki stają się coraz cięższe" przeczytałpo cichu posterunkowy i wzdrygnął się zobawy, że samzaśnie.

Atwoje powieki stają się coraz cięższe.

Twoje ciało staje się nieczułe i ciężkie, tak jak powieki.

Nie czujesz chłodu ani ciepła.

Nieczujesz własnego ciała, jest ci przyjemnie i błogo.

Wszystkie troski zniknęły, jesteś spokojny.

Jesteś senny.

Posterunkowy spojrział w górę, jakby chciał szukać tajemniczego punktu, lecz jego wzrok napotkał wyłupiaste oczy wypchanego puszczyka.

Policjant nie miał ochoty nadal szekontemplowania widoku ptaszyska i wrócił spojrzeniem do leżącego na wznak doktora.

Zasypiasz spokojnie, ale nie jest to sen.

Twój umysł jest wypoczęty, a pamięć doskonała, choć nie odczuwasz żadnych emocji.

Śpisz, lecz nie śpisz.

Nie śpisz.

Lecz śpisz.

Jest spokojnie, jest dobrze i błogo.

Zdziwienie Ignaza było wielkie, ponieważ zachowanie doktora było dokładnie takie, jakiego życzył sobie podręcznik profesora Freuda.

Paschinski oddychał nie za głęboko, nie za płytko, oczy miał półprzymknięte, na jego ustach malowała się ledwie dostrzegalny uśmiech.

Żaden ruch nie przeszkadzała ciemu w zhipnotyzowanym byciu zhipnotyzowanym.

Jakieś ważne pytanie zamarło na ustach posterunkowego, którego Braun uspokoił ostrym gestem dłoni.

Jesteś teraz w salonie Wilfridy Neiss.

Jestem wyszeptał leżący.

Brauna i Bochentina przeszył dreszcz.

Odtąd Ignaz zdany był wyłącznie na siebie.

Podręcznik miał się przydać dopiero przy wybudzaniu doktora.

140

Są tam już wszyscy goście.

Są..

Jest i ona.

Kto?

Wilfrida.

Mądra i dobra.

Lubisz panią Wilfridę?

głos Ignaza zachował bezbarwny odcień, ale Bóg jeden wie, ile policjanta kosztowała ta obojętność.

Bardzo.

Zaprasza mnie co tydzień na smaczną kawę i kruche ciasteczka.

Rozmawiacie wtedy?

Rozmawiamy.

Dużo rozmawiacie?

Dużo.

O czym?

O praktyce lekarskiej, o sztuce, o teologii.

Jestem wielbicielem teologii.

Chciałbyś, żeby pani Neiss cię przytuliła?

zaryzykował Braun.

Chciałbym w beznamiętym głosie Paschinskiego pojawiła się żywsza nuta.

Pani Neiss wie o twoim marzeniu?

Nie wie.

A czy wie ktoś inny?

Theodor Pratz.

Posterunkowy wypuścił z ust papierosa i sięgnął do kieszeni mundurupo chusteczkę.

Ignaz zazdrościł Bochentinowi, że tamten ma luksus bycia jedynie widzem.

Jak się dowiedział?

Poprosiłem go kiedyś o zdjęcie.

Wiedziałem, że ma kalodionową kliszę.

Portret Wilfridy.

Zrobił dla ciebie odbitkę?

Zrobił.

Jest bardzo dobrym człowiekiem.

Nie był zdziwiony?

Pani Neiss mogłaby być twoją matką.

Był.

Ale znamy się długo.

Jest bardzo dobrym człowiekiem.

Fotografowie stykają się z różnymi życzeniami.

Nie mówił nigdy, że powie pani Neiss o twojej prośbie?

141.

Posterunkowy pomyślał z dumą, że zadałby właśnie takie pytanie.

Mówił, ale uśmiechał się wtedy, widać było, że żartował.

A...

gdyby powiedział?

Nie powiedział.

Nieskrzywdziłby mnie.

Wiedział, że zawiódłby moje zaufanie.

To byłoby straszne.

pierś Paschinskiego zaczęła falować.

Pani Wilfrida wie, że bardzo ją lubisz?

Wie.

Ale nie wie, jak bardzo.

Nigdy jej tego nie powiem.

Rozumiem.

Więc nie mów Ignaz bał się, że doktor wybudzisz się na skutek silnej emocji, i postanowił przejść do zasadniczego tematu.

Czy wiesz, kto zrobił krzywdę Theodorowi Pratzowi?

Niewiem.

A czy ktoś mógłby mieć złe zamiary w stosunku do fotografa?

Nie, przecież pan Pratz jest dobrym człowiekiem.

Ale nie wszyscy są dobrzy.

Ktoś go skrzywdził.

Źle się stało.

PanPratz był dla mnie jak ojciec.

Nie powiedział pani Wilfridzie, a przecież wiedział.

I nic nie widziałeś?

Absolutnie nic?

Patrzyłem na moją Wilfridę.

Nikt nie wie, nikt się nie domyśla, więc mogłem patrzeć i patrzeć.

Nawet więcej niż wtedy, kiedy jestem z nią samna sam.

Bo wtedy muszę uważać.

A tam?

Kto patrzył nadoktora Paschinskiego?

Byłem jak w niebie.

"Matko Boska" bezgłośnie wyszeptał posterunkowy,któremu oprócz zamięłowania do czystości i ładu wobejściuwpojono również poczucie porządku w odniesieniu do uczuć.

Poczucie, któremu w jego pojęciu doktor sprzeniewierzył się w zupełności.

Moja Wilfrida.

rozmarzył się Paschinski, a Ignazpo paru kolejnych próbachnawiazania do sprawcy morderstwa doszedł do przekonania, że już nic nie wyciągnie z za142

kochanego doktora.

"Hipnozajest stanowczo wyrafinowanąsztuką.

Łatwiej ją rozpocząć niż kontynuować aż do pomyślnego finału" pomyślał i postanowił rozpocząć wybudzanie pacjenta.

W ustachposterunkowego ponownie zagościłniezapalony papieros.

Braun sięgnął po podręcznik.

Czy eksperyment zadowolił pana, inspektorze?

zapytał Paschinski, przecierając oczy.

Siadał właśnie na swoim ulubionymkrześle.

W zupełności, panie doktorze zapewnił Braun, wywołując tym samym zdumienie posterunkowego.

Czy.

czy powiedziałem coś niestosownego?

nieśmiało zapytał doktor.

Czy z kolei moje wypowiedzi były jasnej logiczne?

Nadspodziewanie jasne i nadwyrazlogiczne uśmiechnął się Ignaz.

Zapewniam panarównież, że nie było w nich niczego niewłaściwego.

Ciesząc się Paschinski, zamiast odetchnąć, zaczął wiercić się i nerwowo spojrzął na zegar wiszący w zakurzonej kątce.

Prawda, pan doktor ma wizytę o godzinie osiemnastej.

Właśnie.

Byłbym zobowiązany, mój pacjent również.

Kiedy policjanci znaleźli się na świeżym powietrzu, obaj, jak na komendę, zrobili głęboki wdech.

Panie inspektorze zaczął Bochentin nie myślałem, że praca funkcjonariusza może dostarczyć takich przeżyć.

A wydawało mi się, że jest pan doświadczonym policjantem uśmiechnął się Ignaz.

Takie tam wejherowskie przestępstwa.

I niewiedział pan dotąd żadnych dziwaków?

Takich jak doktor Paschinski jeszcze nie poważnie odpowiedział Arno Bochentin.

Niespodziewane doznania są wpisane w nas za wód, panie posterunkowy.

143.

Wejherowski policjant zapalił papierosa i mocno się zaciągnął.

Żeby chociaż był jakiś pożytek z tego przebywania w domu, gdzie wszystko lepi się od brudu!

Mieliśmy okazję zapoznać się z pragnieniami człowieka, którego ja nazwałbym prosto: wariat.

Widzi pan, Bochentin, może doktor Paschinski jest, jak pan to ujął, wariatem, ale on sam i u pana, i u mnie znalazłby parę drobiazgów pozwalających mu na wysnucie podobnych wniosków.

Proszę taknie żartować posterunkowy prawie się obraził.

A mimowszystko ja odniosłem pewną korzyść.

Papieros Bochentina zmienił się tymczasem w niedopałek i wylądował na bruku.

Posterunkowy uśmiechnął się

szelmowsko.

Pewnie, pan inspektor po raz pierwszy przeprowadził eksperyment z hipnozą!

Nie o tym myślę głośno Ignaza był tajemniczy.

A czym?

Doktor Paschinski zasugerował nam, nie chcący oczywiście, że nieboszczyk Pratz, z racji swojego zawodu, mógł wiedzieć wiele.

Więcej niż na przykład rzeźniczy piekarz.

I że ta wiedza mogła go zgubić.

Czyli że Paschinski jednak miał powód, żeby zabić, ale sam przed sobą boi się przyznać do morderstwa?

Nie mówiłem o doktorze, choć i on nadal znajdować się będzie w kręgu podejrzanych.

Może ktoś inny z grona gości?

Będę musiał pojechać do siedziby rejencji już jutro.

Pytanie o cel podróży do Gdańska zamarłona ustach Bochentina.

Posterunkowy wiedział od Antona Myszka, z czasów śledztwa dotyczącego Johanna Wendersa, że wszelkie tego typu pytania pozostają bez odpowiedzi.

A ja, panie inspektorze, skoro mam na dzisiaj wolne, muszę się napić.

Chociażby dla odkażenia organizmu.

Rozumie pan, ten dom.

MĘSKA ROZMOWA W TOWARZYSTWIE ŚWIADKA

Wracając z siedziby gdańskiej policji, Ignaz Braun zatrzymał się w Sopocie.

Poprzedniego dnia przeprowadził pierwszy w swoim życiu eksperyment hipnotyczny.

Od tamtej chwili minęły dokładnie dwadzieścia cztery godziny.

Właśnie wysiadł z pociągu kolei żelaznej i niecierpliwie rozglądał się po peronie.

Inspektorze, halo!

Panie inspektorze!

tubalny głos tuż za Braunem należał do korpulentnego, siwego człowieka z bujnym, lekko podkręconym wąsem.

Jakże się cieszę!

Ignaz odwzajemnił entuzjazm profesora Puppego.

Zaczynam doceniać walory telegrafu.

Dziś rano wysłał pan wiadomość do hotelu i proszę, spotkaliśmy się!

Ogromnie pana przepraszam, profesorze, że przeszkadzam w wypoczynku.

Wielka jest jednak moja radość, że danymi jest spotkać berlińskiego sąsiada w tak odległej części kraju.

Dłonie Ignaza cały czas potrząsane były przez entuzjastycznie nastawionego anatomopatologa.

Spora w tym, mówiąc przewrotnie, zasługa mojego siostrzeńca.

Właśnie!

Wieczne utrapienie z tym Sigmundem.

Pan von Mach jest przemiłym młodym człowiekiem, proszę go źle nie oceniać, pociągnij się, zapewnił Braun.

145.

Prawdą jest jednak, że ominął zakaz opuszczania Wejherowa, który wydano w związku ze sprawą morderstwa.

Na twarzy Puppego pojawił się cień.

Sława berlińskiej medycyny była na swój sposób dumna z siostrzeńca, w równym jednak stopniu, co dumy, przysparzającego jej trosk.

Profesor sfinansował studia młodego człowieka i częściowego utrzymywał, a Sigmund miał niemałą potrzeby.

Ubierał się modnie, w renomowanych magazynach, musiał zasiadać w najlepszych łóżach podczas przedstawień, a parę miesięcy temu świętek jego znajomych obiegnęła wiadomość, że nawiązał

znajomość z młodziutką baletnicą, panną Bertą Gensfleisch, osobą płochą i cokolwiek rozrzutną.

Widzi pan, inspektorze, mój siostrzeniec jest jeszcze bardzo młody, nie zawsze myśli rozsądnie, a prawdę mówiąc, nie zawsze w ogóle myśli ostatnie słowa profesora Ignaz usłyszał już po wyjściu z dworca.

Mężczyźni kierowali się teraz w lewo, a przed nimi rozpościerał się widok na targowisko próżności.

Wczesny wieczór był pogodny i ciepły, więc cały Sopot wyległ na ulice, które latem stawały się wielkim salonem.

Damy ubrane były modnie, choć od zasobności pugilaresów mężów, ojców i kochanków zależało, na ile w ślad za modą podążała jakoś sukni, bluzek, parasolek i kapeluszy.

Mężczyźni natomiast z ulgą zrzucili garnitury przewidziane na chłodniejsze pory roku i odziani byli przeważnie w kremowe, lekkie ubrania, barwne krawaty i słomkowe kapelusze o nieco szerszych niż zazwyczaj rondach.

Dookoła hałasowały dzieci w marynarskich ubrankach, a cały tłum kierował się głównie w stronę molo.

Tam też podążyli inspektor Braun i profesor Puppe.

Uważa pan, drogi przyjacielu, że mój Sigmund mógłby w jakiś sposób zamieszany w śmierć wejherowskiego fotografa?

z lękiem zapytał starszy mężczyzna.

Panie profesorze, ależ ja nic takiego nie powiedziałem.

Chciałem tylko, a właściwie jestem zmuszony, przesłuchać każdego, kto był świadkiem ostatnich godzin zamordowanego.

Rutynowa procedura.

146

Oczywiście zgodził się profesor, gdy skręcili w stronę kawiarni Am See, gdzie mieli zarezerwowany stół.

A jednak Sigmund zachował się nierozsądnie.

Gdyby spokojnie czekał na rozmowę ze mną, prawdopodobnie przybrałaby ona dla niego formalny charakter.

W takiej jednak sytuacji.

Mam pewne podejrzenia, graniczące z pewnością, że wśród uczestników spotkania, na które przybył fotograf, czaił się zabójca.

Mój Boże!

Właśnie.

Czy zna pan profesor motywy, jakimi kierował się Sigmund, wyjeżdżając z Wejherowa?

Może coś widział, może lęka się o swoje życie?

Na odpowiedź Ignaz musiał poczekać, ponieważ kelner, ubrany w cokolwiek pretensjonalny frak, wskazał mężczyznom stół tuż przy ulicy, dzięki czemu obaj mogli wypatrywać rychłego nadejścia młodzieńca.

Niestety, przyjacielu Puppe bezradnie rozłożył ręce dopiero dzisiaj, z pańskiego telegramu, dowiedzieliśmy się o całej sprawie, a Sigmund usiłuje być samodzielny i zazwyczaj nie informuje mnie, co zamierza robić w najbliższej, a tym bardziej dalszej przyszłości.

Niemniej wie pan, gdzie się zatrzymał w Sopocie, skorowezwał go pan tutaj.

Oczywiście, tak daleko jego samodzielność nie sięga.

Zatrzymał się w moim apartamencie, więc wystarczyło, abym około południa powiedział mu o pana przyjeździe.

Nie oponował przeciwko spotkaniu?

uśmiechnął się Braun.

Był nieco zmieszany, ale bez wahania przystał na nie.

Prawdę mówiąc, zmuszony jest, czy tego chce czy też nie, słuchać mnie w niektórych sprawach, ponieważ zadłużył się na, bagatela, tysiąc sto czterdzieści siedem marek tylko ja mogę go poratować.

Sigmund, Sigmund.

Puppe westchnął głęboko, tymczasem kelner podał gościom kartkę kaw i deserów, po czym ulotnił się niedostrzegalnie.

Zanim Ignaz zdążył zadać profesorowi pytanie,

147.

nad stolikiem zawisł cień.

Mężczyźni podnieśli głowy i ich oczom ukazał się niemal skulony Sigmund von Mach.

Młody człowiek sprawiał wrażenie skruszzonego.

Ubrany był, jak na jego zwyczaje, skromnie.

Beżowy garnitur zdobił jedynie morelowy krawat zwpiętą weń perłą i cienka dewizka zegarka.

Z dłoni do dłoni nerwowo przechodził kapelusz, którego rondo zdawało się nieco wymięte.

Panie inspektorze ukłonił się niemal usłużnie.

Wuju.

Jesteś.

Dobrze westchnął profesor.

Sigmund zawałał się.

Nie wiedział, czy może usiąść, Braun bowiem zrobił groźną minę, patrząc przy tym prostw oczy winowajcy.

Wreszcie uznał, że kara była, jak na razie, wystarczająca i zrobił oszczędny ruch dłonią, wskazując von Machowi miejsce przy stoliku.

Dziękuję najprzejmiej wyszeptał młody człowiek i usiadł nabrzeżu krzesła.

Góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem, owszem kostycznym tonem zaczął Ignaz.

Myślałem już, że nie uda mi się z tobą porozmawiać.

Szczęściem, profesor był tak miły.

Dalszy ciąg już znasz.

Przepraszam pana inspektora.

Minęło kilka dni, pan inspektor nie dał żadnego sygnału, nie przyszło też zawiadomienie z policji, sądziłem wobec tego, że moja obecność w Wejherowie nie jest konieczna.

Do licha!

rozłościł się stryj przecież nakazpozostania w mieście nie został odwołany i musiałeś zdawać sobie sprawę, że narażasz mnie na śmieszność, a siebie napoważne kłopoty.

Pan profesor ma, jak zwykle, słusność, Sigmundzie

głos Brauna wyrażał najszczerze zatroskanie.

Gdybym pomyślał wcześniej, ale niestety.

Dalszą rozmowę przerwało ponowne pojawienie siękelnera.

Nie był już tak dyskretny.

Musiał zaznaczyć swoją obecność,przyjmując zamówienie.

Pytająco spojrział teżna von Macha, ale ten bez zagładaniado karty poprosił jedynie o dużą filiżankę mocnej kawy z kardamonem.

Kel148

ner, zgorszony brakiem zainteresowania kartą deserów zestrony nowoprzybyłego, odpłynął

ku wnętrzu AmSee.

Panie inspektorze odezwał się profesor Puppe

jak się domyślam,powinienem zostawić was samych,tymczasem nieopatrznie zamówiłem torcik waniliowy.

Przyrzekam jednak, że szybkiego zjem, zwłaszcza że to mój ulubiony, i pospieszę na molo.

Wieczór taki ładny!

Ależ panie profesorze, pana obecność w niczymnamnieprzeszkodzi.

Sam pan wie, ile razy zasięgałem pańskiej konsultacji, znamy sięnie od dziś,proszę potraktowaćto spotkaniejako okazję w pewnym sensie towarzyską.

Choć będzie mi trudnozachować się spokojnie przytym lekkoduchu Puppe wykonał wielkim palcem oskarżycielski gest w kierunku siostrzeńca.

Niemniej serdecznie dziękuję, będzie mi miło przebywać w pańskimtowarzystwie.

Cała przyjemność po mojej stronie i obiecuję, żeprzed panem pojawi się jeszcze jeden torcik waniliowy,oczywiście namój koszt.

Profesor z elegancjąskłonił siwą głowę przed berlińskim krajanem.

Tymczasem Sigmund przysłuchiwał się tym dwornościom z roztargnieniem.

Kapelusz, który dotąd leżał na brzegu stołu, znów trafił w ręce właściciela i jego stan ulegał teraz systematycznemu pogorszeniu.

Sigmundzie Ignaz zwrócił się do winowajcy

kiedy przyjechałeś do Sopotu?

Wczoraj o świcie.

W istocie, w istocie mruknął profesor.

Czy twój przyjazd miał jakiś konkretny cel?

Nie chciałbym wypowiadać się na ten temat.

Spojrzenie Brauna strwożyło von Macha, jednak jeszcze chwilę walczył ze sobą.

Wolałby już, żeby Ignaz zaczął go straszyć konsekwencjami karnymi, natomiast zimnym u węża wzrok doprowadzał go do rozpacz.

Wreszcie przemógł się.

Do Sopotu przyjechała Berta.

Berta Gensfleisch, masię rozumieć.

149.

Wielkie nieba!

profesor wznosił ręce do niebiosniczym Żyd przed Ścianą Płaczu.

Dlaczego kłamiesz?

głos Ignaza był gadzi, tak samo jak jego spojrzenie.

Mówię prawdę!

niemal krzyknął Sigmund.

Nie, mój drogi.

Twoja ulubienica przebywa aktualnie w Baden-Baden.

Sam mówiłeś feralnego wieczoru, żebyło ci łatwiej przyjechać do Wejherowa, ponieważ panna Gensfleisch opuściła stolicę, aby razem z całą obsadą teatralną występować w uzdrowisku przez lato.

A zresztą, drogi chłopcze nacisk Brauna na "drogichłopcze" był jak obelga znam cię nie oddziś.

Jeśli masz w pobliżu osobę płci pięknej, na której ci zależy, masz na sobie najmodniejszy garnitur i bardziej wyrazisty krawat.

Choć, jak namój gust, twoje krawaty są cokolwiek zbyt krzykliwe.

Noi dewizka.

Twój zegarek zaznacza wtedy swoją obecność grubą złotą dewizką.

Elegancja wyzywająca przestaje być elegancją.

Panie inspektorze, pan jest okropny słowa von Macha wypowiedziane były w taki sposób, aby Ignaz zrozumiał je jako jednoznaczny komplement.

Braun ucieszył się w duchu i przypomniał sobie podobną pochwałę, którą usłyszał z ust nadkomisarza Eduarda von Labuscha na letnim obozie szkoły policyjnej w Recklinghausen.

Nastrój inspektora jeszcze poprawił nadchodzący kelner.

Sigmund, tak jak sobie życzył, otrzymał mocną kawę z kardamonem, przed profesorem stanął

wysoki kawałek tortu waniliowego i mała szwartzera, natomiast Ignaz, aby uczcić przyzwyczajenia kulinarne swojej Bernadety, uszczknął od razu kawałek sufletu, popijając go migdałowym

benediktinerem.

Obaj mężczyźni, jakby od doby nie mieli nic w ustach, łapczywie rozkoszowali się deserami, tymczasem Sigmund wychylił od razu pół filiżanki parzącej kawy.

Siedząca obok nich korpulentna dama, która z pewnością podobałaby się komisarzowi Renschowi, jej biust bo 150

wiem był szalenie imponujący, na głos rzuciła do swojego rozmówcy, drobniutkiego łysiejącego człowieka, uwagę na temat niestosownych manier tak często obserwowanych u gości z zapadłej prowincji: "Łapczywe jedzenie jest takie pospolite!

".

A zresztą, mój drogi, musiałbym być ślepy, a ze mną wszyscy, z którymi rozmawiałem, żeby nie zauważyć, jak patrzysz na Eleonorę Gephard padło stwierdzenie z nadmierną pewnością z każdą chwilą sufleru.

Filiżanka z kawą zamarła w dłoni Sigmunda.

Widzisz, Berta Gensfleisch ma być może ładne nogi i potrafi mówić miłe słówka, a jej towarzystwo daje ci, od biedy, nieco radości, ale, przy całym szacunku, nijak jej do panny Eleonory.

Wreszcie mądrzejesz wtrącił wuj.

Czy to abystateczna panna?

Jak najbardziej odparł Ignaz.

Ładna i rozsądna.

Życzyłbym sobie, żeby odwzajemniła uczucie tego płóczego młodzieńca, byłoby to z pożytkiem dla ludzkości, tymczasem powiedz mi, drogi chłopcze, jaki był rzeczywisty powód twojej ucieczki?

W filiżance Sigmunda pokazało się dno.

Nie było jednego powodu.

Były dwa.

Ale łączyły się ze sobą.

A oba wymagały pilnego wyjazdu do Sopotu.

Oczywiście wiedziałem, że nie mogę opuszczać Wejherowa.

Niemogłem jednak zostać.

Proszę o wybaczenie.

Ty bredzisz.

Masz tego świadomość?

Mów jaśniej, błagam cię profesor był zirytowany i marzył tylko o jednym: żeby powody, które miał wyjawić Sigmund, okazały się naprawdę poważne.

Miał jednak co do tego wątpliwości.

Młodyczłowiek postanowił mówić i widać było, że przerwanie milczenia sprawia mu ulgę.

Tak, wiedział, że powinien pozostać w miasteczku, powtórzył to raz jeszcze.

Miał jednak dwie przypadłości.

Jedną dawną i drugą całkiem nową.

Tą pierwszą było życie ponad stan i notoryczny brak pieniędzy na utrzymanie statusu materialnego godnego berlińskiego bywalca.

Miał jednak dość chodzenia do wuja

151.

po prośbie.

Odezwała się w nim duma, ale też z wolna rodziły się w dandysie wyrzuty sumienia, że wykorzystuje dobroć profesora.

Postanowił, skoro Sopot był na wyciągnięciemieręki, zaryzykować na wyścigach.

Otóż kilka dni przed tamtymwieczorem u pani Neiss rozmawiałz Eleonorą na temat koni, których była wielbicielką, niejednokrotniepojawiała się nawet na sopockim hipodromie.

Znała sięna koniach, miała jednak tę słabość, że jak na kobietę przystało, w swoich zamiłowaniachkierowała się sentymentalizmem i miała swoją ulubioną jabłkowitzą klacz Nefretete, na której jeździł Laszlo Horevaj, przybyły aż z Budapesztu.

Za dżokejem ciągnęła się sława znakomitego jeźdźca, natomiast klacz, po pierwszym znakomitym sezonie, przedzwalata pod rząd niespełniała oczekiwań Eleonory.

Mój plan był prosty.

W ciągu jednego, dwóch dni należało upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Przestań!

Nie, mów dalej!

wykrzyknął profesorPuppe, a dama zewspaniałymbiustem azzakrzuszyła sięwinem, które właśnie piła.

Postanowiłem pomóc Nefretete.

Wtedy, u pani Neiss, mówiłem bardzo przekonująco, że klacz wraca dowielkiejformy, że jako fachowiec mogę przysiąc, iż ulubienicapanny wygra najbliższy bieg.

Wtedy poraz pierwszy, i jakna razie ostatni, Eleonora spojrziała na mnie z życzliwością.

Jak mógłbym ją zawieść?

Rzeczywiście, sprawa zapowiadasię niezwykle honorowo z przekazem wtrąciłIgnaz Słuchamy, słuchamy.

Dwaj poważni rywale Nefretete byli akurat po drobnychkontuzjach i nikt nie oczekiwał po nich zbyt dobrego startu, natomiast prawdopodobnie Nefretete minimalnieprzegrałaby z nimi.

Wystarczyło jednak, że dżokejzostanęprzekupieni, a gdy ich konie przegrają, tym razem niktz widzów nie przejmie się niepowodzeniem.

Pozostałe trzykonie, Anselmus, Urania i Ritter, powinny raczej być w zasięgu możliwości Nefretete.

Jadącym na nich dżokejom należało dać odpowiednio mniejsze łapówki.

Na wszelki wypadek.

152

A skąd miałeś na te łapówki, łotrze?

na obliczu Puppego tym razem malowała się wściekłość.

Ależ wuju, obiecałem im, że należność otrzymają tuż po wyścigu.

...kiedy już wygra Nefretete, na którą nie postawi właściwie nikt oprócz pewnego przybysza z Berlina, zgarniającego ten sposób całą pulę powiedział Braun.

A czy pomysłnie był genialny w swej prostocie?

Dżokeje będą zadowoleni, widzowie nie dostaną palpacji, bo wynik jest prawdopodobny, ja wzbogacę się i odciążę wuj, a co najważniejsze, zaimponuję Eleonorze, na czym szczególnie mi zależy.

Czy pan zauważył dołeczki w jej policzkach?

Niewziąłeś jednak pod uwagę, że nie wszyscy dżokeje, o ile którykolwiek, dadzą się przekupić powiedział Puppe.

Sigmund skromnie spuścił głowę.

Niech wuj zapyta kogoś, który koń wygrał dziś wyścig.

Przechodzący właśnie kelner, zapytany przez profesora, nie znał odpowiedzi.

Poprosił jednak o chwilę cierpliwości, udał się do wewnątrz, zaraz też wrócił i uroczyście, jakby anonsował przybycie księżnej von Hohenstauff, ogłosił: Nefretete.

Stary profesor jęknął, a Ignaz zadumał się nad kondycją moralną sopockich dżokejów i samego Sigmunda, chociaż w duchu przyznał, że zauroczenie Eleonorą stanowi pewien czynnik łagodzący.

I coteraz zamierzasz?

Panie inspektorze, sam nie wiem.

Przed dwiema godzinami byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, a leteraz, kiedy wszystko się wydało.

Myślałem, że stać mnie będzie na nowe garnitury, na wynajęcie lepszej garsoniery, ale przede

wszystkim na otwarcie korzystnej lokatyw Dresdner Banku, aby za rok, dwa założyć własną praktykę adwokacką.

Myślę poważnie o Eleonorze i gdyby mnie zechciała, zapewniłbym jej dzięki Nefretete stabilną przył53.

szłość.

A przy tym wróciłbym jutro do Wejherowa i mógłbym zaimponować jej jako wytrawny znawca koni.

Braun, spojrzawszy na profesora Puppego, parsknął śmiechem.

Miał świadomość, że jego reakcja nie była zbyt wychowawcza, ale nie mógł się powstrzymać.

Niestety, nic w życiu nie jest tak proste, jak się wydaje wudziestoparoletniemu mieszkańcowi stolicy.

Jednomogęci obiecać Ignaz teatralnie zawiesił głos że jeszcze dziś wrócisz do Wejherowa.

Jesteś potrzebny namiejsu, a zresztą znajdziesz się blisko ukochanej, co w jakimś stopniu, ufam, zrekompensuje ci brak możliwości dalszego uczestnictwa w wyścigach.

W której to dziedzinie stałeś się prawdziwym ekspertem.

Tak jest grzecznie przytaknął von Mach.

Zastanawia mnie tylko kontynuował Braun czy można w dalszej perspektywie wierzyć komuś, kto dopuścił się, w rzeczy samej, przestępstwa kryminalnego.

Widzisz, ja będę musiał wziąć twoje zachowanie pod uwagę podczas kolejnych etapów śledztwa.

Młody człowiek sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

Niepewność jest zazwyczaj gorsza od wyroku, a Sigmund, znając niekonwencjonalne obyczaje Ignaza, spodziewał się najgorszego, a już na pewno wielu niespodzianek.

Korpulentna dama i jej towarzysz, po uregulowaniu należności, opuszczali właśnie sąsiedni stół.

Braun raz jeszcze pożałował, że niema w pobliżu komisarza Renscha, któremu widok stojącej w pełnej krasie rozłożystej kobiety dostarczyłby wielu wzruszeń.

Posłuchaj, początkujący przestępco nate słowo profesor wzdrygnął się, ale nie śmiał zaprotestować.

Trudno było nie zgodzić się ze słowami inspektora przed nami, bo raz pojedziemy do Wejherowa, niezbyt długą drogą.

Jednakporozmawiamy sobie szczerze.

Tak szczerze, że bardziej już się nie da.

Twój wuj z pewnością ucieszy się na wieść, że dajęci minimalną, bardzo minimalną szansę.

W dodatku nie tylko od ciebie zależeć będzie, czy ją wykorzystasz.

Zależć to będzie od mojego widzenia, od złego

154

lub dobrego humoru.

Nie będziesz pewny następnej godziny i tak aż do zakończenia śledztwa.

Jeśli przypadkiem wstanę rano z łóżka lewą nogą, marny twój los.

Zrozumiałeś?

Tak.

Nie, nic nie rozumiałeś, bo nie wiesz, co cię czeka.

Ale nie jest mi cię żal, zasłużyłeś na Tempelhof.

Chociaż, z drugiej strony, może byłoby to dla ciebie wygodniejsze rozwiązanie?

Stary profesor uśmiechał się teraz pod wąsem, ale tak, aby siostrzeniec, broń Boże, nie zauważył jego poprawiającego się nastroju.

Wiedział, że Braun postanowił naprawdę dać szansę siostrzeńcowi, to już było wiele.

A jeśli lekkomyślnego młodzieńca spotka podczas tego osobliwego czyśćca wiele przykrości (Puppe wiedział, że spotka), tym lepiej.

Sigmund zasłużył przecież na wyrok więzienia.

Panie profesorze, wybaczy pan moje zachowanie, ale w kontaktach z przestępcami zwykłem stosować środki adekwatne do okoliczności.

Jasna sprawa z groźną miną odpowiedział Puppe.

A skoro mamy do czynienia z przestępcą, zapytam go, na rozgrzewkę, czy zabił Theodora Pracza.

Sigmund przełknął gorzką pigułkę w postaci "przestępcy" i odpowiedział, na ile było to możliwe, spokojnie, choć niezbyt wyczerpująco:

Nie.

W POCIĄGU KOLEI ŻELAZNE)

Jeszcze tego samego wieczoru dwaj mężczyźni usadowili się wygodnie w pustym przedziale pociągu kolei żelaznej.

Z tym, że określenie "wygodnie" należało wzięć cudzysłów.

Ignaz Braun usiadł przy czyściutkim oknie, założył nogę na nogę, na stoliku obok położył batonik o smaku karmelowym z orzechowym nadzieniem i najnowszy numer "Berliner Beobachter", tymczasem Sigmund von Mach, mimo wolnych pozostałych pięciu miejsc, zmuszony był stać przy drzwiach, wprawdzie nie na baczność, niemniej, jak poinstruował go inspektor, z zachowaniem norm przyjętych za oczywiste w kulturalnym towarzystwie.

Pięć minut po tym, jak pociąg ruszył ze stacji Sopot, Sigmund, który spojrzał za siebie, wydał coś na kształt okrzyku zdziwienia.

W korytarzu ukazał się bowiem we własnej osobie Georg Class.

Wysoka, chuda sylwetka młodego pastora zbliżała się z wolna i bez wyraźnego celu w stronę przedziału zajmowanego przez berlińczyków.

Panie inspektorze zawołał zaafierowany młodzieniec pastor Class tu jest.

Który?

zapytał Ignaz, wstając szybko.

Georg!

156

Odsuń się!

zawołał Braun i zanim Sigmund zdążył zrobić miejsce, bezceremonialnie odepchnął go, wychodząc na zewnątrz przedziału.

Pan inspektor Braun!

zdziwił się duchowny.

Pastorze!

Cóż za miła niespodzianka!

Ale, ale, miał pan wracać z Królewca?

W rzeczy samej, powracamstamtąd, z tym że trasamojegopociągu akurat omija Wejherowoi musiałemdojechać aż do Gdańska, aby tam złapać połączenie do domu.

Zadziwiająco, że dane nam było spotkaćsięw takichokolicznościach zauważył Braun a skoro tak, zapraszampana jak najserdeczniej do naszego przedziału, jeżelioczywiście ma pan ochotę i nie ma żadnych zobowiązań towarzyskich.

Pastor ochoczoskiął głową.

Oczywiście, że nie mam.

Nie minęło kilka minut i Georg Class siedział już w przedziale obok Brauna i von Macha.

Ignaz ledwie dostrzegalnym ruchem udzielił Sigmundowi dyspensy i młody człowiekz ulgą usiadł naprzeciw pastora.

Uwagę inspektora wzbudził bagaż podróżny nowo przybyłego.

Składał się z jednej niewielkich rozmiarów wyświechtanej torby, która mogłaby uchodzić za wyposażeniezbyt zamożnego pracownika gazowni.

Marynarka ispodnieGeorga doskonale korespondowały z bagażem spodnierzęły zdefasonowanymkantem i nie wyglądały zbyt świeżo, natomiast marynarka w okolicy prawej kieszenimiałazacerowane polewielkości centymetra kwadratowego, poza tym jejkrój wskazywał, że przedtem musiała należećdo starszego zpastorów, w dodatku w czasach, kiedyGeorgnie myślał jeszcze o noszeniu marynarek.

Żółta cera i zapadnięte policzki świadczyły o tym, że młody pastor z taką samą nonszalancją, jak ubiór, traktujerównieżodżywianie.

W dodatku binokle duchownego były rozpaczliwie przechylone w dółz prawej strony, a mężczyzna poprawiał ichdruciki z maniakałną częstotliwością.

Ignaz, uważnie taksując wygląd Georga i wysnuwając z niego wnioski co do cech charakterologicznych współpasażera, nie mógł jednak nie zwrócić uwagi na jego oczy.

Były dziecięce i naiwnie dobre.

Class z życzliwością patrzyła rozmówców, wyraźnieszła go perspektywa, krótkiejco prawda, podróży w towarzystwie obumęzczyzn.

Tymczasem Braun zwrócił się do von Macha głosem tak słodkim, na jaki tylko potrafił się zdobyć:

Drogi Sigmundzie, wieczór taki ciepły, w pociągu od czuwa się temperaturę z zewnątrz, czy z łaski swojej mógłbyś przynieść nam z wagonu restauracyjnego po szklaneczkę lemoniady?

Byłbym wielce zobowiązany.

Tak jest!

nico bardziej ochoczo niż wypadało von Mach zerwał się na równe nogi i już po chwili w przedziale siedzieli tylko inspektor i pastor.

Jak miewa się pańska praca doktorska?

z życzliwością zapytał Ignaz.

Bogu dzięki, dzieło posuwa się do przodu.

Seminarium u profesora Wessela jest prawdziwym wyzwaniem, ogrom źródeł, precyzja, dbałość o stronę techniczną, rozumie pan, ale też satysfakcja, jeśli uda mi się zdobyć tytuł, będzie nieporównanie większa, niż gdybym był uczniem jakiegoś podrzędnego teologa, który stara się bez zbytej pasji dotrzeć do emerytury.

Ignaz zgodził się z takim podejściem.

Zapytał Georga o temat pracy.

Pastor wyjaśnił, że od najmłodszych lat interesował go "Stary Testament".

"Pierwsza księga Machabejska" była tym, co zafrapowało go szczególnie.

Walka, powstanie, ziemski strona istnienia Izraela, w doskonałej koegzystencji z planami Bożymi, oto co miało stać się jego życiową pasją.

I stało się, a profesor Wessel, mimo zewnętrznej oschłości, prezentowanej dla celów pedagogicznych, wyraźnie cenił młodego zapaleńca, czego dowodził Georgowi niejednokrotnie.

Wymagając przy tym dwójnasób.

Jeszcze jakieś pół roku i wrócę do Wejherowa z tytułem doktora teologii, przynajmniej mam taką nadzieję rozmarzył się duchowny.

158

Zaiste, wspaniała wiadomość.

Mam jednak do pana parę pytań dotyczących kwestii znacznie mniej przyjemnej i przykro mi, że brutalnie zmieniam temat.

Ależ ja jestem przygotowany na rozmowę z panem komisarzem pastor ze zrozumieniem pokiwał głową.

Przecież już wtedy, gdy starałem się ukomisarza Renscha o zgodę na opuszczenie miasta mimo wcześniejszego wyraźnego zakazu, pan Rudiger zapewnił mnie, że przesłuchanie i tak jest nieuniknione.

Dlaczego resztą miałbym być traktowany inaczej niż wszyscy?

Nawet pan nie wie, pastorze, jak raduje mnie takie podejście szczerze ucieszył się Braun.

Ileż raz musiałem tłumaczyć rozmaitym osobom, także niestety w Wejherowie, że rozmowa z nimi jest konieczna.

Na mnie może pan liczyć z mocą zapewnił Class.

Doskonale, może mi pan w takim razie na początek powiedzieć, bosądzę, że rozmowę mogliśmy zacząć już teraz.

Ignaz nie dokończył.

W drzwiach stanął bowiem Brunon Sychowski we własnej osobie.

Ojcie!

z piersi policjanta wydarł się okrzyk zdumienia.

A ja, drogi zięciu!

Dla człowieka, który pracuje na kolei żelaznej, świat jest mały!

Tubalny głos pana Sychowskiego towarzyszył więciowi Ignazowi żelazne kleszcze ramion.

Skąd ojciec wiedział, że jadę tym pociągiem?

Oczywiście, że nie wiedziałem!

Wsiadłem poprostu, jak Pan Bóg przykazał, na stacji w Chyloni, gdzie miałem pewne służbowe zadanie. Sychowski dumnie wyprężył pierś.

Idę do służbowego przedziału, rozglądam się, a tu mam moją szaloną córkę, bo czy rozsądna młoda kobieta wyszłaby za policjanta?

Śmiech naczelnika stacji w Lęborku poprzedził ponowne uściśnięcie berlińskiego inspektora.

Zaraz jednak pan Brunon spojrział nastojącego w pokornej postawie pastora, 159.

a raczej obrzucił nieufnym spojrzeniem jego wyświechtane ubranie.

Pan jest pastorem!

wskazujący palec niemal wbił się w pierś speszonego Classa.

Czy towarzyszy pan w podróży mojemu zięciowi?

Owszem.

Bardzo mi miło.

Ja myślę!

Przy okazji, młody człowieku, rozmawiaj pan z nadzieją cesarskiej policji, niech pan ma to na uwadze, kiedy będzie pan odpowiadał na pytania mojego zięcia!

Class speszył się, ale pan Sychowski zaśmiał się głośno.

Żartowałem!

Niech pan nie martw się, jakby trafiła katolickie nabożeństwo.

Dobrze powiedziałem?

W rzeczy samej pospieszył z odpowiedzią Ignaz.

Mój szanowny teść lubi żartować.

No tak.

Żarty żartami, a ja tymczasem chciałbym spytać, czy już schwyciłeś tego łotra, który zabił

biednego Theodora?

Znałem poczciwca, bardzo porządny człowiek.

Śledztwo trwa, ojcze.

Jeszcze trwa?

Może brak ci towarzystwa mojej córki?

Zawsze powtarzam, że kobieta pod bokiem dodaje policjantowi motywacji.

Pamiętasz sprawę Lisicy z nad Szprewy?

Bernadeta doglądała cię wtedy, przynosiła ciepłe posiłki, i proszę, śledztwo zakończyło się w cztery dni!

Lisica była konwencjonalną morderczynią, która zostawiła mnóstwo śladów.

Chociaż pozostaje faktem, że dzięki żonie było mi znacznie przyjemniej pracować.

Otóż to!

krzyknął ojciec Bernadety.

A pan, młody człowieku?

wskazując palec Sychowskiego znów celował w pastora.

Czy pan ma żonę?

Niewyszeptał Georg i posmutniał.

Bóg nie zdarzył.

Na Boga należy liczyć, ale nie należy zapominać o własnej inicjatywie.

Ja o moją Martę zabiegałem całe cztery lata.

Uwierzycie, że bała się mnie jak diabła?

Podobno byłem wybuchowy!

Dacie wiarę?

Ja!

Pan Brunon wyprostował się, wziął pod boki i zaśmiał najgłośniejszym, jak tylko potrafił.

W tym momencie do przeł 60

dział powrócił Sigmund i zobaczywszy Sychowskiego, którego akurat tutaj nie spodziewał się ujrzeć, a którego opinii bał się, ponieważ podczas ich jedynej spotkania w Berlinie został określony przez zasadniczego naczelnika stacji kolei żelaznej mianem fircyka, odruchowo cofnął się o krok.

Pan Brunon kątem oka dojrzał von Macha; zaimponował mu, poklepał młodzieńca po plecach, przypominając sobie śmiechem, że wyraził kiedyś niepocholebny opinię o jego cechach charakterologicznych.

Niech pan nie mado mnie żalu, młody człowieku, u mnie co w sercu, to i na języku.

Ale nie życzę ludziom źle.

Nie, nie, skądże, jakbym śmiał, pannaczelnik miał trochę racji.

Nie przejmuj się pan, ludzie się zmieniają, pan już na pewno dojrzał, z pewnością pana kręgosłup moralny okrzepł i jest już kręgosłupem poważnego człowieka!

Ignaz tylko czekał na taką okazję i nagle ogarnął go gwałtowny atak kaszlu.

Sigmund zrobił się mniejszy o dobrych kilka centymetrów.

Jednak Braun zlitował się nad nim i poprosił spieszonego młodzieńca o przyniesienie jeszcze jednej lemoniady, tymczasem swoją oddał teściowi, drugą wręczając pastrowi.

Szkoda, zięciu pokręcił głowę Sychowski chciałem sobie uciąć pogawędkę z tym młodym człowiekiem.

Czy on także podróżuje w twoim towarzystwie?

Tak, ojcze.

Ale chyba nie jest o nic podejrzany?

Niema na przegubach dłoni kajdanek wykręcił się Braun.

Rzeczywiście.

Bo widzisz, ktoś, kto znajduje się w twoim towarzystwie, a nie należy do naszej rodziny, w moich oczach od razu nabiera cech przestępcy.

Na te słowa pastora śmiechnął się, zdążył już bowiem nabrać do Sychowskiego sympatii, być może na zasadzie absolutnego przeciwieństwa.

Pan Brunon obrócił się do Classa.

Pastorze, jest pan z Wejherowa?

161.

Owszem.

I tak jak pan znałem Theodora Pracza.

Oczy starszemu mężczyzny rozbłysły gniewem.

Staraj się, mój zięciu!

W przeciwnym razie sam wezmę się za śledztwo!

Masz już jakieś podejrzenia?

Ojczy, nie mogę wyjawić nic ponad.

Tak, wiem, tajemnica postępowania, a niech to diabli!

Powiedz mi przynajmniej, czy są jakieś widoki na zwycięstwo prawa?

Bo widzisz, bardzo lubię, gdy prawo triumfuje!

Jarównież uśmiechnął się Ignaz.

Nie obawiaj się.

Skoro nadkomisarz von Marburg zdał się na mnie, proszę cię opójście w jego ślady!

Skorotak, już milczę!

Zachowaniem milczenia nie było jednak najmocniejszą stroną pana Brunona.

Zaczął wspominać fotografa, powiedział nawet z rozrzewnieniem, że przed laty, kiedy Bernadeta była jeszcze dzieckiem, poszli we trójkę do starego (choć wtedy jeszcze nieco młodszego) Theodora.

Marta i Bernadeta zachowywały się nieco chaotycznie podczas pozowania do fotografii, a i on, przyznaje ze skruchą, nie był bezwiny.

Artysta wykazał się anielską cierpliwością, ale też zadziwił Sychowskiego podziwu godną spostrzegawczością.

Kiedy dostrzegł nasukience Bernadety niebieską nitkę, a miał już wtedy na głowie komiczną czarną płachtę i patrzył w obiektyw, a przecież widzi się wtedy postaci do góry nogami, wrócił do mojej córki i zdjął tę nitkę!

Co za oko!

Zdumiewające przytaknął Ignaz.

Właśnie, a tojeszcze niekoniec!

Nie koniec!

powtórzył Braun.

Otóż moją żonę, kobiety są takie niecierpliwe, wieszcoś o tym, zaboląła ręka, czyraczej zdrętwiała, wszystkojedno, w każdym razie inaczej, aledosłownie o centymetr, ułożyła dłoń.

Stary Theodor znowu wychylił sięspod płachty i zażądał powrotu dłoni do poprzedniego stanu!

Bardzoprofesjonalnyczłowiek, miał swoją wizjęzdjęcia i trzymał się jej uparcie, a najmniejsze niedociągnięcie zauważyłodrazu!

162

Młody pastor wyraźnie zainteresował się opowieścią pana Brunona.

Jegoczło zmarszczyło się, wreszcie odważył się odezwać i przywołał podobnąsytuację, kiedy nie takdawno wraz z ojcem pozował do fotografii zaleconej przezwładze kościelne.

Inspektorudał, że informacje te niezrobiły na nim zbytniego wrażenia, i skierował rozmowę nawidoki za oknem przedziału.

A wieczór był nad wyraz urokliwy.

W zachodzącym słońcu pradolina Redy nabierałatajemniczości, a znad rzeczkimajaczącej w dole unosiłsiępierwsze wieczorne mgiełki.

Powietrze przestawałobyć przezroczyste, kontury drzewwprawdzie wyostrzały się, ciemniejąc na tle nieba, ale i onezdawały się nierzeczywiste, zupełniejakby namalowane zostałyprzez jakiegośnowomodnego paryskiego malarza.

Ładnie tu odezwał się Sigmund, który chwilę wcześniej przyniósł trzeciąszklankę cytrynowejlemoniadyi z podziwu godną usłużnością podał ją Ignazowi.

Bardzoładnie!

wykrzyknął Sychowski.

Gdybyś, młody człowieku, właściwie rozpoznał swoje powołaniei zatrudnił się na jakimś godnym stanowisku w kolej nic163.

twie, doświadczałbyś takich widoków prawie dzień w dzień.

Tylko nie mów, że nie mam racji!

Ojczy, nie każdy może być tak oddany swojej pasji jak ty wtrącił Ignaz.

Pan von Mach, zaręczam ci z całym przekonaniem, ma rozliczne talenty i radzi sobie w ich szlifowaniu z podziwu godną błyskotliwością.

Ostatnio.

Mówiąc to, Braun słodko, z miną ufnej pensjonarki, spojrzał w oczy Sigmunda, ten zaś, panicznie obawiając się kontynuowania tematu i nie zważając na zasady dobrego wychowania, przerwał Ignazowi w pół słowa i zapytał Georga o pracę naukową.

Pastor ożywił się ponownie i zaczął powtarzać wszystko, co już wcześniej usłyszał Ignaz.

Dla inspektora natomiast kwadrans, który dzielił całą trójkę od przyjazdu do Wejherowa, z punktu widzenia przesłuchania Classa i von Macha wydawał się stracony.

W ogóle Braun był zadowolony z dnia, który mijał.

Krótko rozmawiał z Sigmundem sam na sam, spotkanie pastora, jakże przypadkowe, nie mogło decydować o postępie śledztwa.

Kilka informacji ucieszyło berlińskiego policjanta, ale dawał sobie sprawę, że zdobyłby je prędzej niż później.

Gdyby nie wiedza, o którą stał się bogatszy w siedzibie gdańskiej policji.

"Dobre i to" pomyślał.

Tymczasem młodzi mężczyźni zajęli się ożywioną rozmową.

Duchowny był zadowolony, że ktoś zainteresowany jest jego doktoratem, a Sigmund dawał, że nie dostrzeże Brauna.

Wiedział, że najgorsze dopiero przed nim, ale, co było bardzo ludzkie, odwrócić chciał te uciążliwości choćby do następnego ranka.

Tak.

Nie wiesz czy wiście, kiedy wrócisz do Berlina?

retorycznie zapytał więc i pan Brunon.

W istocie, nie wiem, choć przyznać muszę, że termin wyjazdu Wejherowa zależy w dużej mierze ode mnie.

Teść zaśmiał się tubalnie, zaraz jednak ściszył głos.

Tak.

Musisz najpierw wykryć sprawcę.

Ojczy, wyjdźmy przed przedział.

Sychowskiemu nie trzeba było powtarzać.

Kilka razy zdarzyło się, że zięć powiedział munięco za dużo inie za-164

łował tego postętku, o którym zażadne skarby świataniemógł się dowiedzieć nadkomisarz von Marburg.

Widzisz, ojczy, mam doczynienia z bardzo trudnym przypadkiem.

Nie żartuj!

Jestem śmiertelnie poważny.

Ileż razy stawała mina przeszkodie misterna, skomplikowana intryga, jakieś kłębowiska powiązań, które należało rozsupłać!

Przymoim talencie zawsze się udawało Ignaz skromnie spuścił głowę.

Zawsze był też motyw.

Prawda, z początku zakryty, ale od czego jest głowa?

Od myślenia.

Tak zawsze mówił pewien stary posterunkowy z Placu Poczdamskiego, który zjadł zęby na ściganiu kieszonkowców.

Uśmiech, który początkowo zagościł na twarzy naczelnika lęborskiej stacji, ustąpił miejsca marsowemu ściągnięciu brwi.

A ty właśnie nie masz motywu, mimo upływającego czasu.

Żadnego.

Mam bardzo silne podstawy do przypuszczenia, że sprawca zbrodni obecny był na wieczorze, który odwiedził fotograf.

Mniejsza oszczędności.

I nic.

Żadnego punktu zaczepienia, żadnej ważnej przyczyny, dla której ktoś odważyłby się na dokonanie morderstwa.

Ale przecież ludzie, którzybyli tam wtedy, nie są białymi tablicami.

Mają swoje życie, szczęśliwe lub nie, co więcej łączą ich nici sympatii i antypatii, taki stan jest zresztą całkiem naturalny.

Sychowski nie dawał za wygraną, ale odpowiadał Ignazowi takie wątki, które wcześniej były już rozpatrywane.

Ojczy, twoje uwagi są cenne, ale przecież ja o tym wszystkim już myślałem, bez urazy.

Ni stąd, ni z owąd, bo motywu nie znamy, ginie człowiek.

Czy przesłuchałeś już wszystkich?

Usiłowałem wziąć się za Sigmunda, ale dotychczas nie miałem okazji.

Także młody pastor jest jeszcze przed przesłuchaniem.

A jutro mam spotkanie z niejakimi Schrederami.

Braun zwięźle przedstawił teściowi sylwetki adwokata i jego żony.

Pan Brunon słuchał niezbyt uważnie, zdając sobie sprawę, że z paru słów dotyczących dwojga ludzi niewysnuje żadnych wniosków.

Położył ciężką dłoń na ramieniu inspektora.

Zięciu, wierzę w ciebie tak samo, jak w potęgę cesarskiej koleizelaznej.

Uroczyste wyznanie zrobiłona Braunie wielkiewrażenie, nigdy wcześniej nie dostąpił ze strony teścia równiewielkiegozaszczytu.

Nie zawiodę cię powiedziałz namaszczeniem.

I nadkomisarza, imojej szalonej, a nieposłusznejcórkidokończył Sychowski i zaśmiał się.

Ignaz sięgnął po papierośnicę i zamierzał poczęstowaćteścia papierosem, ten jednak, zdecydowanie preferując cygara, odmówił.

Zięciu mężczyzna nieznacznie się ożywił.

Przyszło mi do głowy coś zastanawiającego.

Tak.

Kto pobieżnieznał pasjonata kolei żelaznej, byłby zdziwionyprzemianą, jaka się w nim dokonała.

Tubalny głos, nieco rubaszne maniery, pewność siebie i wiara w postęp technologiczny, oto jak każdy przygodny rozmówca charakteryzowałby najważniejsze cechy właściwe panu Brunonowi.

Ale Ignaz, który zteściem przegadał niejedendługiwieczór i widywał go w rozmaitych sytuacjach, bez zdziwienia, za to z wielką uwagą, przypatrywał się teraz ojcuBernadety.

Sychowski pochylił się do przodu, jego oczy pod krzaczastymi brwiami zabłyśły niczym drapieżnikowi na widokofiary, a żyły na skroni pulsowały regularnie.

Tylko idealnie łysa czaszka byłanieruchoma, ale już wąs przesuwalsię co raz w lewo lub prawo, jak użbika węszącegozapachkuropatwy.

Nie dalej jak wczoraj pokazywałem znajomemu fragmenty mojej ukochanej kolekcji widokówek.

Jest doprawdywspaniała szepnął Ignaz.

I przyszło mi do głowy, kiedy tak patrzyliśmy na te wszystkie dworce, ratusze, przypadkowo uwiecznione ludzkie postacie.

?

Że każda taka fotografia kryje jakąś historię.

Historię architekta, robotników, kolejarzy, ale też pań idących z dużymi kosztami na targ, młodego cyklisty, który spieszy dokądś i zaraz zniknie za rogiem kamienicy.

Ignaz zapalił jeszcze jednego papierosa.

Pociąg dojeżdżał do stacji Wejherowo.

CZYM JEST PROWINCJONALIZM, CZYM JEST SMAK

Braun obudził się wypoczęty, mimo trudów dnia poprzedniego.

Starannie złożył w kostkę koszulę nocną, skorzystał ze świeżej wody, którą nieco wcześniej przyniósł

chłopiec hotelowy Wilhelm, i naostrzywszy o stary pasek cokolwiek tępą po goleniu brzytwę, przypiął

świeże mankiety do koszuli.

Nie zapomniał również o doborze odpowiedniego kołnierzyka, nie biorąc pod uwagę taniego, plastikowego, otrzymanego od kolegów z Wydziału IV z okazji ostatnich urodzin.

Przed spotkaniem z takimi osobami musiał zadbać o odpowiedni dobór garderoby.

Zszedł na śniadanie lekkim krokiem, który był w pewnym stopniu pozą, w pewnym zaś oznaką wewnętrznego przekonania, że klucz do tajemniczej układanki znajduje się zapewne tuż za drzwiami, na wyciągnięcie ręki.

Trzeba jedynie zdjąć z oczu opaskę, a także odgadnąć, które to drzwi.

Nie zdziwił się, kiedy do jego stolika, zanim jeszcze kelner przyniósł śniadanie, podszedł niezawodny Alsleben.

Najmocniej przepraszam, panie inspektorze, hotelarz uklonił się, tak jak przed laty i ostatnio, z wyszukaną galanterią.

Nie zamierzam pytać o wyniki śledztwa, chciałbym jedynie dowiedzieć się, czy nie ma pan inspektor

168
jakichś specjalnych życzeń.

Mój personel i ja jesteśmy nieustająco do usług.

Przykro mi, proszę pana odparł Ignaz, równocześnie gestem zapraszając hotelarza do zajęcia miejsca przystoliku.

Nie wyciągnie panode mnie żadnych informacji.

Ależ.

Alsleben ochoczo skorzystał z zaproszenia i usiadł.

Natomiast gdyby był pan tak miły i polecił przynieść do mojego pokoju, powiedzmy za pół godziny, butelkę eleganckiego koniaku, może być hennessy, oraz kilkanaścietych pysznych pasztecików, którymi uraczył mnie pan dwadni temu.

Zależy mi na oprawie wytwornej, a jednocześnie sympatycznej.

Oczywiście radość na twarzy hotelarza była najzupełniej szczerą.

Na ile osób przygotować serwis do kawy, domyślam się bowiem, że przyjmie pan gości?

Dlaczego.

Prosiłbym o miśnię lub coś podobnego.

I kawa, masię rozumieć, powinna być etiopska.

Właśnie o takiej pomyślałem.

Widzi pan, odwiedzą mnie państwo Schrederowie, oni mają bardzo snobistyczne upodobania, co prawda i ja nie jestem od nich całkiem wolny.

Chciałbym przyjąć ich, żeby wzbudzić zaufanie tej pary.

Lepiej się wtedy rozmawia.

Pojmuję wybornie Alsleben konfidencjonalnie zniżył głos i czekał z nadzieją na dalsze szczegóły.

Nie doczekawszy się ich, nastąpiła bowiem chwila kłopotliwego milczenia, podziękował Ignazowi za towarzystwo i zakomunikował, że idzie wydać stosowne dyspozycje.

Kiedy Braun został sam, zaraz pojawił się kelner z tacą.

Na stół przywędrowało jajko na miękko, nieodzowny element śniadania berlińskiego inspektora, szynka z cienkim plastrem tłuszczu, żółty ser i pachnąca kawa z gęstą mietanką.

Rogaliki zaś przyrumienione były jak należy obsypane makiem.

Na widok porannej rozkoszy Ignazu śmiechnął się sam do siebie, starannie zawiązał pod szyją białą serwetę i zabrał się do jedzenia.

Po paru nastu minutach skinął na kelnera i poprosił jeszcze o niewielki spodeczek konfitur.

Pokój pachniał świeżością.

Braun przed wyjściem na śniadanie otworzył szeroko okno, równocześnie zapach krochmalonej pościeli (przybysz z Berlina każdej nocy musiał mieć świeżo krochmaloną pościel) nadal unosił się w powietrzu, łącząc się z zapachami lata w osobliwie miły sposób.

Gospodarz spojrział w lustro, poprawił krawat i pomyślał, że goście z pewnością spóźnią się dobry kwadrans.

Schrederowie pojawili się punktualnie.

Progi pokoju najpierw przekroczyła pani Antoinette, przystrojona wdługi, zwiewny szal.

Za nią cichym krokiem wszedł Ernest.

Oboje skłonili się Braunowi z należytą kurtuazją i otrzymawszy zaproszenie, usiedli.

Dzwonek na służbę, uruchomiony przez Ignaza, spowodował niemal natychmiastowe pojawienie się najlepszego z kelnerów pracujących w Königlicher Hof, który postawił przed trójgiem osób serwis i butelkę koniaku.

Napełnił dwa kieliszki, trzecim natomiast, przeznaczonym dla pani Antoinette, zajął się sam Braun, przygotowawszy uprzednio kryształową karafkę zawierającą mocne i aromatyczne porto.

Po chwili kelner wrócił z tacą pełną pasztecików.

Co jak co, ale służbę mają tutaj wyćwiczoną zauważył Schreder, gdy zostali sami.

Nie można narzekać.

Prawie jak w naszej Kolonii.

Po loti lekkość poruszania się pozostawia wprawdzie cokolwiek dożyczenia, ale jak na Wejherowo, jest całkiem niezłe.

Erneście zaoponowała żona zawsze znajdujesz drobne uchybienia, nie wypada.

Przecież wszyscy widzimy, że tu nie Paryż.

Zauważają jednak państwo, że przed przyjazdem, idę o zakład, nie spodziewali się znaleźć tutaj tak profesjonalnej i dyskretnej obsługi?

Małżonkowie spojrzeli na siebie, jakby próbowali uzgodnić wspólną wersję wtak błażej kwestii.

170

Jesteśmy zadowoleni z tutejszych standardów.

Możem pan jednak powiedzieć, inspektorze, dlaczego ten komisarz, i pan oczywiście, wydaliście zakaz opuszczania Wejherowa wszystkim, którzy widzieli u pani Neiss tego człowieka, którego potem zamordowano?

Jako adwokat, stykam się z różnymi sytuacjami, byłbym nawet gotów zrozumieć powody takiego obostrzenia, ale w naszym przypadku?

Rozumiem panarozgoryczenie, łaskawy panie, niemniej, właśnie jako adwokat, powinien pan rozumieć, że istnieje stan wyższej konieczności, kiedy obywatel nie może stawiać się przed innymi, zwłaszcza ponad prawem.

Ernest Schreder zrobił nadąsaną minę.

On właśnie zamierzał postawić siebie i swoją żonę ponad prawem, tymczasem ten oto policjant, coś że znany i mający pewne sukcesy, przypominajemu, mecenasowi Schrederowi, o równości wobec prawa.

Niesłychane!

Nie chciałbym być niegrzeczny, inspektorze, ale czynnie nazbyt pochopnie stawia pan znak równości między osobami o dość mizernej kondycji społecznej, które zanurzone są w tutejszym świecie mogły mieć dziesiątki powodów, aby zabić tego nieszczęśnika, a nami, którzy przyjechaliśmy tutaj na parę lub paręnaście dni i spokojnie stąd odjedziemy, a pana Pratza widzieliśmy, przecież nie jest to dla pana tajemnicą, tamtego wieczoru po raz pierwszy i ostatni?

Kieliszek w dłoni Brauna napełniony był do połowy.

Inspektor spojrzał na niego i delikatnie zmoczył usta, po czym ziewnął.

Daruje pan, mecenasie.

Theodora Pratza widział wtedy po raz pierwszy, odstrony towarzyskiej, kilka innych osób.

Nie w tym jednak rzecz.

Pan jest idealnym przykładem liberała, jakich setki zrodziły początki cesarstwa.

Nie rozumiem.

Otóż klasa średnia, która w lwiej części popierała kanclerza Bismarcka i dzięki której powstała obecna forma monarchii, kształtująca z kolei świadomość owej grupy, przypisuje sobie pewien

irytujący aksjomat nieomyślności.

171.

Pan i ludzie panu podobni są szermierzami dojrzałej świadomości, tolerancji i postępu, natomiast kiedy przychodzi odpowiedzialności za własne czyny, znika gdzieś demokracja i otwartość.

Nagle okazuje się, że potraficie przemawiać, ale nie nauczyliście się słuchać.

Wygłaszacie bardzo mądre tezy, ale was samych już nie dotyczy równość wobec prawa, tolerancja i tak dalej.

Okazujecie na łamach waszych dzienników pogardę dla prostych ludzi.

Nie ma tolerancji dla wrogów tolerancji, czyż nie tak?

A kanony i zakres norm ustalacie wy sami.

Skąd mandat, kto wam go dał?

Chce pan mnie obrazić?

Dalsza rozmowa nie ma sensu.

Antoinette, dziękujemy panu inspektorowi za towarzystwo, prawda?

Wypowiedziawszy ostatnie słowa, Schreder niespiesznie wstał, patrząc znacząco na żonę.

Kobieta jednak, zasłuchana i zaintrygowana, nawet nie zauważyła zachowania męża.

Antoinette z naciskiem powtórzył adwokat.

Proszę się nie irytować pojednawczo odparł Braun.

Byłem świadkiem pana dyskusji z pastorem Classem.

Pańskie rozdrażnienie potwierdza tylko moje zdanie: nie można stosować podwójnych standardów.

Skoro pan używał o wiele mocniejszych argumentów i słów w stosunku do pastora, skądinąd porywczego, powinien pan przyjąć za nieuniknione, że spotyka pana drobna nieprzyjemność w postaci podobnych argumentów.

Widzi pan, ja lubię dyskutować.

Miałem wrażenie, awłaściwie pewność, że pan również.

Proszę przyjąć moją rękawicę i spróbować porozmawiać z zemną otwarcie, jak mężczyzna z mężczyzną, nie narażając przy tym uszu szanownej małżonki na zgorszenie.

Ze swej strony obiecuję, że będę trzymał na wodzy mój temperament, a jak twierdzą koledzy z Wydziału Zabójstw, posiadam takowy.

Schreder odchrząknął.

Był zdezorientowany.

Dalejże, w końcu jest pan adwokatem.

Sądzę, że chociażby z nawyku zawodowego powinien pan skorzystać z mojej propozycji.

172

Nie było innego wyjścia.

Mecenas postanowił zachować się jak na sali sądowej.

Przyciął się w fotelu, przybrał maskę życzliwej obojętności i delikatnie stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Brauna.

Pani Antoinette odetchnęła z ulgą.

Paszteciki, wyglądające szalenie apetycznie, spełniły swoje zadanie, to znaczy powędrowały do ust osób obecnych w pokoju.

Milczenie spowodowane degustacją nie było kłopotliwe, raczej rozładowało napiętą dotąd atmosferę.

Ostrzegam pana, nie będę łatwym rozmówcą o zwał się Schreder, kiedy już przełknął ostatni kęs trzeciego pasztecika.

Sprawi mi pan największą przyjemność, będąc sobą

skłonił się Ignaz.

A i do łaskawej pani będę miał kilka pytań.

Kobiety ze swej natury są osobami spostrzegawczymi, przy tym potrafią dostrzec detale, które dla mężczyzn są nieistotne.

Pani Antoinette uśmiechnęła się do inspektora, szczęściem mąż nie zauważył zadowolenia na jej twarzy.

Zacznijmy więc od najprostszej rzeczy i niejako od końca: wyszli państwo z wieczoru razem z panem Hamarenem.

Owszem sucho potwierdził Schreder.

Kiedy się państwo z nim rozstali?

W hotelu, mniej więcej kwadrans po opuszczeniu domu pani Neiss.

Oczym państwo rozmawiali podczas drogi powrotnej?

Może ja opowiem wyrwał się pani Antoinette

mąż prawie nic nie mówił.

Ale wiem, czego dotyczyła rozmowa adwokat nie dał za wygraną.

Bardzo proszę, może państwo się zdecydują Braun wyglądał na niecorozbawionego i właśnie sięgnął po kolejny pasztecik.

Moja żona zasypywała tego śmiesznego Norwega pytaniami o najnowsze trendy w sztuce Schreder nie potrafił ukryć irytacji, mimo założonego wcześniej stoicyzmu.

173.

On zaś odpowiadał chętnie, zawsze w nawiązaniu do swojej twórczości, z której jest niesłychanie dumny.

Tak potwierdziła kobieta i poprawiła włosy.

Pan Hamaren pisze dramaty, maluje i właśnie kończy symfonię.

Owszem, z tym że kończy ją już od kilku lat, o czym był uprzejmy poinformować nas godzinę wcześniej.

Może nie słyszałaś?

Widocznie stawia sobie wielkie wymagania zauważył Braun.

Cóż, artysta.

I później nie opuszczali już państwo swojego pokoju?

Pokoi.

My wynajmujemy pokoje uściślił adwokat.

Przepraszam.

W takim razie, zdaniem państwa, pan Hamaren również udał się do siebie?

Tak.

I wróć do momentu wcześniejszego.

Czy państwo zdaniem podczas wieczoru u pani Neiss cokolwiek wskazywało, że niecopóźniej może się wydarzyć tragedia?

Co ma pan na myśli?

zdziwił się Schreder.

Oczywiście, że nie.

Wyszliśmy z przeświadczeniem, że wieczór, choć nie wyróżniał się niczym spośród dziesiątek takich samych prowincjonalnych wieczorów, był stosunkowo udany.

Pani Antoinette delikatnie chrząknęła.

Kiedy jej mąż nie zareagował, chrząknęła bardziej znacząco.

Braunspojrzeniem zachęcił ją do mówienia.

Mój mężu, daruj, ale ty zajęty byłeś niemal cały czas dyskusją z tym dzikim pastorem, ja natomiast miałam okazję do poczynienia pewnych obserwacji.

Doprawdy?

adwokat z niedowierzaniem spojrzał na żonę.

Tak.

I muszę powiedzieć, że mimo braku gustu u większości tych osób, ich zachowanie było nader interesujące.

Doprawdy?

powtórzył adwokat.

Otóż cały wieczór jawił mi się jako kombinacja rozmaitych współzależności uczuciowych.

Georg, syn pastora, jak ciele wpatrzony był w głupiutką i złośliwą Elzę Neiss, 174

ona z koleisłała ukradkowe spojrzenia temu antypatycznemu Ottonowi Meinhardowi.

On okazywał jej zainteresowanie, ale w taki sposób, w jaki tygrys interesuje się krową.

Typ brutala, nieco wykreowany.

Mapani wielki darspostrzegawczości szepnął Ignaz, na comąż kobiety uśmiechnął się z politowaniem.

Dziękuję.

Sigmund von Mach wdzięcznył się jak jakaś małpka hodowana w ogrodzie zoologicznym do Eleonory Gephard, która wydałami się istotą rozsądną i nawet sympatyczną, ona zaś bawiła się nim, ale w sympatyczny sposób.

Nie pasują do siebie, ale będzie z nich para, czuję to.

Była jeszcze pani Dangel, która pomimo swoich zaściankowych poglądów rzucała oczami całkiem diabelskie błyski na pastora.

Georg nie zauważa jej zainteresowania, szkoda, mogliby razem klęczeć godzinami w kościele.

Ignaz zastanowił się nad sprzecznością między zwiewnością postaci pani Antoinette a jej ostrym, momentami plebejskim językiem.

Znalazł wreszcie odpowiedź: "Właśnie, Francuzka.

I co wynika z tych wszystkich konfiguracji, według pani?

Gdzie tu miejsce na zabójstwo?

Panie inspektorze, moja żona zapędziła się niecwo ocenach gości pani Neiss wtrącił adwokat.

Oczywiste jest, że w każdej grupie osób panują pewne stosunki.

Antoinette jest może nieco przytłoczona prowincjonalną atmosferą.

Zresztą tym ludziom rzeczywiście brakuje smaku, co w pewnych momentach staje się aż nazbyt widoczne.

Wcale nie zaperzyła się kobieta.

Moje obserwacje są całkiem obiektywne, a tutejszy, że tak powiem, styl nie ma tu nic do rzeczy.

Żeby udokumentować słuszność swojej wypowiedzi, pani Schreder wychyliła duszkiem połowę zawartości kieliszka i wyzywającym ruchem podała puste już naczynie mężowi, aby ten je napełnił.

A jaka była przyczyna państwa przyjazdu do Wejherowa?

Muszą się państwo straszliwieść w tak ocenianym przez siebie środowisku.

175.

Przybyliśmy tutaj na osobistą prośbę hrabiego Henryka von Keyserlingka z dumą odpowiedział adwokat.

Pan hrabia jest moimstarym znajomym.

I?

Sporządza właśnie zapis spadkowy.

Nie żeby czuł.

się niedobrze, a rozumiem pan, każdy, kto ma pewien majątek i określoną pozycję społeczną, musi kiedyś dokonać koniecznych formalności.

Oczywiście.

Henryk von Keyserlingk skorzysta z usług tegoż notariusza, pana Nowoczyna.

Niemniej notariusz jest jedynie zleceniobiorcą, a wszelkie poważne porady są domeną wytrawnego prawnika, jakim niewątpliwie jestem ja.

Mieszkają jednak państwo w hotelu, czy tak powinna wyglądać gościna?

Pan hrabia zaoferował nam pobyt w pałacu, ale mój mąż uznał, że nie należy nadużywać gościnności.

Ponieważ Keyserlingkowie mają swoje życie, a ja mam z kolei moją dumę.

Rozumie pan, inspektorze, jak wyglądałby pobyt na czyimś garnuszku?

wyrzucił z siebie Ernest Schreder.

Braun pomyślał, że adwokat jest w gruncie rzeczy człowiekiem zakompleksionym i wszelkie formy zależności od kogoś o wyższej pozycji społecznej sprawiają, że jego ranga (w subiektywnym mniemaniu) ulega obniżeniu.

Kompleks zwyciężył ze snobizmem.

Natomiast wynagrodzenie jest na tyle uczciwe, że pobyt w Wejherowie jest dla mnie intratny i traktuję go czysto zawodowo.

Przyjaźń i interesy są jednak czymś osobnym.

Doceniam pana profesjonalne podejście do tematu

pokiwał głową Ignaz.

Gdyby teraz zechcieli państwowabawić się w detektywówi przeanalizować, kto z uczestników spotkania mógł mieć powód, aby zamordować Theodora Pratza, byłbym nieopisanie zobowiązany.

Śmiech adwokata, w odpowiedzi na pytanie, był szczery.

Panieinspektorze, źle pan trafił!

Dlaczego?

176

Jestem adwokatem znacząco powiedział Schreder.

Całe życie starałem się bronić moich klientów przed rozmaitymi zarzutami.

Oskarżanie jest mojąspecjalnością.

Ale przecież zauważyła pani Antoinette musiałeś rozmawiać szczerze z oskarżonymi i z pewnością niejedenz nich w przyływie rozpaczy, albo chociaż z wyrachowania, musiałprzyznać się, że w istocie jest sprawcą czegoś złego.

Znasz rozmaite motywy kierujące ludźmi.

Nawet nie wiesz, jak ciekawi mnie twoja opinia.

Ostatnie słowa kobieta wypowiedziała przymilnie, niemal zalotnie, coważyło Schrederaw jeszcze lepszy nastrój.

Łaskawapani wyjęła miz ust ten argument ucieszył się Ignaz i nalał kobiecie kolejny kieliszekgęstego, rubinowego porto.

Jesteście niemożliwi, mojażonai pan, inspektorze

adwokat, który wcześniej obawiał sięgroźniejszych pytań i podejrzania o zabójstwo, teraz wydawał się całkowicierozluźniony i gotów był przyjąć wyzwanie do intelektualnejzabawy.

Lars Hamaren, według Schredera, był klasycznym typem psychopaty, żyjącymw urojonym świecie, niewahającym się przed popełnieniem zbrodni, gdyby ktoś ugodziłw jego poczucie własnej wartości.

Fotograf mógł, na przykład, odezwać się do Norwega podczas pozowania do zdjęcia w sposób nieuprzejmy i już!

Gertruda Dangelrównież mogłabyć psychopatką, żyjącąw urojonym świecieologicznych przesądów.

MożePratz zgorszył jajako autor fotografii uznanej przez przyszłą diakonisę za objaw próżności

człowieczej?

Można zakładać, że dziewczyna w ogóle nie cierpi takich spotkań.

Albo, kto wie?

Wykonał niedawno jakiś akt, na którym znalazł się ktoś, kogo dotąd Gertruda ceniła?

I w takim wypadku również uznała fotografa za gorszyciela?

Aż jest kobietą, w dodatku wątłą?

Jakaż to sztuka wbić ostry nóż w ciało staruszka?

Eleonory Gephardchybanie podejrzewasz wtrąciła pani Antoinette.

Dlaczegoż nie zdziwił się adwokat.

Nie znam motywacji, która mogłaby skłonić ją do morderstwa, a pan, inspektorze, najlepiej wie, że takie osoby, w dodatku sprawiające wrażenie rozsądnych i trzeźwo myślących, bywają niezwykle niebezpieczne.

Zresztą mówiła do Pratza "wujku", usłyszałem mimochodem, pewnie miała jakieś realne widokina spadku.

Czyż nie jest on pięknym motywem?

Sigmund von Mach, o, ten człowiek jest chyba potężnie zadłużony i liczy na małżeństwo z Eleonorą.

Motyw ten sam, co w przypadku dziewczyny.

Ignazowi wydawało się, że co do Classów, o których właśnie zapytał, Schreder będzie miał kłopoty.

Tymczasem adwokat bez namysłu odpowiedział, że przyczyny zabójstwa mogły być identyczne, jak u panny Dangel.

Poza tym mężczyźni znali się doskonale i z pewnością rolę odgrywały jakieś zaszłości.

Zakładając, że oni byli sprawcami.

W przypadku Meinhardów wątpliwości było jeszcze więcej, a motywów cała paleta.

Począwszy od zamiłowania znudzonych mieszczan do zbrodniczych wyczynów, historia kryminalistyki zna takie przypadki okrutnego zblazowania, poprzez zamiar przechwycenia jakichś wartościowych zbiorów, co jednak nie udało się, ponieważ Pratz nie miał przy sobie kluczy do mieszkania, o czym wspomniał inspektor nie dalej jak przed dwoma kwadransami, aż do chęci imponowania Elzie, dziewczynie pustej, zepsutej i zafascynowanej ponurymi typami w rodzaju Ottona.

Natomiast Elza i pani Wilfrida?

One mogły zabić w celu pogrążenia któregoś z gości.

Kto wie, jakie relacje miały z zebranymi?

Starsza dama wygląda mi na sprytną i niebezpieczną kobietę.

Dlaczego zaprosiły tak przypadkowe grono osób?

W jakim celu?

Znakomicie!

Doprawdy, znakomicie pokiwał głową Braun.

Siebie iczcigodną małżonkę wyklucza panoczywiście?

Oczywiście z udawaną bezradnością westchnął Ernest Schreder i sięgnął po kieliszek z koniakiem.

DWAJ MŁODZIMEŹCZYŹNI

Ignaz Braun zjadł obiad w pośpiechu.

Bardzo nie lubił takich sytuacji, niemniej jako funkcjonariusz elitarnego Wydziału doskonale zdawał sobie sprawę, czym jest służba.

Czekała go rozmowa, ważna rozmowa z młodym pastorem.

Na miejsce spotkania inspektor zaproponował wzniesienie przy kościele Trzech Krzyży.

Kiedy kończył posiłek, w drzwiach hotelowej restauracji pojawił się zdyszany Sigmund von Mach.

Ignaz wyjął z kieszonki marynarki swojego Tissota, otworzył go, spojrzął na cyferblat i znaczącym spojrzeniem obrzucił młodzieńca.

Masz szczęście.

Byłbyś pożałowania godnym lekkoduchem, gdybyś nie przyszedł na czas, choć przyznam ci się w zaufaniu, byłoby mi cię żal.

Nie wiesz nawet, do czego zdolny jest zirytowany policjant.

Przepraszam, panie inspektorze von Mach, na wszelki wypadek wyraził skruchę, choć nie było do niej powodu.

Zapamiętaj, że "przepraszam" powinno być najczęstszym słowem, jakie od ciebie usłyszę.

A teraz chodźmy

stąd, nie mam zamiaru dłużej pokazywać się z tobą w eleganckim miejscu.

Mężczyźni wyszli z hotelu i skierowali się Rynkiem, później ulicą Lęborską w stronę poczty, minęli znany dobrze Ignazowi gmach gimnazjum, wreszcie po prawej zamajaczył przed ich oczami budynek dworca, którego wejście przekraczał każdy, kto z daleka przyjeżdżał do Wejherowa.

Powinieneś zadumać się nad swoim losem Braun wskazał dłonią dworzec.

Nie jest przesądzone, czy wyjedziesz stąd sam, czy też w asyście policyjnej.

Oby sam.

blagalnie szepnął Sigmund.

Nie trzeba było kłamać, oszukiwać i dokonywać przekupstwa.

O domniemanym zamordowaniu fotografa niewspominając.

Jak pan może!

jęknął młodzieniec.

Musi panu wierzyć, że ja nie.

A podaj mi powód przerwał Braun dla którego miałbym wierzyć w choć jedno twoje słowo.

Wypowiedziawszy jakże słuszną uwagę, Ignaz wzruszył ramionami i ruszył w dalszą drogę, nie oglądając się na skamieniałego Sigmunda, który dopiero podłuższej chwili otrząsnął się z tego, co usłyszał.

Pospieszył za swoim dręczycielem, którego jeszcze parę dni wcześniej bardzo lubił.

Kościół Trzech Krzyży bielił się w popołudniowym, czystym słońcu niczym morski ptak na tle bezkresu wody.

Otaczały go drzewa, mniejsze i większe, a każde zielone radością lata, szumiące, skrywające w swoich gęstwinach śpiewających mieszkańców.

Ignaz zdziwił się, ujrawszy już młodego pastora, bowiem Georg Class zachowywał się w sposób odbiegający od zasad przyjętych w odniesieniu do ludzi dorosłych.

Zwłaszcza duchownych i przyszłych doktorów.

Dłoń pastora zagłębiona była w czeluść na pozór pękniętej ściany na tyłach kościółka.

Mężczyzna wyjął i znów włożył dłoń, tym razem z nadgarstkiem i całym przedramieniem, do środka.

I zaczął śmiać się w głos.

180

Niewiarygodne!

A ja myślałem.

Niewiarygodne!

Sigmund nagle zapragnął rzucić Braunowi jakąś kąśliwą uwagę na temat stanu umysłowego pastora, ale zaraz przypomniał sobie, w jakiej sam znajdował się sytuacji, i pomyślał, że lepiej będzie nie odzywać się wcale.

A cóż jest niewiarygodnego w szczelinie, szanowny panie?

donośnym głosem zawołał Ignaz, znajdując się tuż za plecami Classa.

Chuda, wysoka postać podskoczyła, co jeszcze bardziej spotęgowało jej chudość i wzrost.

Ależ mnie pan wystraszył, inspektorze jeszcze zmieszany Georg potrząsnął dłonią Brauna.

O, i pan Sigmund ucieszył się na widok von Macha, który stał nieśmiało kilka kroków za swoim przewodnikiem.

Niewiarygodne!

Tak, podtrzymuję moje zdanie.

Czy pan imaginuje sobie, że ja aż do dzisiaj nie wierzyłem, że budowniczy tego kościoła zaprojektowali szczelinę w murze na pamiątkę rozdarcia zasłony w świątyni podczas śmierci Chrystusa?

Czytałem gdzieś na ten temat, ale nie dawałem wiary.

Nie sprawdził pan nigdy?

Nieuwierzy pan inspektor, ale nie.

A przecież teologia krzyża i Męki Pańskiej tak jest przez nas, ewangelików, doceniana!

Powinienem już dawno odwiedzić to miejsce.

Proszę sobie wyobrazić, że ojciec nigdy nie pozwalał mi tutaj przychodzić.

Papistowskie czary?

odezwał się zrozumieniem Sigmund, któremu w dzieciństwie nie pozwalano bawić się z katolickimi dziećmi i którego ostrzegano, aby pod żadnym pozorem nie zbliżał się do katolickiej świątyni, w przeciwnym bowiem razie porwie go diabły.

Pastor ochoczo potwierdził.

I nigdy nie miał pan ochoty spróbować zakazanego owocu?

Zcystej ciekawości, albo chociażby na przekór ojcu?

zdziwił się Braun.

Nigdy z równym zdziwieniem szczerze odpowiedział Class.

A później nie miałem okazji do zbyt częstej rekreacji.

Wciąż książki i książki.

Przejsć się po najbliższej

okolicy zboru, w pobliże pałacu, pospacerować Rynkiem lub Lęborską, owszem, ale aż tutaj?

Nieśmiała uwaga Ignaza, że przecież jeździ aż do Królewca, nie zrobiła na młodym pastora wrażenia.

Panie inspektorze, ja nigdy nie myślałem o moich podróżach do Królewca w kategoriach turystycznych.

Po prostu tam mieści się mój Wydział Teologiczny.

Właściwie w ogóle nie patrzyłem przez okno, nie miałem czasu na podziwianie widoków.

Zagłębiałem się w rozprawach, traktatach, a ostatnio skupiłem się na poprawianiu mojej pracy.

Niema pan pojęcia, ile, nawet po krótkim czasie od napisania, znajduję błędów i nieścisłości w poszczególnych rozdziałach.

Ignaz spojrzął kątem oka na Sigmunda, który stał obok niego.

Panie von Mach rzekł suchym tonem proszę spacerować się do okolicznych drzew.

Za kwadrans proszę dostarczyć mi tutaj spis najczęściej występujących gatunków.

Słucham?

Mówię wyraźnie.

A tutaj ma pan kartkę i ołówek.

Deszcz, o ile widzę, nie pada, więc pismo się nie rozmaże.

Oczywiście potulnie wyszeptał Sigmund.

Nie muszę nadmieniać, że pożądane byłoby, aby spisowi towarzyszył choć jeden liść z każdego gatunku.

Może pan odejść.

Nastąpiła chwila konsternacji.

Von Mach oddalił się zaraz szybkim krokiem, nerwowo spoglądając na zegarek, tymczasem pastor w niemym zdumieniu przypatrywał się scenie.

Kiedy zostali sami, zamierzał spytać Brauna o cel przedsięwzięcia, ale inspektor obrócił kuniemu tak niewinną i jasną twarz, że pytanie zawisło gdzieś w czeluściach strun głosowych duchownego.

I nieciekawiały panawidoki za oknem?

Ignaz powrócił do przerwanej rozmowy.

Nie bardzo.

Pracy było tyle.

Nie jest pan więc człowiekiemciekawym doczesnego świata?

niewinnie spytałBraun.

182

Moim zadaniem jest uzyskanie jak najstaranniejszego wykształceniатеologicznego.

A jednak.

Jednak jest coś, araczej ktoś, kto maćipanu spokój duszy, jakże potrzebny do uzyskania doktoratu.

Po twarzy pastora przemknął cień.

Mężczyzna przygarbił się i uciekł wzrokiem od rozmówcy, wpatrując się, możliwie jak najdłużej, w Sigmunda próbującego dosięgnąćdość nisko zawieszanej gałęzi młodego dębu.

Przed policją nic się nie ukryje.

Drogipastorze, proszę uwierzyć, nie trzeba byćpolicjantem, aby zauważyćpańskie uczucie do pannyNeiss.

Naprawdę widać, że ja.

Ślepy by zauważył.

Cóż, przyznaję się do mojej słabości.

Panna Elzajestdla mnie bardzo ważna.

Pan, inspektorze, jest katolikiem i z pewnością ma inne zapatrywania niż ewangelicy na kwestię celibatu, ale musi pan przynajmniej przyznać, że będąc pastorem, nie robię nic zdrożnego, myśląc poważnie o.

pannie Elzie.

Rzecz jasna Ignaz uśmiechnął się zyczliwie.

Tym bardziej, że do ręki Elzy jest daleka droga.

Okulary z nosaduchownego powędrawały do rąk; ruchy chusteczką były nerwowe i nieregularne.

Ma pannamyśli zachowanie Elzy podczas tamtegowieczoru, prawda?

Ale ona bywa inna.

Bywa dobra, życzliwa i miła.

Jak często?

Braun postarał się, aby zadać statnie pytanie możliwie łagodnym tonem.

Zbyt rzadko pokiwał głową Class.

Widzi pan, ilekroć znajdujemy się w większym gronie osób, w Elzę jakby wstępował zły duch.

Jak gdyby chciała popisać się przed innymi władzą nade mną.

A nie próbował pan przypadkiem, choć to raczej kobieca sztuczka, udawać wobec niej obojętności?

Moja żona mówiła, że metoda jest nadwyróż skuteczna.

Pastor próbował, ale spotkało go coś, co wczarnych barwach malowało przyszłość jego uczucia.

Dziewczyna była zachwycona!

Z ulgą przyjmowała brak zainteresowania

wania ze strony mężczyzny i dopiero wtedy było ją stać na obojętną życzliwość wobec niego.

Właściwie dlaczego pyta pan inspektor o tak intymne sprawy?

w duchownym obudziła się czujność i pewien rodzaj instynktu samozachowawczego.

Każde pytanie podczas naszej rozmowy ma swój sens Braun zbył pastora powiedzeniem zasłyszany mna letnim obozie szkoły policyjnej.

Przywraca mi pan świadomość mojej sytuacji, inspektorze smutno uśmiechnął się pastor.

W ostateczności pan jest przesłuchującym, a ja przesłuchiwanym.

Nie upraszczajmy Braun zdobył się na pobłażliwość.

Tak się składa, że i pan, i ja będziemy podczas wykonywania swoich profesji do zwycięstwa prawdy.

Działamy w różny sposób, ale cel jest ten sam.

Georg Class zadumał się nad słowami inspektora.

Potem spojrział wysoko w niebo i chciwie łowił uszami ptasietrele i szum drzew.

Pozwalał, by promienie łagodnego słońcamuskały jego twarz.

Dobrze, że tu jesteśm powiedziałwreszcie.

Mówi pan jak apostoł przed Ostatnią Wieczerzą.

Rzeczywiście.

Dla pastora przebywanie w takim miejscu było nowością.

Był wdzięczny inspektorowi, że ten zaproponowałspotkanie właśnie na kalwarii.

Zaczął mówić, najpierw wolno, z rozwagą, potem pozwolił, aby jego myśli swobodnieprzemieniały się w słowa.

Nigdy dotąd nie przyszło mu na myśl, aby marnować czas na podobne błahostki.

Kiedy po całym dniu wykonywania obowiązków duszpasterskich, a ostatnio pracynad doktoratemmiałneco czasu dla siebie, ze zdziwieniemspoglądał na zegarek i konstatawał, że najwyższy czas zagłębić się w pościeli i zasnąć, aby nabrać sił na następny, podobny do wszystkich poprzednich dzień.

Może dlatego urzekła pana Elza?

Jest tak inna od wszystkiego, w czym pan wzrastał i trwał.

184

Może.

Jej reakcje bywają tak niespodziewane, tak.

niemieszczańskie, gdyby pan usłyszał, co ma dopowiedzenia na temat naszej świętej wiary ewangelickiej!

Wprawdzie jest pan katolikiem, więc z pewnością łatwiej byłoby panu przyjąć jej słowa.

Rozumiem panazgorszenie, pastorze.

Duchowny jednakże nie rozumiał sam siebie.

Słuchał niewybrednych żartów panny na temat luteranizmu i, o zgrozo, jego założyciela, musiał nawet przełykać takie wypowiedzi, w których panna Neiss chwaliła co poniektórych księży katolickich.

A jednak słuchał jej chciwie, łowił każde słowo, do brzozy, i jakże brak błagał milcząco o każdą minutkę, podczas której mógł być bliskodziewczyny.

Rozmowę przerwał Sigmund, który stanął nieśmiało przed inspektorem.

Jego jasny garnitur w kilku miejscach był przybrudzony.

Tył marynarki nosił wyraźne brązowo-zielone ślady gwałtownego kontaktu ze ściółką leśną.

Na dotychczasowe starannie zaczesanej grzywie uważny obserwator mógłby odnaleźć nitki pajęczyny.

Młodzienc, zadyszany i zaczerwieniony od wysiłku, wyciągnął w kierunku Brauna prawą dłoń, w której trzymał ołówek i zmiętą kartkę.

Druga dłoń delikatnie trzymała ogonki liści.

Gdyby nie to, że wróciłeś zbyt szybko, co stawia pod znakiem zapytania wartość twojej nikomu niepotrzebnej pracy, pochwalilibym cię może.

Jednak w takiej sytuacji.

Najpierw schowaj liście do kieszeni, kartkę też, ołówek możesz mi oddać.

Liście pod żadnym pozorem nie mogą się zgubić.

Rozumiem!

wykrzyknął von Mach.

Mam nadzieję.

Teraz obejdź dookoła kościół Trzech Krzyży.

Sigmund, aby tylko znaleźć się jak najdalej od swojego kata, ruszył w kierunku świątyni, jednak zaraz dogonił go zimny głos Brauna:

Masz tak chodzić półtora kwadransa.

Jeśli zakręcisz się w głowie, możesz zmienić kierunek.

Nie jestem małostkowy.

185.

Może jednak zdradzi mi pan, inspektorze, po co towszystko?

spytał pastor, kiedy już zostali sami.

Z chrześcijańskiego punktu widzenia.

Zapewniam pana znów niewinnie odparł Ignazze postępuję po chrześcijańsku.

Zresztą, mógłbym temumłodemu człowiekowi kazać biegać dookoła kościoła z siodłem na plecach.

Coś na kształt końskiej gonitwy.

Właściwie, byłoby to najbardziej wskazane.

Ciekawość Classa nie trwała długo.

Miał umysł praktyczny i zdawał sobie sprawę, że nie uzyska odpowiedzi.

A jednak coraz spoglądała Sigmunda okrążającegoświątynię.

Przepraszam, że zadam takie pytanie, drogi pastorze nieśmiałość Ignaza w sposóbzadziwiający kontrastowała z jego uprzednim zachowaniem.

Czy nie przeszkadzapanu świadomość, że panna Neiss jest osobą, by tak rzec, lubującą się w przyjemnościach towarzyskich, i, owszem, interesuje się mężczyznami, z tym że raczej takimi, którzysą gruboskórni?

Przecieżnie zna pan Elzyzaperzył się Georg, alerównocześnie przygarbił się.

Jakby za dotknięciem różdżkizłejwrózki, przybyło mu lat.

Nie był już beztroskim, ufnymw miłosierdzie Pańskieduchownym.

Niebył już małymchłopcem.

Jestemjak ksiądz katolicki z zakłopotaniemodparł Braun.

Wiele w życiu słyszałem, jeszcze więcej widziałem.

Niekiedyjeden przykład, wyimek rzeczywistości, skrawek potrafi powiedzieć o człowieku wszystko.

I na wieczorze u pani Neiss.

Ignazdelikatniedotknąłramienia pastora i skinął głową.

Przecież nie widział dziewczyny nigdy wcześniej.

Wtrącam się w pana życie, mam tego świadomość, ale czy naprawdę nie może pan spojrzeć na pannę Neissbardziej obiektywnie?

Zdaję sobie sprawę, że proponuję panu coś niby nieosiągalnego, ale niekiedy ziarnko gorczycy sprawia niespodziankę.

Której efekty są błogosławione.

Dlaczego pan to robi?

186

Czy nie przyszło panu na myśl Ignaz zignorować pytanie, że w pańskim świecie jest wyjątkowo mało miejsca na pannę Elżę?

Że gdyby została pana żoną, mężczyliby się państwo ze sobą straszliwie?

Tak pan sądzi?

Niech pan zauważy: wokół jest tyle do zrobienia!

Skoro przez całe życie samodoskonalił się pan, warto w tym trwać.

I jeszcze jedno: proszę dobrze się rozejrzeć.

Przecież musi gdzieś być dobra dusza, która jest panu przeznaczona.

Ktoś, kto myśli podobnie jak pan, kto czeka na pana miłość, na pana uporządkowany świat.

Jeśli ufa pan Bogu, nie może pan zwątpić w Opatrzność.

Twarz pastora z początku wyrażała konsternację, zaraz jednak Class zaczął badawczo przyglądać się Ignazowi.

I uśmiechnął się wreszcie.

Gdybym nie wiedział, że mam do czynienia z policjantem, pomyślałbym, że stoi przede mną swat.

Brakuje tylko imienia osoby, w której imieniu pan przyszedł.

Cieszę się, że wraca panu dobry humor, pastorze.

Zaręczam jednak, że moje słowa podyktowane były wyłącznie życzliwością wobec pana.

Dziękuję.

Widzi pan, inspektorze, cała tamta noc była dla mnie niespokojna.

Może ma pan trochę racji?

Georg posmutniał, wpadając równocześnie w irytację.

Nie mógł zrozumieć, jak inteligentna, pogodna i niewinna panna z wielką ochotą przystaje na towarzystwo tak gruboskórnego człowieka, jakim był Otto Meinhard.

Opowiadał anegdotki z życia studentów w Heidelbergu, w których ażroło się od nieświeżej bielizny, kobiet o podejrzanym moralności i diabelskiego nektaru, absyntu, a ona śmiała się i prosiła o jeszcze.

Mówił o pojedynkach typu amerykańskiego, sprawiedliwych lub nie, jak kto woli, a ona zapytała, czy kogoś poranił; jeśli tak, to ile razy i jak mocno.

Kiedy wspomniał o antychrześcijańskich demonstracjach masonów w Rzymie, gdzie bawił podczas swoich licznych wояży, z wielkim zajęciem zapytała o treść transparentów.

Nie, żebym bronił papieży, a do Piusa X miałbym kilka osobistych krytycznych uwag dotyczących reformy liturgicznej, ale żeby takie rzeczy wykrzykiwać pod murami świątyni?

Wyzywające spojrzenia Ottona doprowadzały pastora do obłędu.

Elza natomiast odpowiadała na nie śmiałym wzrokiem, podejmując wyzwanie.

Kiedy Meinhard wspomniał, nibymimochodem, o pewnej kobiecie, której miłością wzgardził, ponieważ jej bogobojność nużyła gonieźmiernie, Elza uśmiechnęła się tak, żeby pod żadnym pozorem nie można jej było posądzić o bogobojność.

Czy tylko dlatego nie lubi pan Ottona?

Pastor spojrział na Ignaza zdziwiony.

Właściwie nie mam innych powodów.

Nic o nim niewiem.

Zdajesz sobie sprawę, że jako duchowny powinienem traktować go tak jak innych ludzi, z miłością.

Ale istnieje pewien rozdziew między moimi oczekiwaniami względem własnej postawy a uczuciem.

Przykro mi.

Dziękuję za szczerą odpowiedź Braun i spojrzawszy na zegarek, dostrzegł bowiem Sigmunda powracającego od strony kościoła.

Von Mach zataczał się, jakby był po kilku mocnych piwach.

Postój tutaj i odpocznij litościwie powiedział Ignaz do młodzieńca.

Przed tobą jeszcze dziś parę zadań.

Wreszcie padło pytanie, które inspektor zmuszony był zadawać wszystkim przesłuchiwanym.

Georg odparł, że od razu po wyjściu z wieczoru udał się, wraz z ojcem, prosto do domu.

Nie byli w najlepszych humorach.

Franz Classcały czas mówił o bezczelności Ernesta Schredera, natomiast Georga rozboleła głowa, niewątpliwie wskutek zachowania Elzy.

Kiedy oboj dotarli namiejsce, żaden z nich nie miał ochoty wydłużać dnia i udał się do swoich łóżek.

Młodszy z duchownych słyszał potem, jak ojciec jeszcze pół godziny kasłał w swoim pokoju, co oznaczało, że niewątpliwie znajdował się u siebie.

On zaś, Georg, długo przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.

188

Niestety, chyba niepotrafiłem pomóc panu inspektorowi.

Gdyby pytania dotyczyły "Starego Testamentu", byłbym bardziej kompetentny.

Ależ drogi pastorze, każda rozmowa ubogaca policjanta grzecznie skłonił się Brauni podał dłoń Classowi.

Sigmundzie, proszę za mną powiedział z kolei do von Macha i skierował się w stronę kapliczek rozciągających się na wcześniejszych etapach kalwarii.

Duchowny ruszył w przeciwnym kierunku, w dół kumiastu.

NIESPODZIANKI

Przed ratuszem, gdzie doszli dwaj berlińczycy, stał komisarz Rudiger Rensch.

Stał jednak jedynie otyły, o ile utrzymywał się na dwóch nogach.

Całe jego ciało znajdowało się bowiem w ruchu.

Przechodząca obok korpulentna niewiasta w sile wieku, kołysząca szerokimi biodrami, nie zrobiła na nim żadnego wrażenia; gorzej, właśnie potrafił ją łokciem i nie zauważył tego.

Dama, która bezskutecznie oczekiwała na przeprosiny, odeszła rozgniewana.

Komisarz mówił głośno, wyrzucając z siebie potoki słów, nie zawsze cenzuralnych.

Jego rozmówcą był posterunkowy Bochentin.

Ignaz myślał z początku, że Rensch krzyczy na Bochentina, okazało się jednak, że posterunkowy jest jedynie słuchaczem.

Kiedy bowiem ten ostatni zauważył nadchodzącego Brauna, uśmiechnął się.

Rensch odwrócił się i uściśnął mocno dłoń berlińczyka.

Nie zdążył odezwać się do von Macha; temu ostatniemu Braun kazał oddalić się na co najmniej godzinę.

Wybaczy pan, komisarzu, ciekawość, ale widziałem pana zdenerwowanie.

Zdenerwowanie?

Ja jestem wściekły podniosłem głos Rensch.

Chociaż nie tylko!

Jestem podekscytowany

190

i skonsternowany!

Proszę na komisariat, kochany inspektorze.

Tak!

Podekscytowany i skonsternowany!

Ignaz zasiadł wygodnie w szerokim skórzanym fotelu.

Amo Bochentinstął obok fotela i bębnił palcami w parapet okna wychodzącego na Rynek, wystukując bliżej nieznanym rytmem.

Nagle obu mężczyzn przejęciem odznaczał się komisarz.

Od razu napełnił trzy kieliszki koniakiem.

Pobrzegi.

Zaczekał, aż kieliszki inspektora i posterunkowego trafią do ich ust, a potem wychylił duszkiem zawartość swojego, po czym powtórzył całą operację.

Uspokoił się nieco, odwrócił do ściany i spojrzał prosto w oczy Wilhelmowi II.

Miłościwy, Najmiłościwszy Panie!

Twoje troski wydają się niczym w porównaniu z moimi.

Tak.

Gdyby tak Twój Majestat natchnął mnie rozpoznaniem dobrego od złego.

Milczysz!

Panie komisarzu?

nieśmiało wtrącił Ignaz, mimowolnie patrząc na portret cesarza odzianego w śnieżnobiały mundur.

Ta monarsza twarz, ze starannie wypielęgnowanymi wąsikami zadartymi do góry!

Rensch szybko odwrócił się w stronę Brauna.

Jego binokle opadły nabiurko, ale zaraz powróciły na swoje miejsce.

Ma pan rację.

Tak.

Zachowuję się, jakbym był niespełna rozumu.

Nie, skądże z przekonaniem odparł inspektor.

Niepotrzebna kurtuazja, niepotrzebna westchnął gospodarz.

Ale jeśli pan wysłucha tego, co mam do powiedzenia, przyzna pan, że moje zachowanie jest w pewnym stopniu usprawiedliwione.

Z pewnością.

Zamieniam się w słuch Braun stwierdził, że koniak podany przez Renscha ma wcale nie najgorszy smak.

Posterunkowy Bochentin, który wiedział już, co zamierza powiedzieć komisarz, opanował chęć dalszego bębnienia w parapet i usiadł skromnie na krześle.

Uzyskawszy nieme pozwolenie przełożonego, z lubością zaciągnął się papierosem o ostrym, gryzącym smaku.

,-(

Ile razy zaczął komisarz zdarzyło się panu, kochany inspektorze, że jednego dnia kilka osób przyznało się do popełnienia zbrodni?

Dodam, że chodzi o tę samą zbrodnię, przy czym osoby te zaręczają, że dokonały jej samodzielnie.

Chyba nie chce pan powiedzieć, że chodzi o sprawę Theodora Pratzka?

A gdybym zasugerował taką możliwość?

Rensch uśmiechnął się, był to uśmiech właściwy początkowym stadium szaleństwa.

Ma pan jeszcze odrobinę tego smacznego koniaku?

wyszeptał Ignaz.

Kiedy na zegarze w gabinecie komisarza wybiła dwunasta, lokator gabinetu właśnie wpatrywał się w okrągłą

192

srebrną tarczę.

Pracownicy firmy Adler przed kilkunastoma dniami wnieśli do pomieszczenia i zawiesili na ścianie, na przeciwko portretu cesarza, zgrabny, choć nie najmniejszy zegar z kukułką.

Od tego czasu Rensch z wielkim zainteresowaniem, jeśli przebywał akurat u siebie, wpatrywał się w wyskakujące co godzinę drewniane stworzenie, przypominając sobie szczęśliwe czasy dzieciństwa i podobny zegar w domu dziadków.

Oczywiście nie powiedział na głos, jakim sentymentem darzy ten mechanizm.

Wraz z wybiciem godziny dwunastej w drzwiach gabinetu pojawił się Lars Hamaren.

Niezapukał nawet, po prostu wpadł jak burza i usiadł, jakby nigdy nic, przed komisarzem.

Wbił dziki wzrok w gospodarza, a potem wyciągnął obie dłonie i potrząsnął nadgarstkami: Proszę mnie aresztować!

To ja zabiłem tego fotografa!

W pierwszym odruchu komisarz chciał wezwać Hansa albo posterunkowego Kandzorrę, aby zatrzymali Norwega, jednak opanował się i poprosiło szczegóły.

Hamaren byłniemal obrażony, że odrazu nie zakuto go w kajdanki, zaczął jednak mówić.

Rozmawiał z fotografem o sztuce.

Przegadaliz kwadransiwcale nie było tak, że zajmował się jedynie kobietami.

Kiedy ma przed sobą kogoś wrażliwego, rozmiłowanego w sztuce, rozmówca od razu zyskuje w jego oczach niepomiernie.

Okazało się, że w posiadaniu Pracza znajdował się zbiór heliograviur⁵ Awita Szuberta z wiedeńskiej drukarni Paulssena, obrazujących Tatry i Pieniny.

Wiję się niespokojniei kapryśniewodospady, ciemne chmury wokół ostrych, nieregularnych szczytów, wybijała dzikościaroślinność czego jeszcze było potrzeba, aby wzbudzić w sobie natchnienie, konieczne do ukończenia symfonii?

Hamaren poprosiło wypożyczenie heliograviur, które widywał w katalogach⁵ Heliograviura jeden z rodzajów techniki druku wklęsłego.

Reprodukowany obraz fotograficzny jest kopiowany na papierze pigmentowym, następnie kopia z papieru jest przenoszona na płytę metalową (przeważnie miedzianą).

Po wywołaniu i wytrawieniu otrzymuje się formę drukową (przyp.

red.

).

wystaw i które podobały mu się od dawna.

Fotograf nie zgodził się, nie miał również czasu, jak stwierdził, aby pilnować Norwega, który w atelier, pod wpływem górskich widoków, tworzyłby muzykę.

W akcie rozpaczy artysta zaproponował, że kupi od Pratz'a heliograviury, z tym że zapłaci za niedopiero po ogłoszeniu symfonii, pierwszych koncertach i uzyskaniu godnych tantiem.

Oczywiście wejherowski fotograf wyśmiał Hamarena.

Kupy się to nie trzyma.

Nie byłoby najprościej, gdyby ten szaleniec kupił sobie w składzie księgarskim dobry album z reprodukcjami obrazków?

zapytał Bochentina.

Teoretycznie macie rację, posterunkowy odparł komisarz.

Powiedziałem mu to samo.

Spojrzał na mnie jak na jakiegoś ignoranta i stwierdził, że dla prawdziwego artysty reprodukcje nic nie znaczą.

On, Lars Hamaren, koniecznie musiał mieć przed sobą oryginały.

Pan mu uwierzył?

zapytał Braun.

Skądże!

Tak.

Ale musiałem jego zeznania zaprotokołować.

Takie są procedury.

Rzecz jasna.

Otóż to!

Nie pozostało mi nic innego, jak zamknąć go w areszcie na trzydzieści sześć godzin.

Kompletne szaleństwo!

Chyba rzeczywiście pokręcił głową posterunkowy.

Jednak na tym nie koniec.

Minęła równo godzina, gdy Heinz wprowadził Gottlieba Meinharda.

Tak.

Myślałem, że niesie kawę, której chwilę wcześniej zażądałem, a on wchodzi z tym człowiekiem.

Który przyznał się do zamordowania Theodora Pratza dodał Ignaz.

Jakby pan zgadł, kochany inspektorze kwaśno uśmiechnął się Rudiger Renschi zapalił grubą aspasię; jej gęsty dym od razu wypełnił gabinet.

Stary Meinhard wyglądał na zdeterminowanego.

Jego siwe włosy sterczały w nieładzie, zwałista sylwetka wykonywała kanciaste i nieskoordynowane ruchy.

Siadał i wstawał parę razy, wreszcie komisarz kazał mu usiąść na dłużej i, z 194

rytowany, zażyczył sobie spokojnych, jasno sformułowanych wyjaśnień.

Sumienie nie pozwalało Gottliebowi Meinhardowi dłużej ukrywać zbrodni, której dokonał.

Nie, nie znał wcześniej Theodora Pratza osobiście.

Ściślej, poznał go w dzień lub dwa po przyjeździe do Wejherowa.

Przyszedł po prostu do zakładu fotograficznego, aby kupić na pamiątkę kilka widokówek obrazujących charakterystyczne miejsca najbliższej okolicy.

Miał tak zwyczaj.

Stary fotograf, jako osoba towarzyska, wypytywał przybyszów o to i owo, a Meinhard, który miał akurat nieco wolnego czasu i również lubił rozmawiać, chętnie usiadł na wygodnym krześle, został

poczęstowany kruchymi ciasteczkami i odpowiadał na pytania gospodarza, sam też był ciekawy rozmaitych spraw związanych z Wejherowem.

Następnego dnia Gottlieb Meinhard także odwiedził staruszkę, a rozmowa przebiegała w równie przyjaznej atmosferze.

Tym razem jednak zaszło coś zgoła niespodziewanego.

Pratz w pewnym momencie zdradził swojemu rozmówcy, że podczas kampanii francuskiej powołany był do służby w oddziale propagandy.

To był TEN Theodor Pratz!

Meinhard upewnił się, że w sierpniu 1870 roku fotograf przebywał, wysłany przez swój macierzysty wydział dokumentacji fotograficznej działają VI Regimentu Piechoty, w nadreńskim miasteczku Bruhl.

Traf chciał, że w regimencie tym służył brat Gottlieba, Ludwig Meinhard.

Fotograf wykonał zdjęcia Ludwiga, gdy ten bił francuskiego jeńca, niezwykle bezczelnego i ubliżającego mu, pruskiemu oficerowi, chronionego przywilejem jenieckiej nietykalności.

Pratz niby niezamierzał zrobić z tych fotografii użytku, niemniej Ludwig grzecznie poprosił tamtego o zniszczenie odbitek.

Theodor, jako pasjonat fotografii, jak stwierdził, a może i z innych powodów, niezgodził się.

Ludwig, który nie chciał, aby jego niezgodne z konwencjami wojennymi postępowanie wyszło kiedykolwiek na jaw, w akcie rozpaczki wyzwał fotografa na pojedynek.

Był pewny siebie, należał w końcu do elitarnego regimentu wal 195.

czącego od początku w samym centrum teatru wojennego, i fatalnego poranka nonszalancko wymierzył pistolet w Pratz.

Równie nonszalancko wystrzelił, raniąc jedynie przeciwnika w lewe ramię.

Theodor Pratz podszedł do Ludwiga na kilka kroków i z zimną krwią wystrzelił.

Brat Meinhard nie mógł się bronić, reguła pojedynku zakładała bowiem, że w pistolecie znajdować się miała tylko jedna kula.

Ludwig był zbyt dumny, aby uciekać przed fotografem, poza tym do końca nie wierzył, że tamten zdecyduje się na morderstwo.

I Pratz zabił oficera!

Asekundanci?

zdziwił się Braun Przecież musieli tam być sekundanci!

Patrzyli, i nic?

Byli!

Tylko że oni także nie wierzyli w podłość Pratz.

Tak.

Później natomiast stchórz yli.

Pojedynki podczas działań wojennych były zakazane, a oni nie chcieli sięmścić.

Nie wiedzieli też, gdzieukryć ciało, a co dopierodwa!

Ryzyko byłobyjeszcze większe.

Tak, teren był patrolowany, nie zdążyli nawet zakopać ciałaLudwiga.

Zresztą paręnaście minut później nastąpił alarm i cała jednostkawyruszyła w kierunku Miluzy.

Oni jeszcze przez jakiś czasnie wierzyli, że nikt nie zauważył pojedynku.

Skąd więc Meinhard dowiedział się prawdy?

Po kilkunastu latach jeden z sekundantów, kapitanBertold von Meyen, którybył śmiertelnie chory i na łożuśmierci pragnął wyznać całą prawdę, napisał do Gottliebaliś, szczegółowo opisujący tamto zajście.

Nasz Meinhardpojechał nawet do kapitana, a tamten wszystko potwierdził.

Nie udało się jednak Gottliebowi odnaleźćPratza, apóźniejwzmożone obowiązki iopieka nad bratankiem nie pozwoliły naszemu podejrzanemu na dalsze poszukiwania.

Terazjednak, gdy stanął oko w oko z mordercą, nie wytrzymał napięcia, powróciły wspomnienia i po zakończeniu wieczoru u pani Neiss dokonała się zemsta.

Nie muszę chyba dodawać, żeMeinharda również musiałem zatrzymać.

Braun nie wiedział, jak odnieść się do wszystkiego, couśłyszał.

Oba zeznania równie dobrze mogły być prawdziwe (nie takich "spowiedzi" już wysłuchiwał), jak ifałszywe,

196

podyktowane jakimś interesem, nieznanym przedstawicielowi cesarskiej policji.

Jestem podwrażeniem, komisarzu słowa wypowiedziane przez Ignaza świadczyły o tymczasowej bezradności.

Kochany inspektorze!

Renschz całej siły uderzył pięścią w blat masywnego dębowego biurka, aż kieliszki zadźwięczały.

Gdybyż na tym zakończył się ten wariackidzień!

Posterunkowy zaśmiał się cynicznie, ale oficerowie nieusłyszeli go.

Nie dalej jak o piętnastej Heinz wpuścił tutaj Gertrudę Dangel.

Czyżby i ona?

Ależ oczywiście!

Te baby, to znaczy głównie Elza, miały rację.

Dangel jest stuknięta!

Tak.

Kompletna wariatka!

Pozwoli pan, że poczęstuję koniackiem?

Słaby protest inspektora ustał, zanim okazany został Renschowi.

Ignaz uznał zresztą, że w takiej sytuacji następna pięćdziesiąteczka jest potrzebna, a nawet konieczna.

Bochentin również nadstawił swój kieliszek, a w komisarzy zanikły wszelkie przesady hierarchiczności i przywiązanie do ustalonego porządku rzeczy.

Mimo przeżyć ostatnich godzin, wytrzymałem dokońca.

Tak.

Jestem z siebie dumny, nie wydarłem się na nią i nie próbowałem wygnać do stu diabłów, chociaż, Bóg mi świadkiem, miałem na to wielką ochotę.

I cóż powiedziała panna Dangel?

Nasza świętobliwa diakonisa na samym początku oświadczyła, że zamordowała Theodora Pratza i chce ponieść tego konsekwencje.

Tak.

W tej jednej chwili miałem ochotę ją zabić.

Riidiger Rensch zaraz zmitygował się.

Jestem w końcu policjantem, opanowałem się i kazałem jej opowiedzieć wszystko pokolei.

Panna Gertruda znała fotografa od zawsze, to znaczy od urodzenia, a przynajmniej od czasów, kiedy nauczyła się

chodzić i mówić.

Z żyjącymi jeszcze wtedy rodzicami nieraz chodziła do miasta, zaglądali wtedy do rozmaitych sklepów, robili zakupy.

Zwyczajna rzecz.

Widywała Pratz na ulicy, jak przemyczał spieszonym krokiem ze swoim przenośnym warształem pracy.

Kiedy chodziła do szkoły elementarnej, tak zwanej zamkowej, bo usytuowanej przy dobrach hrabiostwa Keyserlingów, fotograf zapraszany był systematycznie w mury szkolne w celu wykonywania pamiątkowych zdjęć dzieci z nauczycielami.

Ostatnimi laty Gertruda kilka razy udawała się osobiście do zakładu Theodora Pratz, aby odebrać czyjeś fotografie, raz nawet z Eleonorą Gephard dała sobie zrobić pamiątkowe zdjęcie na tle planszy przedstawiającej górski strumyk.

Pewnego dnia, proszona przez sąsiadkę o wywołanie odbitek z konfirmacji wnuka, zaszła do starego fotografa.

Ten był naturalnie ożywiony.

Śmiał się, mówił dowcipy, zaproponował Gertrudzie szklankę selterki.

Upał był wtedy wielki, w maju zdarzają się takie dni, więc chętnie przyjął poczęstunek.

W pewnym momencie Pratz stwierdził, że już dawno nie pozowała do jego fotografii, ostatnio właśnie w towarzystwie Eleonory.

Gertruda nie miała ochoty na uwiecznienie swojej osoby dla potomności, ale czuła, jak w jej głowie pojawiają się szumy, a nogi odmawiają posłuszeństwa.

Zauważyła jeszcze, jak fotograf podszedł do niej, bacznie przyjrzał się słabnącej dziewczynie, a wreszcie zaczął przygotowywać aparat do wykonania zdjęcia.

Wtedy straciła przytomność.

Gdy się obudziła, siedziała, półleżąc, na krześle nieopodal blatu w przedniej części zakładu.

Za oknem panował już mrok.

Fotograf stał metr od niej i z troską przyglądał się pannie otwierającej oczy.

Zapytał z trwogą, co się z nią dzieło.

Odparł, że zasłabła, najwidoczniej wskutek upału.

Otumaniona jeszcze Gertruda pożegnała fotografa i niepewnym krokiem ruszyła w kierunku domu.

Dopiero wtedy zauważyła swoje odbicie w wystawiesklepowej.

Włosymiała w nieładzie, a bluzka była krzywo zapięta.

Już w do 198

mu zorientowała się, że jej bielizna była zdejmowana, a gorset zawiązany tak, jakby kazano wiązać go pięcioletniemu dziecku.

Była przerażona.

Nie znalazła jednak żadnych śladów gwałtu.

Dlaczego niezawiadomiła policji?

Kochany inspektorze!

Jeżeli akurat było tak, jak zeznała, całkowicie ją rozumiem.

Tak.

Choć, rzecz jasna, nie pochwalam.

Kobiety, zwłaszcza na prowincji, są przekonane, że ewentualna wina będzie tak zawsze po ich stronie.

Mężczyzn się wybroni.

Tak myślą.

Ona wtedy nie przekroczyłaby dobrowolnie progów komisariatu!

Tak.

A co by się stało, gdyby o wszystkim dowiedzieli się superintendent?

Mogłaby się pożegnać ze stanem, jak zamierzała obrać.

Czy byłaby winna, czy nie, to już kwestia drugorzędna.

Ma pan rację, komisarzu przytaknął Braun.

Czy próbowała jednak dowiedzieć się od fotografa, co działo się z nią po wypiciu selterki?

Nie próbowała.

Chciała wyprzeć z siebie to, czego nawet nie była świadoma.

Przez kilka dni myślała się nieustannie, nie mogła spojrzeć sobie w oczy, nie odważyła się na ponowne odwiedziny u Theodora Pracza.

A przecież ryzykowała, ponieważ nie była pewna, czy mężczyzna nie wykonał jakichś kompromitujących ją fotografii.

Wstręt był silniejszy od niepewności.

Minął jakiś czas, niestety zbyt krótki.

Widmo fotografa pojawiło się przed nią nawieczorze u pani Wilfridy.

Nie mogła znieść widoku Pracza.

Powrócił wstyd i upokorzenie.

On zachowywał się jakby nigdy nic.

Niemyślała logicznie.

Pragnęła zemsty.

Nie chciała czekać każdego dnia na ponowne, nawet przypadkowe spotkanie z fotografem.

Czy ją też pan zatrzymał?

niespodziewanie miękko zapytał Ignaz.

A czy miałem inne wyjście?

Rensch rozłożył ręce, ale zaraz uśmiechnął się znacząco.

Chyba że nie przyjąłbym zeznań, nie kazał ich zaprotokołować.

I dlatego panna Dangel jest już w domu?

Zgadza się!

199.

Jest pan rycerski w stosunku do dam.

Zresztą na pewno zapragnął pan, przed podjęciem proceduralnych kroków, skonsultować się z kolegą z Berlina?

Genialny!

Jak zawsze, genialny!

komisarz napełnił trzy kieliszki i wznosił niemy toast, zaraz jednak podrapał się po głowie.

Na jego twarzy odmalowała się troska.

I co my teraz zrobimy?

Tak, co my teraz zrobimy?

Nadmiarszczenia!

Podobno jednak od przybytku głowa nie boli, ale potrójne szczęście w karierze policjanta podczas jednego popołudnia to już zdecydowanie za wiele Ignazowi, mimo żartobliwej formuły, również nie było do śmiechu.

SZATAN

Wieczór był spokojny.

Po całym dniu spędzonym na prowadzeniu śledztwa Braun z przyjemnością zapalił wonne cygaro, siedząc na werandzie Königlich Hof.

Przyjemny był moment przykładania do cygar zapalonej zapalniczki i obserwowanie, jak ulatuje pierwszy obłoczek błękitnego dymu, jak stopniowo nabiera śmiałości i zaleca się fantazyjnymi kształtami.

Przyjemnie było też poczuć w ustach mocny aromat.

Dobrze było zasiąść w chłodzie nad kieliszkiem likieru migdałowego (z nutką wanilii) i słuchać szmeru przepływającego nieopodal Cedronu.

Cała reszta była już tylko obowiązkiem.

Rutynowym dążeniem do wykrycia mordercy.

Od pewnego momentu wszystko układało się po myśli inspektora.

I nagle te zeznania!

Czy Theodor Pratz mógł być ofiarą Norwega?

Tak, szaleńcy gotowi dla posiadania dzieła sztuki popełniać zbrodnie zdarzali się w historii wcale nierzadko.

Czy Theodor Pratz mógł podstępnie zabić Ludwiga Meinharda?

Mógł, wojna wyzwala w spokojnych dotąd ludziach najgorsze instynkty, a zemsta brata nie jest niczym niezwykłym, rodowe atawizmy bywają bardzo silne.

201.

Czy Theodor Pratz mógł dokonywać czynów lubieżnych na Gertrudzie?

Mógł.

Był artystą, tacy mają niezwykle pomysły, zresztą na pewno obcował z aktami, być może lubieżność zagnieździła się w jego umyśle właśnie pod wpływem widywanych fotografii?

Z kolei Gertruda mogła go zabić.

Jest osobą zdecydowaną, posiada silną, dominującą osobowość, a pod wpływem wyznawanych wartości przykładawiejszą niż inne młode kobiety wagę do czystości cielesnej.

"W dodatku ten starotestamentowy przechył u luteran" pomyślał Braun.

Kara za grzechy, jak najbardziej doczesna; roi się od takich sytuacji w "Biblii", począwszy od ksiąg Mojżeszowych.

Ignaz usłyszał szybkie kroki, których stukot stawał się coraz głośniejszy.

Wiedział, kto nadchodzi, więc leniwie odwrócił głowę w kierunku przybysza.

Dobry wieczór, panie inspektorze karnie uklonił się Sigmund von Mach.

Jesteś wreszcie.

Przybyły otworzył zegarek i bezradnie spojrzął na Brauna.

Nie spóźniłem się.

Nie powiedziałem, że się spóźniłeś.

"Wreszcie" oznaczało niewysłowioną tęsknotę, z jaką cię oczekiwałem.

Mówiliśmy już dziś zresztą o punktualności.

Kpiarski ton Brauna jeszcze bardziej zmieszał Sigmunda.

Panie inspektorze, zrobiłem, co w mojej mocy.

Diabelnie szybko, przepraszam, bardzo szybko działałem i dzięki kontaktowi w Gdańsku dowiedziałem się istotnej rzeczy.

Znakomicie.

Zasługujesz więc na ścięcie, a nie nadożywotnie galery.

Porozmawiam w swoim czasie z katem, obiecuję, że będzie działał sprawnie i kulturalnie.

Panie inspektorze.

Dobrze, mów.

A więc Theodor Pratz podczas wojny, wiem to od Heinricha Mossa, którego poznałem podczas

podczas wyścigów w Sopocie, a który w gdańskim garnizonie ma dostęp do kopii archiwaliów wojskowych, rzeczywiście służył w dziale propagandy i miał dokumentować działania wymienionego przez pana regimentu.

202

Osobliwe.

Gdybyś nie był skończonym łotrem, dochrapałbyś się w policji znaczącego stopnia, może nawet posterunkowego.

Von Mach, nie zważając na ironię Brauna, po raz pierwszy od wielu godzin uśmiechnął się blado.

Był zziębnięty i odruchowo przysiadł na krześle obok inspektora.

Czy pozwolił mi usiąść?

Nie.

Więc wstań.

Młody człowiek wyprężył się jak struna.

Teraz możesz usiąść.

Dziękuję.

Przejrzałem, oczekując natelegram od Mossa, prasę ogólnoniemiecką w tutejszej bibliotece.

Ostatnie dwa lata.

I było tam wiele artykułów, może raczej notatek, o współczesnych artystach.

Wszystkie niezbyt pochlebne.

Podstawowy zarzut: piją.

Narkotyzują się opium, wzbudzają w sobie dziwaczne wizje poprzez picie absyntu.

Preferują wolne związki z kobietami, zazwyczaj tymi o podejrzanym reputacji, ale też uwodzą niewinne mężatki i dorastające panny.

Nie chodzą do zboru czy kościoła.

Sam słyszałem o ich obyczajach.

Co z przestępstwami?

Otóż to Sigmund był z siebie dumny.

Przez dwa lata, chociaż mogłem coś przeoczyć, nazbierało się osiem morderstw, dziewiętnaście kradzieży i sto trzy fałszerstwa dzieł sztuki.

Kradzieże również dotyczyły dzieł sztuki.

Nasz Norweg, gdyby zabił Prata, nie odstawałby zbyt od normy, jaka wyłania się z doniesień prasowych.

Mam jednak nadzieję, że przejrzalesz również prasę liberalną.

Rozumiesz, konserwatywni dziennikarze mogli być stronniczy.

Oczywiście!

Na fotografów nie starczyło już czasu, więc zgromadzeniem danych statystycznych nie mogę się pochwalić.

Trudno.

Jednak przy okazji zerkałem na to.

Cóż, w prasie przeważają reklamy zakładów fotograficznych i doniesienia-203.

o technologicznych nowinkach, jedynie dwa razy widziałem coś, co mogłoby pana inspektora zainteresować.

W Tuluzie miejscowy fotograf skazany został na dwanaście lat za wykorzystywanie dziewcząt fizycznie i, że tak powiem, artystycznie, natomiast drugi przypadek dotyczył fotografa zdradzającego żonę z modelkami męskimi.

Było ich wielu.

Obrzydliwie, ale podali to w formie ciekawostki.

Dobrze.

Gwałty?

Młodzieniec stracił entuzjazm.

Nic nie rzuciło mi się w oczy.

Przepraszam.

Reakcją Brauna był szczerý śmiech.

Ze społecznego punktu widzenia to znakomita wiadomość.

Dlaczego się zmartwiłeś?

Pomyślałem, że pan inspektor będzie sądził, iż niedość uważnie przeglądałem prasę.

Ignaz z ukrywaną sympatią spojrział na Sigmunda, zaraz jednak przybrał srogi wyraz twarzy.

Uczysz się reguły stajesz się posłuszny.

Szkoda, gdyby nie twoje uczynki, byłby z ciebie pożytek.

Żyłbyś jeszczez kilkadziesiąt lat.

Szkoda.

Nastało milczenie.

Dookoła mężczyzn słychać było słowicze trele.

Koniki polne zamieszkujące hotelowy ogród żywiły się i chwilami dominowały nad słowikami.

Powietrze było świeże, pierzchno gdzieś zmęczenie miasta całodziennymi zabiegami o zwyczajne sprawy.

Księżyc oświetlał niepełną tarczą ogród, taras i bryłę budynku.

Ignaz umoczył usta w alkoholu, odetchnął pełną pierś i chciał powiedzieć coś stosunkowo ważnego dla dalszego przebiegu śledztwa.

Nie zdążył.

Odstrony wyjścia dało się słyszeć mocny stukot butów i oto przed inspektorem stanął Georg Class.

Dyszał ciężko, jego twarz czerwieńla się chorobliwym rumieńcem.

Zawsze gładko przyczesane włosy sterczały kilkoma rogami ułożonymi na różne strony.

Duchowny miał na nosie binokli, dopiero stanąwszy przed Braunem, wyszarpnął je z kieszeni i nałożył krzywo na nos.

Panie inspektorze!

Pragnę natychmiast złożyć zeznanie.

Dotyczące Theodora Pratzta?

zdumiał się Ignaz.

W rzeczysamej Class nerwowo spojrział na vonMacha, ten zaś zwrócił wzrok na Brauna.

Młodzieńcze szybko syknął Ignaz proszę zostawić nas samych.

Proszę udać się do pokoju i czekać w pogotowiu na moje wezwanie.

Oczywiście Sigmund, jakto miał ostatnio w zwyczaj, uklonił się i oddalił bezszelestnie.

Braun niemalże współczuciem spojrział na zdenerwowanego Georga.

Proszę usiąść, pastorze.

Dziękuję, wolę mówić na stojąco odparł duchowny, po czym od razu usiadł.

Chciał zacząć, ale zabrakło mu oddechu.

Roztrzęsionymi dłońmi próbował poprawić uczesanie, ale efekt był jeszcze gorszy od poprzedniego.

Przyjąwszy od Brauna papierosa, zaciągnął się i zakrztusił.

Przepraszam.

Nigdy jeszcze nie paliłem.

Panie inspektorze, chcę z całą mocą i odpowiedzialnością powiedzieć, że zamordowałem Theodora Pratzta.

Okłamałem pana podczas naszej ostatniej rozmowy.

Jestem całkowicie, ja i tylko ja, winny zbrodni.

Chociaż dodał ciszej ten człowiek zmusił mnie swoim postępowaniem.

Ignaz westchnął.

Próbował sobie wyobrazić mimikę twarzą komisarza Renscha, gdyby ten usłyszał wyznanie rzuczone właśnie przez duchownego.

Proszę się uspokoić.

I mówić jedynie o tym, co jest zgodne ze stanem faktycznym.

Dziękuję, panie inspektorze.

Już się uspokoiłem.

Bałem się dziś rano.

Wcześniej też się bałem, strasznie lękałem się o moją przyszłość, o doktorat, o ojca, o cały mój świat.

Niech Bóg mi przebaczy ten strach.

I tę zbrodnię.

Georg mówił coraz spokojniej.

Sam nie podejrzewał siebie o taki talent do ukrywania prawdy.

Przedtem brzydził się kłamstwem, tymczasem od

205.

momentu zamordowania fotografa odkrywał w sobie niezliczone pokłady fałszu i obserwował zanik sumienia.

W końcu jednak, dzisiaj, odezwało się w nim ze zdwojoną siłą i sprawiło, że przyszedł tutaj, do inspektora prowadzącego śledztwo, aby wbrew sobie, wbrew wszystkiemu przyznać się do popełnienia morderstwa.

Cała historia zaczęła się jakieś trzy tygodnie wcześniej.

Pamiętam, był ciepły wieczór, taki jak dzisiaj.

Kończyłem właśnie jeden z kluczowych rozdziałów mojej pracy i nie chciałem marnować czasu na spacer.

Mogło być po dwudziestej drugiej.

Do drzwi wejściowych ktoś energicznie zapukał.

Georg, chcąc nie chcąc, poszedł otworzyć.

Przed nim stał blady i roztrzęsiony Theodor Pratz.

Zapytał o ojca, chciał się koniecznie z nim widzieć.

Powiedziałem mu, że ojciec tego popołudnia wyjechał do Ostródy na trzydniowe zebranie tamtejszego konsystorza.

Zmartwił się bardzo, obdarzył mnie niepewnym spojrzeniem i zapytał, czy naprawdę piszę doktorat z teologii.

Potwierdziłem, a wtedy on zapytał, czy mógłby ze mną porozmawiać o bardzo poważnej kwestii.

Zgodził się pan dopowiedział Ignaz, kiedy pastor zapalił drugiego papierosa, po którego sam wyciągnął dłoń.

Pratz siadł na kanapie w pokoju Georga, nerwowo rozejrzał się na wszystkie strony i zniżył głos.

Dwa dni wcześniej wykonywał zlecenie pewnego urzędnika pocztowego.

Urzędnik życzył sobie, aby sportretować jego żonę.

Fotografia miała być zrobiona w mieszkaniu urzędnika, ściślej: w przestronnym salonie,

niezbyt jasnym, ale ozdobionym ładnymi meblami i nie najgorszymi obrazami.

Kiedy następnego dnia Pratz w swojej ciemni wywołał fotografię, zmartwiały duchowny nie po raz pierwszy ściszył głos.

Oprócz urzędnika i jego żony, siedzących na kanapie, był tam ktoś jeszcze.

Proszę mówić.

Dlaczego pan przerwał?

Ponieważ pan inspektor nie uwierzy.

Wierzę w wiele rzeczy.

Na zdjęciu był szatan!

Szatan, rozumie pan?

Stał pośrodku, nad kanapą, nad tymi ludźmi!

206

Skąd pan wie, że to był szatan?

Ma pan słuszość, ja w pierwszej chwili też nie uwierzyłem Pratzowi.

Kto by uwierzył?

Kiedy jednak wyjął z kieszeni zdjęcie i podał mi, odruchowo wypuściłem je z ręki.

Potworne wrażenie!

Braun badawczo przyglądał się pastorowi.

Ten nie sprawiał wrażenia szalonego, choć był zdenerwowany.

Przecież powstaje mnóstwo fotografii astralnych, których autentyczności nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie bronić.

Ektoplazma i właśnie postaci pojawiające się na zdjęciach, a których wcześniej nie było.

Przecież zna pan takie motywy, pastorze.

Znałem też Pratza zachnął się Class.

Nie był typem człowieka, który robi pseudognostyczne sztuczki.

Pratznależał do wymierającego gatunku osób uczciwych.

I dlatego pan go zabił?

Bo nadal podtrzymuje pan tę wersję?

Przez usta pastora przeszło coś na kształt boleściwego, ale i upiornego uśmiechu.

Zabił fotografa!

Tamtego wieczoru, a właściwie przez całą noc, rozmawiał z Theodorem Pratzem na temat fotografii.

Staruszek miał zaczerwienione oczy, zapadłe policzki, a ręce trzęsły się, jakby miał o dziesięć lat więcej.

Kilka bezsennych nocy spędził na rozmyślaniach i wpatrywaniu się w potworną postać.

Wreszcie zdecydował się na poinformowanie najwłaściwszej instancji, czyli duchownego.

Przyznał, że miałby większe zaufanie do doświadczonego Franza, ale skoro Bóg postawił na jego drodze Georga, ostatecznie również pastora.

Muszę panu przerwać.

Czy ma pantę fotografię?

Duchowny bez słowa wyjął z kieszeni marynarki kopertę i podał ją Ignazowi.

Braun szybkim ruchem wyjął zdjęcie.

Jego oczom ukazały się dwie zażywe osoby w średnim wieku, siedzące na solidnej, ciężkiej kanapie, ubrane dostаточно i zmieszczającą elegancją.

Nad nimi, pośrodku, tak jak opisał Class, widniała głowa.

Rysy oblicza były nijakie.

Gdyby Ignaz miał je opisać w kwadrans po obejrzeniu fotografii, poradziłby sobie, 207.

w końcu oficer policji musi odznaczać się spostrzegawczością i pamięcią do twarzy.

Niech będzie kilka godzin, nawet doba.

Ale po dwóch?

A jeśli nawet odtworzyłby w pamięci tętwarz, opis nie nadawałby się do sporządzenia portretu pamięciowego.

Niczego charakterystycznego, jak gdyby rozmyty symbol, z którego dopiero artysta, rzeźbiarz, malarz, mógłby uformować żywy byt.

Jednakże w twarzy było coś, co zastanowiło Ignaza.

Po chwili wiedział, co.

Właśnie przeraźliwa pustka, brak wyrazu niespotykany nikogo.

To nie była ludzka twarz!

Należała do kogoś, kto nie ma żadnej nadziei, kto dotknął wszystkiego, wie wszystko, wie też, że nic dobrego go nie spotka.

Żaden człowiek, nawet umierający lub bardzo nieszczęśliwy, nie ma tak smutnych, bezbarwnych oczu, tak doskonale martwych ust.

Braun już wiedział, dlaczego pastor od razu uwierzył fotografowi.

Zakładając, że mówił prawdę.

Oddał zdjęcie duchownemu i dopił zawartość kieliszka.

Class, poczęstowany, odmówił, natomiast zapalił trzeciego papierosa.

Zdjęcie rzeczywiście robi wrażenie.

Niestety, nie jest dowodem.

Badania laboratoryjne wyjaśnią wszystko, ja natomiast chciałbym zapytać, jak związek ta twarz ma z morderstwem?

Niestety, zasadniczy.

Panie inspektorze, sam przed chwilą powiedziałem, że Pratz był człowiekiem uczciwym.

W istocie.

Nie mogę negować jego uczciwości.

Zwłaszcza teraz, kiedy sumienie odezwało się we mnie ze zdwojoną siłą.

Etyka zawodowa i uczciwość przeważały w Theodorze nad rozsądkiem, rozwagą i dobrem ogółu.

On chciał.

Chciał opublikować, ujawnić, chciał, żeby cały świat zobaczył szatana!

A pan, jako duchowny, nie mógł dopuścić do czegoś, co może przynieść skutki trudne do przewidzenia, prawda?

Duchowny ochoczo przytaknął.

Wstał, wyprostował się, spojrzał dookoła, jakby właśnie miał wygłosić kazanie.

Uci208

chły nagle słowiki i koniki polne, a księżyc przykrył niewielki, lecz ciemny obłok.

Wszystko było w rękach tego uczciwego szaleńca!

Nie był zresztą może szaleńcem, myślał prosto, nawet prostodusznie.

I kiedy przyszedł do mnie, jeszcze się wahał.

Nie przekonał go pan?

Niestety.

Używałem różnych argumentów.

Starałem się wytłumaczyć Pratzowi, że rozgłos towarzyszący takiemu zdjęciu może spowodować rozmaite konsekwencje.

U niektórych może wzbudzić niezdrową fascynację złem i skierowanie się ku kultyzmowi, a w konsekwencji doprowadzić do oddawania czci duchowi ciemności.

Przecież w dzisiejszych czasach nowe ruchy artystyczne wprost odwołują się do demonów.

Słyszał pan o Przybyszewskim?

Szalony Polak!

Oni mają w sobie coś destrukcyjnego.

Ale większość ludzi byłaby zgorszona.

Pojawi się zwątpienie w moc Bożą!

Jeszcze inni lekceważą szatana, który, według nich, wyglądać ma tak niepozornie, po prostu nie zauważą w jego obliczu tej straszliwej pustki, jaką zauważył pan i ja.

Poza tym sensacja mogłaby ściągnąć do Wejherowa żądnych sławy żurnalistów, amatorów ciekawostki zwyczajnych oszustów, którym Bóg wie co może przyjść do głowy.

I wywołać zamieszanie wśród teologów dodał Braun.

I wywołać zamieszanie wśród teologów, ma pan rację.

Iluz to narodziło się w ostatnich latach sekciarskich egzektów "Biblii", za którymi idą tłumy nierozumnych ludzi!

Konsekwencje mogłybyć niewyobrażalne.

Opowiadając mi o tym, sam zamyślił się nad tym, co powiedział.

Zza chmury powrócił księżyc, tylko koniki polne i słowiki nie wiedziały, co począć po usłyszeniu tak zatrważających prognoz.

I przez cały ten czas walczył pan z fotografem na argumenty?

Niekiedy zdawał się przekonany.

Nie musiałem prosić o dyskrecję.

Mówił, że kopie sądnie jego i moja.

Zleceńdodawcom powiedział, że zdjęcie się nie udało.

Niemogłem spać ani jeść.

Kiedy dwutygodnie temu musiałem

jechać do Królewca, każdej minuty drżałem na myśl, że Pratz w tym czasie rozesłał kopie zdjęcia do gazet.

Na szczęście nie rozesłał, ale na dzień przed wieczorem upani Neiss przyszedł do mnie i powiedział, że jego decyzja jest ostateczna.

Następnego dnia po wieczorze miał zawieźć pierwszą kopię do "Danziger Tageblatt".

A jeśli by się rozmyślił?

Ignaz był sceptyczny.

Pokazał mi kopertę ze zdjęciem, był bardzo zdeterminowany.

Widzi pan, znałem Pratz'a od zawsze; jeśli mówił poważnie, wszyscy wiedzieli, że nie rzuca słów na wiatr.

Uwaga Brauna, że na wieczorze u pani Wilfridy duchowny nie sprawiał wrażenia zajętego czymś innym niż uczucie Elzy, nie zrobiła na nim większego wrażenia.

Ja jestem pastorem.

Domoich obowiązków należy powściągnąć, kiedy to konieczne, wszelkich emocji.

Nie mogę pozwolić sobie na epatowanie bliźnich własnymi nastrojami.

Zaręczam jednak, inspektorze, że wewnątrz cały się gotowałem.

Pan Pratz też był spokojny, ale spokojem człowieka, który już zdecydował.

I po zakończeniu spotkania.

Szczegółów panu oszczędzę.

Ojciec zasnął prędko, wymknąłem się z domu, sądząc, że zastanę Pratz'a u siebie.

Tymczasem on był gdzieś jeszcze, wracał i zastałem go na podwórku.

Proszę o aresztowanie.

Ignaz spojrzał prosto w oczy młodego pastora.

Malowały się w nich zdecydowanie, upór i odwaga.

Inspektor pomyślał, że w Georgu kłębią się wszelkie możliwe uczucia, oprócz jednego żalu za

popelnioną zbrodnię.

A przecież taki, według Classa, był powód jego wieczornych odwiedzin.

Człowiek, który poświęcił się, popełnił morderstwo dla dobra ogółu.

Dotknięty dłonią inspektora, dzwoneczek hotelowy przywołał boja Wilhelma.

Mój chłopcze, zawołaj tutaj pana von Macha.

Z pewnością jest w swoim pokoju.

Tak jest!

ochoczo powiedział Wilhelm, obrócił się na pięcie i pobiegł wykonać polecenie.

SKOMPLIKOWANE

LUDZKIE CHARAKTERY

Berliński inspektor miał niejasną świadomość, że zchwila, kiedy pojawił się przed nim Georg Class, wieczór miał się dopiero rozpocząć.

Nigdy nie lubił prowadzić śledztwa w nocy, ale wiedział też, że niekiedy okoliczności zmuszają funkcjonariusza do robienia tego, co nie jest mu w smak.

W domu komisarza Renscha panowała wyjątkowa cisza.

Pani Katarzyna kończyła właśnie wyszywanie monogramu na nowej chusteczce, którą zamierzała podarować swojej serdecznej przyjaciółce, Adelajdzie Horn.

Kiedy zajęta była robótkami, wymagała odměza spokoju i niewchodzenia do saloniku, który zajmowała.

Komisarz udawał, że martwi go niezwykły stan rzeczy, w skrytości ducha zacierał jednak ręce i sięgał

po lekturę, ostatnio zajmowały go "Opowieści niesamowite" Edgara Allana Poe.

Wieczorami na ogół miewał mroczne zamyślenia literackie.

Kończył właśnie ostatnie strony "Berenice", gdy oto donośne pukanie do drzwi spowodowało, że jego żona krzyknęła z saloniku, by sprawdził, kogo diabli niosą do porządnego domu o tak późnej porze.

211.

Panie komisarzu, pokornie przepraszam, że niepokoję, ale sprawa jest niecierpiąca zwłoki nieśmiało odezwał się Sigmund von Mach na widok marsowej miny szefowejherowskiej policji.

A co pan, u licha, ma mi do powiedzenia?

Ja nic, nieśmiałym spuścił głowę młodzieniec.

Ale inspektor Braunprosi pana komisarza do siebie, do Kóniglicher Hof.

Von Mach zniżył głos.

Oczywiście chodzi o morderstwo.

O Theodora Pratz.

Posterunkowy Bochentin siedział w kuchni.

Trzymał przed nosem "Najcelniejsze dowcipy o stróżach prawa" autorstwa Ottona Lischkego, które poprzedniego dnia pożyczył mu Heinz.

Z książeczką naturalnie nie należało obnosić

się w pracy, więc Arno oddawał się lekturze w chroniący prywatność domu.

Żona posterunkowego wprowadziła człowieka, którego policjant, jak zresztą nikogo innego, niespodziewał się ujrzeć późnym wieczorem.

Nie słyszał pukania do drzwi, zajęty zabawną lekturą.

W dodatku okoliczności ze wszechmiar nie sprzyjały przyjmowaniu gościa, zwłaszcza pochodzącego z dość wysokiej sfery.

Arno Bochentin moczył bowiem nogi w wielkiej emaliowanej misce.

Ubrany był w rozpiętą domową koszulę ze stójką i białe kalesony, co nie licuje z godnością funkcjonariusza cesarskiej policji, nawet jeśli posiada on jedynie stopień posterunkowego.

Pan Sigmund von Mach?

krzyknął gospodarz, jakby chcąc się upewnić, że wzrok go nie myli.

Tak cicho odpowiedział intruz.

Najmocniej

przepraszam pana posterunkowego, ale komisarz Rensch.

I inspektor Braun.

Znowu cię wzywają?

Wiedziałaś, że tak będzie, na długo przedtem, nim za ciebie wysłałam wtrąciła pani Bochentin.

Mąż przewidującej kobiety był jednak mile połączony sposobem, w jaki zwracał się do niego von Mach.

Tak zwracano się w jego obecności jedynie do komisarza.

212

Niechże pan się uspokoi powiedział protekcjonalnie.

Proszę czekać w korytarzu, za chwilę będę gotowy.

Taras hotelu, tak niedawno będący świadkiem wyznania pastora Classa, stał się miejscem policyjnej narady.

Trwała ona niedługo.

Niecodłużej, na samym początku, inspektor Braun tłumaczył komisarzowi i posterunkowemu, co spowodowało zaproszenie ich o tak nietykalnej porze.

Stamtąd policjanci udali się do atelier Theodora Pratza, uprzednio zabierając z komisariatu klucze do królestwa fotografa.

Spędzili w nim pracowite dwie godziny, przetrząsając wszystko, co tylko się dało.

Tym razem ich poszukiwaniem było konkretny cel znalezienie teczek z fotografią przedstawiającą szatana.

Posterunkowy Bochentin nie raz zaklął przy pracy, komisarz Rensch klął w głos, paląc cygaro za cygarem, co nie przeszkadzało mu w sprawnym przerzucaniu stert zdjęć, kalotypów, heliogramów i wszystkiego, co mogło zagradzać drogę do wymarzonego znaleziska.

Braun szukał znacznie spokojniej i nie okazywał rozczarowania, gdy każda kolejna wyspa fotograficznych zbiorów okazywała się niezawierać tego, co należało.

A jeśli pastor był tutaj po zabójstwie Pratza i zabrał dowód?

Na wszelki wypadek, aby nikt nie ujrział zdjęcia?

zapytał wreszcie inspektor.

Drugą kopię, jak zeznał, miał tylko on.

A jak by wszedł?

Wyobrażo pan sobie z wytrychem?

Dlaczego zresztą, u licha, miałby pana okłamaćw takiej sprawie, skoro przyznał się dozabójstwa?

przytomnie odparł posterunkowy.

Ponieważ dusza ludzka jest skomplikowana.

Możechciał oczyścić swoje sumienie wyznaniem, ale tak,aby nieznaleziono dowoduna jego prawdomówność.

W takim wypadku byłby uniewinniony.

Nikt nie chce siedzieć w więzieniu.

Przyznać się, a nie byćukaranym!

A wytrych?

Nie znaciemożliwości ludzi zdeterminowanych?

Zresztą, kupić możnanie takie rzeczy.

213.

Komisarz, gasząc reszkę cygara, zaśmiał się nerwowo.

Sugerujępan więc.

Tak, zróbmyrewizję w mieszkaniu pastora.

Gdziekolwiek znajdziemy zdjęcie, będzie dowodem jego prawdomówności.

Czy pan wie,na co się decydujemy?

zapytał Rensch,a'zarazpotem dodał: Chodźmy więc!

Tak, chodźmy!

FranzClass, obudzony równo o godzinie drugiej w nocy,wyglądał na otumanionego.

Długo nie mógł zasnąć.

Wiedział już, że jego syn znajduje się w areszcie, i nie spodziewał się, że choć na chwilę zmruży powieki.

Sen okazał się silniejszy.

Na widok policjantów pastor pomyślał, że czeka go długie i przykre przesłuchanie.

Stało się jednak coś znacznie gorszego.

Komisarz Rensch pokazał mu nakaz przeszukania.

Pastor nie zdążył nawet zaprotestować, a już posterunkowy Bochentin znajdował się w pokoju należącym do Georga.

W jego ślady poszli oficerowie.

Po dobrych paru minutach Franz Class ryknął:

Jak śmiecie!

Pan starosta wywali was na zbity pysk Wejherowa!

Pana i tego posterunkowego!

A ty, młodyczłowieku oskarżycielskim gestem wbił palec wskazujący w powietrze tuż przed Braunem nie wiesz jeszcze, że znam w Berlinie generała von Zellten!

Cieszę się, że teraz już wiem.

Zaraz poproszę o okazanie nam również swojego pokoju i gabinetu.

Jakim prawem?

Nakaz obejmuje całe mieszkanie.

Tak nieśmiało odparł komisarz, który powoli zaczynał żałować, że zgodził się na szaleńczy pomysł Brauna.

Inspektor w końcu odjechał do swojego Berlina, gdy tymczasem on, Riidiger Rensch, zostanie sam na sam z pastorem i starostą Keyserlingiem, oddanym przyjacielem duchownych ewangelickich.

Kiedy szef wejherowskiej policji dopowiadał ostatnie słowa, posłyszał za sobą delikatne, lecz przenikliwe gwizdnięcie.

Obejrzał się.

Za nim stał Ignaz Braun, trzymając

214

w dłoni plastik kartek opakowanych banderolą z usztywnionego, zdobionego papieru.

Co to jest?

równocześnie zapytali komisarz i posterunkowy.

"Wyborowy zbiór fotografii astralnych zadziwiających a prawdziwych".

Nakład: osiem tysięcy, drukarnia Eugena Kamnitza z Lipska.

Kilka z nich przedstawia duchopodobne dowypchanych prześcieradeł, dwa z nich mają nawetkajdany na nogach.

Jest jedna czarna dama i kilkoro dzieci umarłych we wiośnie życia.

O, tutaj medium wydziela z siebie ducha Napoleona.

Nie lubię Napoleona.

Ach, byłbym zapomniał, są też dwie podobizny szatana.

Każda inna.

I robią wrażenie, niepowiem.

Braun z niewinną miną podał widokówki wejherowskim funkcjonariuszom, którzy chciwie rzucili się na znalezisko.

Tegoż za wiele!

wrzasnął pastor.

Co wy sobie myślicie!

Mój syn i podobne bzdury?

O co tu właściwie

chodzi?

Proszę posłuchać ostrym tonem odparł Braun.

Właśnie znalazłem dowód niewinności pańskiego syna, pastorze.

Najściebyło konieczne i może pan nam być wdzięczny.

Choć nie wiem, czy dotrze todo pana przed upływem tej nocy.

Potem syn wszystkopenu wytłumaczy.

Komisariatzdawał się całkowicie uśpiony.

Heinz, który miewał kłopoty ze snem, często przyjmował nocne dyżury, dające przywilej dodatkowego przydziału węgla w okresie zimowym.

Tak było i tym razem.

Obok niegospodniał Anton Myszk, który z uwagi na liczbę osadzonych zmuszony był towarzyszyć koledze.

Heinz grał sam ze sobą w szachy, natomiast Myszk drzemał, oparty łokciami o wysłużone biurko, nad którym paliła się lampa naftowa.

Nadejście oficerów posterunkowego Bochentina z początku nie zbudziło Antona, gdy jednak Heinz zaczął w dość żywy sposób tłumaczyć przełożonemu, że przerażony Lars Hamaren pragnie złożyć kolejne zeznanie, Myszk zbudził się.

215.

O, pan inspektor ucieszył się poczciwy policjant.

Heinz wprowadził Norwega.

Potomek wikingów rzeczywiście wyglądał na roztrzęsionego.

Nogi ugiwały się pod nim, brodadrzała, adziki oczy ślizgały się niespokojnie po zgromadzonych.

Panie komisarzu, panie inspektorze starał się mówić spokojnie.

Chciałbym odwołać poprzednie zeznanie.

Czyżby jednak nie zamordował pan Theodora Pracza?

zdziwił się Braun.

A komisarz przesłał już stosowne akta do prokuratury.

Rozprawa odbędzie się szybko, to kwestia miesiąca.

Proszę nie utrudniać.

Błagam, skończmy z tym!

krzyknął Norweg.

Pan zaczął.

Tak.

Zdaje się, że mam rację?

komisarz był napuszony jak paw.

Niekiedy lubił czuć władzę nad aresztantami.

Pięść Hamarena, który poderwał się nagle, głucho uderzyła w ścianę.

Jakim ja jestem idiotą wyszeptał.

Arno Bochentin uśmiechnął się pod nosem.

Gdyby przybysz z Północy dojrzał uśmiech funkcjonariusza, mógłby czuć się cokolwiek urażony.

Panowie westchnął Norweg.

Jego twarz wyrażała prawdziwą mękę.

Jakwiecie, jestem artystą.

Możecie mi uwierzyć lub nie, ale potrzebuję takiego natchnienia, jakiego nie daje przyroda, miłość i nienawiść.

Chciałem, wzorem wielumoiichpoprzedników, doświadczyć, czym jest pusta cela i groźba kary śmierci.

Carravaggio.

zamyślił się Braun.

Właśnie.

Nie mogę skończyć tej przeklętej symfonii.

Wymyśliłem koszmarną bajeczkę o reprodukcjach.

Myślałem, że gdy znajdę się wareszcie, wszystkie zmysły zaczną inaczej pracować, że moja dusza wzniesie się na nieznaną dotąd poziomą udręki i ekstazy!

Ładnie powiedziane.

Jednak kontakt z rzeczywistością.

Więzień głęboko westchnął.

216

Ta kasza i kawa zbożowa!

Boże!

A czy pan wie, jak

zimno jest w celi?

Nie palimy grzecznie odparł komisarz.

Tak.

Jest lato.

Grube mury, winne są grubymury artysta pociągnął zakatarzonym nosem.

W dodatku poprosiłem o zeszyt z nutami, ale posterunkowy, ten blondyn o twarzy hodowcy świń,

powiedział, że nie da się nic zrobić.

Zresztą gdybym nawet mógł posłać po nuty, on nie ma prawa przynieść mi lampy.

Ani nawet świeczki.

Obrzydliwa kreatura rzucił na koniec pod adresem Heinza, który ze stoickim spokojem przysłuchiwał się powyższym wyznaniom.

"Od dawna podejrzewałem, że ci nowomodni artyści są zgrają idiotów" z satysfakcją pomyślał komisarz Rensch.

Kiedy Lars Hamaren został zwolniony przy zachowaniu minimum procedur, przed policjantami stanął młody pastor.

Georg Class, w odróżnieniu od Norwega, zachowywał się godnie.

Jego oczy utkwione były w nieokreśloną dal.

Oddychał spokojnie, pogodzony już z losem i zdecydowany na najgorsze.

Znowu się spotykamy wesoło zaczął Braun.

Nie oczekiwałem niczego innego beznamiętnie odparł duchowny.

I liczył się pan z procesem zakończonym karą śmierci?

Tak.

Z karą śmierci komisarz wziął się pod boki.

Tak.

Inspektor sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej plik pocztówek.

Muszę więc pana rozczarować.

Dylematy skazańca,

jego troski i obawy, są już, w pana przypadku, przeszłością.

Skąd, skąd pan to ma?

pastor sięgnął po pocztówki, które Ignaz podał mu bez oporu.

Pan chyba wie najlepiej, pastorze, gdzie schował ten jakże ważny dowód w sprawie.

Przepraszam.

Chciałem dobrze.

Cygaro w dłoni komisarza zajarzyło się płomyczkiem.

Ogień podał posterunkowy Myszki.

217.

Nie wątpię kontynuował inspektor.

Proszę jednak powiedzieć, co skłoniło pana do tak, wybaczy pan, idiotycznego ruchu?

Pastor wziął głęboki oddech, zaraz też zaczerwienił się jak pensjonarka.

Panowie będą się śmiać.

Otóż.

Gertruda, panna Dangel, przedwczoraj poprosiła mnie o rozmowę.

Była bardzo zdenerwowana.

Kiedy usiadła przede mną, jej pierś falowała niespokojnym oddechem.

Pan chyba czyta nie tylko traktaty teologiczne.

Tak, ale i romanse!

niecierpliwił się Rudiger Rensch.

Dorzeczy!

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i powiedziała, że zabiła Theodora Pratza.

Sądziłem, że wystąpiły u mnie jakieś omamy słuchowe, ale nie, ona powtórzyła to samo.

A pan?

Pomyślałem, że oszalała.

Gertruda jednak uspokoiła się i patrząc na mnie przenikliwie, znacząco, powiedziała po raz trzeci, że zabiła pana Pratza.

I że mam być spokojny o jej duszę.

Przyzna się do wszystkiego w imię uczuć wyższych.

Potem z płaczem wybiegła z mojego pokoju, zostawiając mnie samego z takim wyznaniem.

W imię uczuć wyższych, mówi pan wtrącił Ignaz.

Tak.

Zastanawiałem się nad tym izastanawiałbym się dłużej, alenależało szybko działać.

Przecież nie mogłem

dopuścić,aby ona przyznała się do morderstwa.

Nie wierzyłem, że je popełniła.

I pan, pastorze, poświęcił się dla niej?

Poświęcił się.

Znał ją od dziecka.

Bawili się chowanego, rozmawiali godzinami o wszystkim i o niczym, potem powiadała mu oból po stracie rodziców, on zaś szukał u niej pocieszenia po śmierci matki.

Przecież ona jest dla mnie taka ważna!

wykrzyknął duchowny.

Miałaby iść na szafot?

Heinz, proszę posłać po pannę Dangel uroczyście oświadczył inspektor Braun, a komisarz potwierdził polecenie skinieniem głowy.

218

Po upływie pół godziny do gabinetu komisarza wprowadzono Gertrudę.

Stała jak wryta, widząc przed sobą Georga.

W pomieszczeniu znajdowali się jeszcze Brauni Rensch.

Panna zauważyła ich, stojących nieco w cieniu, mimo gęstych oparów dymu.

Przepraszamy panią za tak nietypową porę, ale okoliczności są nadzwyczajne ozwał się Ignaz.

Jeśli miało się zostać diakoniszą, trzeba być przygotowanym do wstawania w nocy.

Nie przeszkadzami żadna pora.

Dlaczego pani mówi w czasie przeszłym?

Ponieważ zabiłam Theodora Pratza i poniosę karę odparła dziewczyna, spojrzawszy przelotnie na pastora.

Komisarz Rensch w paru niezbyt grzecznych słowach powiedział Gertrudzie, że duchowny złożył

falszywe zeznanie, obciążające go, żeby ratować właściwie, okazało się jednak, że jest niewinny.

Na twarzy panny wykwitł mocny rumieniec.

Nieśmiało odwróciła wzrok w stronę Classa.

Georg?

Słucham.

wyszeptał.

Zrobiłeś to dla mnie?

Dla ciebie.

Dlaczego?

Nie potrafiłem znieść myśli, że mogłabyś trafić do więzienia.

Albo.

gdzie indziej.

Nie mogłem do tego dopuścić.

Chciałeś się dla mnie poświęcić?

zachwyt w głos dziewczyny był bardzo źle ukrywany.

Chciałem!

Kiedy powiedziałaś mi, że zamordowałaś tego biednego fotografa, od razu wiedziałem, bez względu na to, co o tobie wtedy pomyślałem, że muszę dać ci wolność.

Nieważne, jakim kosztem.

Dlaczego?

powtórzone pytanie było na wpół natarczywe, na wpół zalotne.

Dlatego, że cię kocham pastor najwidoczniej zapomniał, że w gabinecie są policjanci.

A...

Elza?

219.

Daj spokój.

Ostatnią osobą, która usłyszała o moim zainteresowaniu Elzą, był inspektor Braun.

Ale, przepraszam, inspektorze, wprowadziłem pana w błąd, aby ukryć moje nowo odkryte uczucie.

Wtedy prawdziwy powód mojego przyznania się do winy pozostawała tajemnicą.

Przepraszam, że wtrącę się do tej idylli huknął komisarz.

Czy jednak nie zapomnieli państwo, że pani Dangel przyznała się do zabójstwa?

Czy nadal pani podtrzymuje tamto zeznanie?

Czy też może dołącza pani do galerii szkodników, którzy dla zabawy wprowadzają w błąd cesarską policję?

Tak, stanowczo domagam się wyjaśnień!

Gertruda bez słowa wyjęła z dużej torebki kopertę i podała ją komisarzowi.

Ten chciwie wyjął z niej kartkę i zaczął czytać na głos: Georg Class zabił Theodora Pratza.

Dowody są w rękach policji.

Nie wszystkie jednak.

Jeśli chce pani poznać całą prawdę, proszę przyjść w poniedziałek na Rynek i stanąć pod pomnikiem cesarza o godzinie 13.

45.

Poszła pani?

zdezorientowany Rensch spojrzana dziewczynę.

Za kogo pan mnie uważa?

oburzyła się.

Od razu poprosiłam Georga o spotkanie.

Jeśli był winny, chciałam mu okazać, chociażby nie wprost, co do niego czuję.

I że Bóg mu przebaczył, zsyłając ratunek.

Jeśli natomiast był niewinny, tak jak ja, liczyłam na przenikliwość policji.

Miał pani szczęście zauważyć Braun.

Swoją drogą, historia niezwykle romantyczna.

Zechciałby pan okazać mi ten list, komisarzu?

Cztery zdania, które mogły wyrządzić krzywdę pastorowi lub panie Gertrudzie, złożone były z liter wyciętych z najróżniejszych gazet.

Nie było możliwości zidentyfikowania nadawcy.

Braun pomyślał jednak, że wycinankasporządzona jest na tyle starannie, iż jest dziełem kobiety.

Czyżby okrutny żart?

Czyżby Elza?

Ona lubi dokuczać tym dwojgu.

220

W tej sytuacji możecie państwo iść sobie do domu

nastroszył się Rudiger Rensch.

I proszę zapamiętać:

komisariat policji nie jest miejscem odgrywania ról w amatorskim teatryku.

Ani firmą zajmującą się swataniem

dodał odrobinę cieplejszym głosem.

Panna Gertruda i pastor jakby na rozkaz spuścili głowy, ale ich żal był udawany.

Marzyli tylko o tym, aby wyjść z gabinetu i znaleźć się sam na sam.

Nie musieli długo czekać.

Pokilku minutach na Rynku spojrzeli na siebie z czułością.

Otoczała ich mgła, nigdzie nie było żywej duszy.

Duchowny słusznie uznał, że może pocałować niedoszłą diakonisę w policzek.

KTO ZABIŁ THEODORA PRATZA?

Po wyjściu Classa i panny Dangel policjanci spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

Był to śmiech nerwowy i charakterystyczny dla osób zmęczonych wyczerpującą pracą.

Właściwie nie okłamał nas jedynie Gottlieb Meinhard zauważył Ignaz.

Przynajmniej w zakresie służby wojskowej Pratza.

Wiedział o niej, więc samo istnienie i śmierć brata są możliwe.

Jaki miał motyw, przyznając się?

Bez względu na "drobiazg": zabił, czy też nie?

Diabli wiedzą komisarz zapalił kolejne cygaro.

Zamierzał właśnie nalać sobie, a także gościowi z Berlina kieliszek czegoś mocniejszego, gdy nagle otwarcie drzwi gabinetu, niepoprzedzone pukaniem, zakłóciło brutalnie odwieczny obyczaj panujący w relacjach przełożony

podwładny.

Przed oficerami stanął podekscytowany posterunkowy Bochentin.

Przepraszam, panie komisarzu, ale właśnie przyszła

panna Gephard.

Twierdzi, że ma coś bardzo interesującego do powiedzenia.

Wprowadzić?

Tak!

Albo nie, najpierw ją zabij.

Zaduś, zastrzel, jesteś w końcu policjantem, wiesz, jak takie sprawysię załatwia.

Tak, wprowadź!

222

Do gabinetu weszła pewnym krokiem Eleonora.

Jej wyprostowana sylwetka, chwilowy brak dołków w policzkachiskupienie wszystko to zrobiło napolicjantach duzewrażenie.

Panowie, być może nie wypada o świcie nawiedzaćpanów, ale moja wizyta podyktowana jest troską o wyjaśnienie zagadki zabójstwa wujka Theodora.

Pana Pratza poprawiła się.

Spodziewałam się, że zastanę tutaj jedynie dyżurnegopolicjanta, ale jeśli panowie oficerowie obaj są na miejscu, znaczy to, że Opatrzność czuwa.

Ignaz wyjrzał przezokno.

Rzeczywiście, switało.

Pierwszenieśmiałe światłocienie wbijały sięmiętko w nocną ciemność.

Prosimy Braun pochylił się do przodu, jakby miałdzięki temu lepiej słyszeć.

Otóż w środku nocy zaalarmowana zostałam przezznajomą, mieszkającą tuż nad atelier, że z dołu dochodzą odgłosy włamania.

Jakieśhałasy,przekładane szuflady, słowem, znajoma była przerażona.

Pobiegłam razem z nią i rzeczywiście, ze środka dosłyszałam tajemnicze odgłosy,nie mówiącjuż oblasku lampy.

Nie odważyłam sięjednakwejść do środka.

Zaczekała więc pani na górze, aż wszystko ucichło.

I kiedy zobaczyła pani,że opuszczamy atelier.

Panna Eleonora uśmiechnęła się nieznacznie.

Tak, w zakładzie fotograficznym znajdowali się policjanci.

Zaraz po ich wyjściu, które obserwowała z okna, zeszła do atelier, aby sprawdzić, co się tam stało.

Miała klucze, o czym resztą policja wiedziała już wcześniej.

Zastałam pobojowisko.

Tak musiały wyglądać obozy francuskie po klęskach doznanych od naszego kanclerza Bismarcka.

Czy panowie nie mogliby sprzątać po takich rewizjach?

Skoro naród ma mieć do was zaufanie?

Do rzeczy, moja pani komisarz nie zamierza polemizować z dziewczyną na temat obyczajów niemieckiej policji.

223.

Porządkowanie mogło zająć ładnych parę godzin.

Jednak Eleonora, jako osoba praktyczna i pracowita, nie załamywała rąk.

Od razu wzięła się do roboty.

Minęło może półgodziny, kiedy dotarła do szuflady z chaotycznie poprzekładanymi przez któregoś z trzech policjantów płytkami gotowymi do wywołania.

Zamierzała ułożyć je tak, jak miało zwyczajem zmarły, a więc według symboli, nieznanych funkcjonariuszom.

Wujek Pratz zagubiłby się w tych swoich zbiorach, gdyby nie przyjął jakiegoś systemu.

Tylko ja wiedziałam, jak określał płytki według czasu wykonania i tematów.

Moją uwagę przykuła ta oznaczona symbolem AL 15.

6.06.

WN.

Rzeczywiście, jakieś litery i cyfry widzieliśmy, ale strasznie skomplikowany ten system powiedział komisarz.

Może.

Ale ja wiem, jak go czytać.

AL oznacza "wieczór, zbiorowa fotografia".

Potem jest data, na końcu inicjały gospodyni.

Proste?

Kiedy pani rozjaśniła sytuację, prosto uśmiechnął się Ignaz.

I co dalej?

Eleonora wiedziała, co dalej.

Stała przed policjantami z płytką zawierającą zdjęcie z tamtego wieczoru.

Właśnie TO zdjęcie.

Czy na komisariacie jest ciemnia?

z nadzieją w głosie zapytał inspektor.

Niestety.

Tę fotografię mogę panom wywołać w ciągu godziny nonszalanckowzruszyła ramionami pannaGephard,ale widać było, że zżera ją ciekawość.

Wystarczy tyłkowrócić do atelier.

Dwaj mężczyźni pochyleni byli nad kartą.

Czerwoneoświetlenie ciemni sprawiało, że wyglądali jak upiory.

Ściany pracowni przywodziły na myśl wnętrze jakiejś czerwonejoberży, gdzie systematycznie mordujesię gości.

Pośrodkustała dziewczyna.

Koniuszek jejjęzyka wystawał spomiędzy czerwonych teraz zębów, a dołki w policzkach zdawały się nie tak urokliwe, jak przy jasnym świetle.

224

Czerwone szczypczykiprzytrzymały czerwoną kartę.

Wszyscy troje opuścili złowrogiewnętrze iznaleźli się w jasnym,przestronnym pokoju, w którympaliła się lampaelektryczna.

Trzy pary oczu wbiły się w fotografię i, rozbiegane, starały się jak najszybciej zapoznać z każdymcentymetremkwadratowym.

Przysłakolejna szczegóły, detale, które mogłyby wskazać cośosobliwego.

Nie szukali długo.

Komisarz zaklął, nie zważając, żeznajduje się wtowarzystwie młodej damy.

Młodej damiezadrżałydłonie, a Braun poczuł, jak cała krew napływa mudo głowy.

Jednocześnie przetaął ręką czoło.

Było zimnei zroszone potem.

Co oni pokazują, u diabła!

Tak, co oni pokazują?

Myślę, że nie czas na pytania zadawane sobie nawzajem, komisarzy.

Musimy jak najszybciej dostać ich w swojej ręce.

Policjanci w pośpiechu, lecz grzecznie pożegnali pannę Eleonorę i opuścili atelier.

Dziewczyna cały czas wpatrywała się w fotografię.

Elza Neiss była zanadto wesoła.

Pani Wilfrida oschła i dostojna.

Franz Class miał skwaszony uśmiech.

Jego syn

225.

również.

Ernest Schreder patrzył w obiektyw z wyraźną pobłażliwością.

Pani Antoinette poruszyła akurat głowę i jej twarz była zamazana.

Hamaren zdawał się nieobecny myślami, a Gertruda smutna.

Eleonora nie pomyślała o analizie fotogeniczności własnej osoby.

Jej wzrok wędrował z postaci starszego Meinharda na młodszego i z powrotem.

Ottowski kazywał wyciągniętym palcem w stronę Elzy.

Gottlieb dawał przeczący znak dłonią, a jego twarz wyrażała jakąś straszliwą determinację.

W atelier rozległy się kroki.

Przed Eleonorą stanął inspektor Braun.

Najmocniej panią przepraszam szepnął z zakłopotaniem.

Nieprzespana noc, tyle się działo.

Poproszę o zdjęcie.

Meinhardowie spojrzeli na siebie.

Nie raz zdarzało im się konsultować w taki sposób w obecności Brauna.

Komisarz znał z opowieści tego ostatniego owe spojrzenia.

Zwrócił jednak uwagę, że w oczach stryja i bratanka czaiła się bezradność.

Coś, czego nie widział dotąd nikt.

Nie miał nawet ochoty zapalenie cygara; wpatrzony był w obu mężczyzn i jak prawdziwy łowca czekał

na dalsze zachowanie ofiar.

Nie wydarzyło się nic niespodziewanego.

Gottlieb i Otto unikali teraz wzroku policjantów.

Byli zdezorietowani.

W dłoni komisarza, jak wyrok, tkwiła fotografia.

Starszy Meinhardów popatrzyłjeszczeraz na bratanka.

W jego twarzy nie było ani cienia zwyczajnej zuchwałości.

Nagle postarzał się.

Potrząsnął głową.

Będzie panmówił, prawda?

zapytał Braun.

Tak.

Wszystkoskończone.

Moje życie skończone.

Wszystko robiłem dla Ottona.

On jestniewinny.

A to się jeszcze okaże.

Tak.

Fotografia mówi coś innego wtrącił Rensch.

Panowie muszą mi uwierzyć.

Błagam!

Słuchamy.

Theodor Pratzmusiał zginąć.

Ta jegopotworna aparatura!

226

Wszystko, co robił Gottlieb, miało tylko jeden cel: dobro Ottona.

Od najmłodszych lat bratanek znajdował się podopieką mężczyzny.

Stryj łożył na jego kształcenie, ale też samopierał i żywił chłopca, gdy niekiedy brakowało funduszy na pokojówkę i stołowanie się w lokalach.

Długie godziny spędzał na odrabianiu z dzieckiem, a potem dorastającym młodzieńcem, lekcji.

Zabierał go do opery, na rozmaite koncerty, podsuwał mulekturę, starannie dopasowaną do wieku i potrzeb.

Nigdy nie miałem z nim kłopotów wychowawczych.

Było w Ottonie coś niepokojącego, buntowniczego, ale zawsze potrafiłem skanalizować jego temperament w rozmaitych zajęciach.

Gimnastyka, podróże, nauka!

Czego się dotknął, osiągał sukcesy.

Również na studiach.

Tak, dopiero tam zabłysnęły jego talenty.

Byliśmy nierozłączni i pochlebiam sobie, że Otto zawsze przedkładał towarzystwo moje nad obecność wśród rówieśników.

Jednak pewnego dnia nastąpił krach na giełdzie.

Oszczędności, które Meinhardowie posiadali w kilku bankach, niemówiąc już o lokatach w papierach fabryk tekstylnych, przepadły zkretelem.

Kancelaria prawna stanowiła niezgorsze źródło dochodów, jednakże niestabilnych i zależnych od szczęścia i dopływu klientów, a te były nieregularne.

Nasze podróże kosztowały dużo.

Przyzwyczailiśmy się do nich, poza tym utrzymywanie domu na określonym poziomie kosztuje, a bez takiej inwestycji trudno o znajomości i szacunek wśród elity, która była naszym zbiorowym chlebodawcą.

Od Sigmunda dowiedzieliśmy się o istnieniu Elzy jej ciotki po raz pierwszy odezwał się Otto.

Panna jest bogata, choć nie afiszuje się z tym.

Na miejscu, poprzez rozmaite źródła, informacja o jej majątku potwierdziła się.

Tak, Otto, zgodnie z moim planem, miał rozkochać w sobie dziewczynę i ożenić się z nią.

Posag, posag był naszym celem, ale nie chcieliśmy krzywdzić panny Neiss.

Mój bratanek byłby dla niej dobrym mężem.

Niestety, okazało się, że Elza jest bardzo złą i pustą dziewczyną.

Otto zażądał.

nie skarby świata nie chciał wiązać się z nią na stałe.

Rozumiałem go.

Zamierzałem ożenić się z nią, wejść w posiadanie posagu i potem najzwyczajniej w świecie uciec spokojnie powiedział Otto.

Ma się rozumieć, razem ze stryjem.

Ustaliliśmy właśnie taki plan działania, dosłownie parę godzin przed wieczorem u pani Neiss.

I nagle grom z jasnego nieba Gottlieb znów doszedł do głosu.

Elza już na początku spotkania szepnęła, że wie o wszystkim, że dostała jakiś list anonimowy i że w naszym mieście, ale też wszędzie, gdzie jesteśmy znani, rozgłosi o naszych planach.

Nie pozwoli sobie na oszustwo swoim kosztem.

Tak powiedziała.

Braun wyraził wątpliwość.

Kiedy z nim rozmawiała, nie zdradziła się ani słowem.

A przecież to była okazja.

I podczas feralnego wieczoru sprawiała wrażenie zainteresowanej Ottonem.

Poznaliśmy ją trochę.

Pragnęła widać zemścić się osobiście, bez udziału osób trzecich, ale tak, aby nikt nie dowiedział się, że to ona nas niszczy.

Zresztą, nie wiedziała przecież, gdy pan ją przesłuchiwał, kto zabił fotografa.

Bacznie śledziła nas podczas całego wieczoru Otto zapalił papierosa i nabrał do płuc olbrzymią porcję dymu.

Nie mieliśmy sposobności porozumieć się co do dalszej taktyki.

W dodatku słodko szepnęła, że nadawca anonimowy był wśród nas.

Z pewnością i on śledził nas spojrzeniami.

Powiedziała, że napisał, iż będzie u pani Neiss i w razie czego pomoże jej.

Mieliśmy więc na karku dwóch stróżów, a ja nie miałem możliwości porozmawiania ze stryjem.

Gottlieb dopowiedział, że w pewnym momencie, po zamieszaniu spowodowanym najgorętszym fragmentem dyskusji między pastorem a Schrederem, Otto zdołał napomknąć w dwóch słowach, że Elza wie o wszystkim i chce ich zniszczyć.

"Ja ją zabiję" takie były ostatnie słowa, które mógł skierować do stryja.

Obawialiśmy się Elzy, nasze narady mogły spowodować, że lękając się jakichś kroków z naszej strony, zaczę-

228

łyby działać już wtedy, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić.

Jak z nieba spadł nam fotograf.

Proszę sobie wyobrazić, sądziłem, że Otto rzeczywiście chce zamordować Elzę.

Nie da się ukryć, że jeśli pozostałaby przy życiu, byłobyz nami źle.

Kiedy Pratz ustawił wszystkich do fotografii, wiedzieliśmy, że to jest moment, kiedy możemy przekazać sobie jakiś sygnał.

Otto spojrzał na mnie, równocześnie wskazując dłonią na Elzę.

Ja zaś wykonałem gest zaprzeczający.

Nikt z pozujących nie mógł tego zauważyć, o tym nam chodziło.

Oba gesty były aż nadto wyraźne, ale tylko z naprzeciwka, co widać na fotografii.

Po prostudnięcie zostało zrobione sekundę za wcześnie.

Sądzieliśmy, że zdążymy.

Aż tu nagle błysk!

Odrązu pojęliśmy, że nasze gesty zostały uwiecznione.

A nie wiedzieliśmy, kiedy Pratz wywoła fotografię.

Kiedy wychodziliśmy z wieczoru, mogliśmy wreszcie porozmawiać.

Elza nie zachowała się podczas całego spotkania niekorzystnie dla nas, ale ten Pratz!

Jeśli wywoła zdjęcie jeszczej nocy?

Albo następnego dnia?

Musielibyśmy się tłumaczyć,co oznaczały gesty,może zawiadomilibypolicję, wyszłoby na jaw, że wcześniej dwa razy przeprowadzaliśmy takieoperacje z posagami, o czym teraz panowiei taksie dowiedząw czasie dalszego śledztwa i procesu.

Gottlieb skurczył się.

Cichym głosem powiedział, że jestumierający.

Zostało mu kilka miesięcyżycia.

Postanowiłpoświęcić się dla dobra bratanka i zabićTheodora Pratza.

Wystarczyło nieco przeciągnąć pobyt fotografana wieczorze, Gottlieb zagadnął ofiarę raz idrugi, przyniósł ciasteczka z sąsiedniego stołu.

Zabójstwo staruszka nie należałodoprzedsiewzięć trudnych technicznie.

Niestety,Pratz nie miał przy sobie płytki.

Ani żadnych kluczy.

Gdysię rozstali,musiałją odnieść do atelier.

Starszy z Meinhardów byłbezradny.

Przypuszczał, że dowód ich knowań znajduje sięwpracowni,ale nie miał żadnego dostępu do zbiorów Pratza.

Od tego momentu żyli jak naszpilkach.

ApannaElza?

Nie zabiliściejej.

Czy pan zdaje sobie sprawę, inspektorze, w jakim napięciu się znajdowaliśmy?

Przecież nie mogliśmy pozwolić sobie na żaden fałszywy ruch.

W grę już nie wchodziła żadna podejrzana obecność w niepożądanym miejscu.

Niewiedzieliśmy, czy nie jesteśmy śledzeni.

Elza z kolei czekała.

Po zakończeniu sprawy, tak sobie pewnie myślała, miałaby swobodę działania.

Uruchomiłaby kontakty we Frankfurciei wszędzie tam, gdzie znalazłaby sposobność.

Gdybym nawet zabił ją w ciągu kilku dni po wieczorze, a potem odnalazłoby się zdjęcie, sami panowie rozumieją, dowód byłby jednoznaczny.

Nie żałuje pan swego czynu?

zapytał komisarz.

Na próżno zamordowałem człowieka.

Żałuję.

Nieskorzystaliśmy też na jego śmierci, nie miał przy sobie płytki, na której mi zależało.

Wiedzą panowie, bardziej żał mi fotografa, niż byłoby mi żal Elzy, gdybym sprawił, że zamilkłaby na zawsze.

Tamtenczłowiek był uczciwy, a ona.

Czy jest moją winą, że przedkładałem dobro bratanka nad życie starego człowieka i zepsutej pannicy?

No cóż odparł zirytowany Riidiger Rensch.

Panowie chyba zdają sobie sprawę, że za drzwiami czekają funkcjonariusze?

Tak.

Jesteście zatrzymani pod zarzutem morderstwa na mieszkańcu Wejherowa, Theodorze Pratzu.

Przecież ja sam!

Tylko ja.

zaczął stryj Ottona.

Wszystko wyjaśnimy!

przerwał mu komisarz wykonał przy tym nieokreślony, acz niezwykle władczy gest szeroką dłońią.

Braun zapukał w zamknięte drzwi.

Do pokoju wpadli posterunkowi Bochentin i Myszk.

Nie byli brutalni, ale zdecydowanie, bez zbędnej kurtuazji zabrali się za wyprowadzenie Meinhardów.

Jeszcze momentik odezwał się Ignaz.

Chciałbym zadać jedno pytanie panu Gottliebowi.

Czy prawdą jest, że Theodor Pratz zabił przed laty pańskiego brata?

Nie.

W czasie wieczoru powiedział mi, gdzie był podczas wojny.

Potem pomyślałem, że jeśli przyznam się

230

do morderstwa, wymyślając fałszywy powód, a policja zorientuje się, że nie mówiłem prawdy, zawsze wymyślę przyczynę, dla której wprowadziłem panów w błąd.

Przecież nie będzie dłużej podejrzewać się człowieka, który dla fanaberii już raz przyznał się do popełnienia rozpracowywanego przestępstwa.

Trochę psychologii Gottlieb Meinhardu śmiechnął się zeskutkiem.

A mój brat rzeczywiście wtedy zginął w pojedynku.

Drzwi za komisarzem Rensem, który jako ostatni opuszczał pokój Ignaza Brauna, zamknęły się.

Inspektor uznał, że tym razem, wyjątkowo (nigdy nie pozwalał sobie na podobną ekstrawagancję o tak wczesnej porze), powinien wychylić kieliszek czegoś mocniejszego.

Gdy już poczuł w nadgarstkach przepływ alkoholu zmieszane z krwią, zadzwonił na boja hotelowego.

Wilhelm, wypoczęty i pełen energii, z uśmiechem na pyszonym obliczu, pojawił się po dwóch minutach.

Proszę zawiadomić pana von Macha, że chcę go widzieć u siebie.

Tak jest, proszę pana o choczko powiedział Wilhelm i już go nie było.

Ignaz niezdążył nawet wręczyć mujednomarkówki.

Młoda ofiara własnych machinacji i cesarskiego inspektora pojawiła się natychmiast.

Sigmund w pośpiechu zaniechał starannego ubrania się, nie mówiąc już o porannym kontakcie z brzytwą.

Dzień dobry, panie inspektorze.

Możesz usiąść.

Albo nie, postój jeszcze.

Leżałeś przecież w łóżku kilka godzin.

Oczywiście.

Chętnie postoję.

Możesz mi łaskawie wyjaśnić, podstępna kreaturo głos Brauna był doskonale obojętny dlaczego napisałeś anonim do Elzy Neiss?

Ten, w którym zdradziłeś jej prawdziwe intencje twoich przyjaciół?

Skądinąd jakże jest znaczące, że właśnie takich przyjaciół sobie dobrałeś.

231.

Oczy młodzieńca zrobiły się okrągłe jak jednomarkówka, której nie zdążył zarobić Wilhelm.

Bładość i purpurana obliczu pytanego walczyły zawzięcie o zwycięstwo.

Skąd.

Skąd pan inspektor wie?

Jestem, jak zdążyłeś zauważyć, osobą, która wyjaśni przestępstwa znaczące spojrzenie inspektora znów zawstydziło Sigmunda.

Pragnęci wyjawić, choć na to niezasłużyłeś, że dzisiejszej nocy doszło do ujęcia Meinhardów jako sprawców zbrodni.

Zdumienie von Machasięgnęło zenitu.

Przy okazji wyszło na jaw, że panna Neiss otrzymała anonim.

Ale skąd pan inspektor dowiedział się, że ja jestem jego autorem?

Był tak dobrze skonstruowany!

Jak widać, masz we krwi różne metody oszukiwania i maskowania swoich czynów.

Twój wuj byłby bardzo niepokieszony.

Otóżniknie powiedział mi, że to ty napisałeś tę epistołę.

Nie widziałem jej nawet.

Ale pan Sherlock Holmes, którego bardzo lubię, nauczył mnie dedukcji.

Meinhardowie byli ludźmi sprytnymi.

Pilnowali się bardzo, żeby ich machinacje niewyszły na jaw.

A ty przebywałeś wśród nich często.

Częściej niż Lars Hamaren, który pomimo długiej znajomości z Ottonem wcale nie tęsknił za jego towarzystwem.

Jestem przekonany, że niechcący (lub przeciwnie) podsłuchałeś ich rozmowę dotyczącą planów matrymonialnych Ottona i oszustwa, które się z tym wiązało.

W istocie.

Sądzieli, że we własnym pokoju są bezpieczni.

Zapewne wróciłeś skądśwcześniej.

Gdyby wiedzieli, że gdziekolwiek ktoś może ich podsłuchać, nie rozmawialiby o tak ważnej kwestii.

I tylko ty mogłeś zaskoczyć ichw ten sposób, ponieważ miałeś do nich nieograniczony dostęp.

Braun w paru słowach opowiedział Sigmundowi, jakfatalne następstwa miało ujawnienie Elzie zamiarów stryjai bratanka.

Słyszałem ich rozmowę w dzień morderstwa, rano.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Chciałem tylko pomóc tej

232

dziewczynie.

Nie znoszę jej, ma brzydki charakter, ależebyw taki sposób zniszczyć jej życie?

A oni chcieli ją ograbić i wystawić napośmiewisko.

Nie wiń siebie, skąd mogłeś przypuszczać, że w konsekwencji zabiją Theodora Pratza?

nadspodziewanie ciepło powiedział Ignaz.

Wyjaśnij mi tylko, dlaczego niezgłosiłeś planu oszustwa policji?

Pan inspektor jestdziwiony?

Przecież nie miałemżadnego dowodu, wyśmiano by mnie.

Może masz rację?

A teraz odwróć się do mnieplecami.

Słucham?

Odwróć się do mnieplecami.

Moje życzeniejest jasne.

Sigmund posłusznie obrócił się o sto osiemdziesiątstopni.

Zaraz też poczuł na swoich pośladkach solidnego kopniaka.

Zapamiętaj ten moment i znikaj z moich oczu.

Po niezbędnych przesłuchaniach dotyczących anonimu możesz sobie jechać do Berlina albo zostać w Wejherowie, abyzabiegać o względy pannyEleonory, choć po stokroć na nienie zasłużyłeś.

Nie masz jednak prawa pojawić się w Sopocie.

W żadnych okolicznościach.

Ipozdrów ode mnie profesora Puppego.

Oczywiście!

wykrzyknął uszczęśliwiony Sigmund.

Chciał się odwrócić i podziękować inspektorowi, ale pomyślał, że najlepszym wyjściem, na wszelki wypadek, będzie natychmiastowe opuszczenie czyścica.

EPILOG

Pan Alsleben był niepocieszony.

Radował się oczywiście, jako praworządny obywatel, że śledztwo zakończyło się sukcesem, zdążył się jednak przyzwyczaić do obecności pod swoim dachem berlińskiego inspektora.

Nalegam stanowczo, aby zaszczylił mnie pan, możliwie jak najprędzej, swoją osobą.

Proszę przyjechać z czcigodną małżonką, koniecznie.

Zdaje pan sobie sprawę, w jakich okolicznościach zazwyczaj przebywam w Wejherowie.

nieznaczny uśmiech towarzyszył słowom Brauna.

Nie chciałby pan zapewne, żeby znowu tu kogoś zamordowano, nieprawdaż?

W żadnym razie!

hotelarz ukazał w całej okazałości garnitur białych, równiutkich zębów.

Wiem jednakże, iż z racji związków rodzinnych również zdarzało się panu inspektorowi bywać w naszym mieście.

O! Proszę bardzo, zdaje się, że idzie do nas pana czcigodny teść.

W takim razie przywitam się tylko i uciekam do swoich obowiązków.

Zanim Ignaz zdążył zdziwić się brakiem zwykłego Alslebena wścibskości, hotelarz skłonił się rozmówcy i uściśnął wielką dłoń Brunona Sychowskiego, po czym odszedł w stronę pomieszczeń

służbowych.

Po kwadransie teści zięć siedzieli nad filiżankami aromatycznej kawy i ciastem migdałowym.

234

Ty, młody człowieku naczelnik stacji w Lęborku, swoim zwyczajem, skierował palec wskazujący w stronę Ignaza znowu rozwiązałeś zagadkę.

Chwali się, chwali.

Jeszcze trochę, a mógłbyś pracować na kolei.

Tam potrzeba inteligentnych i odpowiedzialnych mężczyzn.

Niewiem, co by na to powiedziała Bernadeta.

Przywiązała się już do roli żony policjanta.

Bacznie śledzi postępy w śledztwach, które prowadzę na miejscu, a i zdarzyło się, że była przy mnie podczas kilku spraw.

Z pewnością masz rację, ale jako żona kolejarza, miałyby okazję poznać wiele ciekawych miejsc.

A staremu ojcu przywoziłaby widokówki!

Ignaz zaśmiała się głośno.

"Stary ojciec" jest tak kwitnący, że setki pocztówek kupi sobie sam.

Oczy pana Brunona nagle posmutniały.

Widzisz, chłopcze, nikt nie jest wieczny.

Moja siostra wprawdzie całe życie chorowała, ale nigdy nie podejrzewałbym, że umrze przede mną.

Drzewo, które mocno skrzą, ma przecież mocne korzenie.

Tymczasem stało się, jak się stało.

Nikt nie jest pewien dnia ani godziny.

Masz rację, ojcze.

Swoją drogą, dziękuję ci, że znalazłeś czas, aby mnie pożegnać.

I niemów, że akurat przebywałeś służbowo w Wejherowie.

Przed policjantem nic się nie ukryje zudawaną troską powiedział Sychowski.

Mam jednak do ciebie prośbę.

Słucham?

Starszy mężczyzna wyprostował się i podkreślił węża.

Kiedy będziesz już w domu, w Berlinie, dbaj o to, żeby twoja żona nie chudła.

Kobieta musi mieć tych parę kilo, zapamiętaj moje słowa.

Dobra tusza jest oznaką zdrowia.

Podczas ostatnich świąt odniosłem wrażenie, że nieprzytyła przedłuższy czas tyle, ile by należało!

Droga z Königlicher Hof na dworzec, mimo że Ignaz pokonywał ją już wielokrotnie, nadal wydawała mu się intrygująca.

resująca.

Tym razem nie musiał się spieszyć, ponieważ do odjazdu pociągu pozostawało półtorej godziny.

W dworcowej restauracji mieli jednak czekać na inspektora komisarz i dwaj posterunkowi, więc należało wyjść odpowiednio wcześniej.

Ulice skąpane były w letnim słońcu.

Przechodnie snuli się leniwie, jakby nie dręczyły ich żadne codzienne sprawy, jakby wszelkie sprawy odłożyli na później lub byli już tego dnia całkowicie zwolnieni z mniejszych i większych obowiązków.

Tak, byłem przekonany, że kochany pan inspektor w mig upora się ze śledztwem powiedział komisarz, ocierając węż z piany urbocka, którego oszronione kufle stały przed trzema policjantami.

Nie do końca tak było, komisarzu.

Przecież z całą tą sprawą wiązało się kilka spraw zgoła niespodziewanych.

Ingerencja osób trzecich była tym, co zadecydowało o wyniku śledztwa.

Działaliśmy po omacku.

I pan, i ja, nie ma co krywać.

Apewne wskazówki były, a jakże.

Dzięki pomocy pana Schula zorientowałem się pewnego popołudnia, że konto bankowe Meinhardów w przeciągu ostatniego roku dwa razy powiększyło się niesamowicie, wtedy na pewno zyskiwali te posagi.

A więc podejrzone dochody!

Eleonora z kolei napomknęła, że Gottlieb i Otto jakby zaplanowali swoje zachowanie; zbagatelizowałem tę uwagę.

Pastor Class stwierdził, że pobyt Pratzabył dłuższy niż zazwyczaj w podobnych okolicznościach: przecież należało połączyć te dwa fakty.

A podczas seansu hipnotycznego doktor Paschinski powiedział, że fotograf, z racji zawodu, widział wiele i wiedział wiele.

Dzięki tej informacji mogłem, skoncentrowawszy się na momencie robienia fotografii, dokładniej poszukać szklanej płyty.

Zwłaszcza że mój teść powiedział mi o spostrzegawczości Pratzaka.

Stwierdził też, że każda fotografia kryje jakąś historię.

Tyle sygnałów!

Tak, ale nacisk, nacisk i presja z naszej strony powodowały, że część osób zaczynała zachowywać się irracjonalnie.

I bardzo dobrze!

Riidiger Rensch bronił pozycji swojej i Brauna.

Arno Bochentin przysłuchiwał się wymianie zdań z pobłażliwym uśmiechem.

"Inspektor nie musi koloryzować przebiegu śledztwa, ma ustaloną pozycję.

A mój szef musi.

Może w nagrodę dostaniemy z rejencji jakieś premie".

Swoją drogą zamyslił się Braun, będzie pan musiał dość szybko przycisnąć Meinhardów.

Żadnych dowodów, żadnych poszlak, że Gottlieb sam dokonał morderstwa!

Milczy jak grób, już od półtorej doby!

Milczy jak grób, już od półtorej doby!

Rozumie pan, jak bardzo mój Wydział i jego lokalne oddziały wyczerpują się na kompletne i wyczerpujące raporty.

Jasna sprawa.

Ale Meinhard to twarde sztuka.

I rzeczywiście jest chory.

Nie ma żadnych szans na przeżycie więcej niż miesiąca lub dwóch.

Tak.

Wcale mu się nie dziwię, że chroni Ottona, jeśli ten jest winny.

Sam bym tak zrobił pokiwał głową posterunkowy Bochentin.

Myszk spojrział na niego, a potem na komisarza, którego twarz w mgnieniu oka zaczerwieniła się.

A ciebie nikt, Bochentin, nie upoważnił do wypowiadania takich niepraworządnych opinii naszytych się Rensch i zmierzył podwładnego wzrokiem, który wypracował sobie przed lustrem, gdy nikt go nie widział.

Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedyś się spotkamy Ignaz zmienił temat, aby rozmowa nie nabrała wymiaru dyskusji etycznej z niewspółmierną przewagą jednej ze stron.

Riidiger Rensch, z delikatną pretensją w głosie, wypomniął Braunowi, że ten, będąc kilka razy w Wejherowie, nie odwiedził komisariatu.

Bo też okoliczności były wysoce niesprzyjające sumitował się przybysz.

Raz byłem jedynie przez trzy godziny, później pan komisarz, kiedy przyjechałem, przebywał z panią Katarzyną na wywczasach w Alzacji.

Innym razem byłem tu incognito, kiedy prowadziłem sprawę Grabarza z Cewic.

Ciebie też, Anton, nie udało mi się zobaczyć ani razu.

Nawet teraz nie zdołałem cię odwiedzić, choć padłaz mojej strony obietnica.

Kufel znajdujący się w ręku posterunkowego Myszkapowędrował na stół.

Mężczyzna wyprostował się, spojrzął na Brauna i rzucił głębokie: Co prawda, to prawda.

Obawiam się dopowiedział Ignaz że przeznaczenie styka mnie z panem, drogi komisarzy, i z panami posterunkowymi jedynie wtedy, gdy popełniona zostanie w Wejherowie jakaś zbrodnia.

Nie jest to zbyt pocieszające stwierdzenie.

Pomyślałem tak, gdy zapraszał mnie ponownie do miasta pan Alsleben, nie dalej jak dzisiaj.

Bochentin, wbrew opinii, jakie krążyły na temat jego zdrowego rozsądku, przeżegnał się trwożliwie i splunął przez lewe ramię.

A gdyby tak umówić się, że co rok kochany pan inspektor, ma się rozumieć z małżonką, wspaniała z niej kobieta, tak, imponująca, odwiedziliby nasze miasteczko?

Niemówię, że na długo, ale choć nadwa dni.

Wszystko w rękach nadkomisarza von Marburga Ignaz rozłożył ręce w nieco teatralnym geście.

I w umysłach przestępców całego cesarstwa, którzy pałają szczerą ochotą, abym wyławiał ich spośród mas ludzkich.

Gdyby jednak?

Tak, gdyby jednak podsumował komisarz.

I dodał: Może jeszcze po małym kufelku?

Kilka lat wcześniej wyjazd Ignaza Brauna z Wejherowa wyglądał zgoła inaczej.

Teraz odprowadzali go tylko trzej policjanci.

W ostatniej chwili przybiegła zadyszana pani Anastazja i zdążyła jeszcze pożegnać się z odjeżdżającym.

"Tamten wyjazd był jedyny w swoim rodzaju" pomyślał Ignaz bez żalu.

"Dziś jest mimo wszystko zwyczajnie, tak jak powinno być w podobnych okolicznościach".

Ta, która sprawiła, że pożegnanie przed laty było niezapomniane, czekała na niego kilkaset kilometrów od Wejherowa.

Z pewnością za godzinę lub dwie zabierze się za przygotowywanie sufletu i upieczonego ukochanego

zrazyzieloną fasolką.

Apotem będzie godzinami wypytywaćo wyniki śledztwa.

238

Ignaz wsiadł do przedziału.

Obokniego usiadł starszypan, z wyglądu urzędnik podatkowy średniej rangi.

Siwy,z wąsikiem.

"Przykładny mąż i ojciec, luteranin, zawszegłosuje na prawicę i nigdy nie chodzi do kabaretu".

Tyle żeobokurzędnika byłopusto.

Panienska o powabnychkszałtach z tamtego przedziału czekała na niego,na Ignaza.

Czyto ten sam urzędnik?

"Ja jestem taki sam.

I Wejherowo również.

Maleńki punkt na mapie świata".

Pociąg kolei żelaznej ruszył.

Ignazzamknął oczy i myślał przezdłuższy czas o tym,co wydarzyło się w Wejherowie.

Kiedy już przywołałw pamięci wszystko, co byłojejwarte, oddał się wcałości marzeniuo zrazach i suflecie.

I o dłoniach, które właśnie przygotowują takie smakowitości.

KONIEC.

SPIS TREŚCI

Przebudzenie .

Fotograf .

Dwie kobiety.

Stryj i bratanek .

Paniński salonik Elzy Neiss .

Sentymentalny spacer .

Posępny duch Północy.

Dołki wpoliczkach .

Narada w szczególnych okolicznościach .

U pastora .

"Czy ja mogłabym się jemu podobać?

" ...

Gabinetdoktora .

Męska rozmowa w towarzystwie świadka .

.W pociągu kolei żelaznej .

Czym jest prowincjonalizm, czym jest smakDwaj młodzi mężczyźni .

Niespodzianki .

Szatan .

Skomplikowaneludzkie charaktery .

Kto zabił Theodora Pratza?

....

Epilog .